

# Józef Ignacy Kraszewski

## Masław Tom 1



calibre 0.9.27

**Józef Ignacy Kraszewski**

**Masław**

Powieść z XI wieku.

Czcigodnemu dziejopisowi naszemu

TEODOROWI MORAWSKIEMU, w dowód

najgłębszego szacunku - przesyła Autor.

# Tom pierwszy

## Rozdział 1.

Smutny był wieczór jesienny; słońce zakryte, którego spłowiałe blaski zza chmur gdzieniegdzie przeglądały, już się ku zachodowi kłoniło. Całe niebios sklepienia okrywały szare, podarte, kłębiące się nad widnokrzem, w ciemną, jednostajną zasłonę zbite obłoki. W powietrzu oczyma było można dojrzeć górą goniący wichur, który kiedy niekiedy tylko z chmur spadał na ziemię, sunął się po niej, uginając drzew wierzchołki, obłamując gałęzie i uciekał znów gdzieś w górne szlaki.

Ziemia obleczona żałobą, szara, z zieloności odarta, wydawała się zmarłą, uszpioną, gdy ponad nią pędem leciały z zachodu poszarpane dziwnie, postrzępione, rozpluwające się i zlewające obłoki, przybierające barwy różne, jakby je to gniew rumienił, to złość sinymi czyniła. Tam, gdzie czuć było słońce, gorzały żółtawe łuny, gdzie na chwilę obnażyło się niebo, jaśniało jakąś barwą zielonawą. Szare chmury wszystkie zdawały się spieszyć na wschód, by tam stanąć jak wojsko do boju, jedną groźną, czarną ławą.

Dołem niewesoły też krajobraz przedstawiał się oku. Niska, błotnista dolina leżała wśród lasów, które ją czarnymi obejmowały ścianami. Gdzieniegdzie na niej stało osamotnione, na pół zeschnięte czy zgorzałe drzewo prastare, z gałęzmi obnażonymi i jakby w rozpacz podniesionymi do góry. Resztę liści pożółkłych oberwały z nich wichry jesienne.

Wśród błota wiła się droga, na której świeże ślady wypisały jakieś straszne dzieje wczorajsze, niestarte jeszcze niczym i nie splukane, nie oschnięte i nie zarosłe.

Czytać było można z tej drogi jak z księgi, co się tu wczoraj, dziś może dziać musiało. Przeszła po niej burza straszliwa; wydeptana była, wygnieciona, wybita, jakby nią mnogi lud i stada przeszły, koła ją porwały, drągi porozrzynały, tu i owdzie leżały drzewa, wozów połamanych szczęty, podarte szmaty krwawe, porwane szaty, potargane powrozy. Znać było na niej resztki wielkiego obozowiska czy olbrzymiej gromady wędrowni. Na śliskiej powierzchni gdzieniegdzie bosych nóg ślady się wycisnęły, dziecięce obok starych, zwierzęce obok ludzkich, owdzie leżącego ciała znamię, które padło i wlokło się, pasami porąc ziemię. Wśród kałuż błota były i czarne zastygłej posoki plamy. Wojny to zdawały się być ślady nielitosne, co po sobie śmierć i spustoszenie zostawiły. Na stratowanym gościńcu szczątkami życia karmiło się ptastwo, dziobiąc rozsypane ziarna, pijąc może krew rozlaną.

W dali, na pagórku widać było mury ogorzałe, niżej sterczące w dolinie belki czarne, powywracane budowy, szczątki jakiejś ludzkiej osady, w której nie było człowieka. Ponad tą pustynią głuche panowało milczenie, z wiatrem tylko kiedy niekiedy jakby złośliwie dolatywało psów wycie. Stado kruków i kawek zwijało się w powietrzu, to przypadając do ziemi, to podnosząc się z wrzaskiem i krążąc nad opustoszoną doliną, Ptacy obejmowali tu panowanie, a zwierz z lasów poglądał, rychło mógł przyjść za nimi, po człowieku zagarnąć dziedzictwo. Nad błotem latały z krzykiem bolesnym strwożone czajki. Jedno życie się tu skończyło, zaczynać miało drugie.

Wpatrzywszy się w miejsce, gdzie osadę zniszczoną znaczyły mury rozbite, jeszcze ponad nią

dostrzec było można nie znaczne prawie pasemka dymu, unoszącego się z pogorzeliiska; na próżno usiłując się wzbic do góry, podniósłszy się nieco, opadały ciężko i rozścielały się po ziemi. W powietrzu czuć było zgorzelizną trupią.

Na ścieżynie, wiodącej do najbliższego cypla lasu, ukazał się jeździec na koniu. Wysunął się z wolna zza gałęzi, stał i patrzył długo, rozsluchiwał bacznie, nim się dalej posunąć ośmielił. Oko jego rozglądało się po okolicy, wśród której żywej nie widać było duszy, głosu, ni cienia człowieka. Jeździec ów z ciemną brodą potarganą, lat średnich mężczyzna, był, jakby świeżo wyrwał się z boju i ocalał z walki, potłuczony cały i krwawy. Pancerz miał poszarpany od ciosów, co go ugodziły i na kawały na nim porozcinały. Szmaty jego wisiały zeń, obnażając gdzieniegdzie pokaleczone ciało krwawe. Reszta pogiętego hełmu ledwie się trzymała na głowie, bujnym, ciemnym włosom okrytej, strzaskanego miecza głownia wisiała mu u pasa; w ręku miał kawał włóczni złamanej, w kilku miejscach zbroja i spod niej przezierająca odzież jak rdzą brunatną, zaschlą krwią była zbroczona.

Koń pod nim posieczon i poraniony był także, szedł, nakuliwając, z głową zwieszoną, a gdy mógł stanąć, wnet łeb spuszczał, szukając pod nogami wyschłej trawy w kałużach wody.

Pomimo tej nędzy dzisiejszej, na wojaku i jego wierzchowcu znać było dawne, lepsze czasy. Twarz biednego, wyblakłego zbiega rysy miała szlachetne i dumne, oko zamglone było smutkiem nie niewieścim, lecz męzną, rycerską niedolą.

Poszarpane suknie i zbroje niegdy były kosztowne i piękne.

Westchnąwszy, gdy z konia obejrzał okolicę, zsiadł z niego wędrowiec, poklepał biedne zwierzę po szyi, uzdę wziął w rękę i podpierając się dzidą, powolnym krokiem iść począł ku pogorzeliisku. Ranny w nogę, z posieczoną piersią, rozbitą głową, wlec się musiał powoli i często odpoczywać. Zdało się czasami, że zachwiałwszy się, padnie, że mu ochota odejdzie dalej się tak ciągnąć, aby nędzny żywot ocalić, stawał, opierał się na koniu, dyszał i znowu tak włókł się ku pogorzeliisku. Koń, też kulejąc i napadając, szedł posłuszny, a raczej dawał mu się ciągnąć, skubiąc z głodu resztki traw, gdy je znajdował po drodze. Tak ścieżką tą od lasów, znaną mu pewnie, zbliżał się wojak ów ku kopcowi naprzód, grodzisku otoczonemu wałami, na którym spalonego zamczyska widać było szerniałe ściany.

Spustoszenie straszliwe jakieś, nieludzkie, przeszło tędy nie dawno jeszcze, nie zostawiwszy po sobie nic, nad kupę węgla i gruzu. Na okopach poopalane, połamane sterczały gdzieniegdzie ostrokoły, brama strzaskana, na pół zgorzała leżała w błoto wciśnięta na ziemi.

Krokiem powolnym przybysz wsunął się w środek okopów. Miejsce to

musiało mu być dobrze znane, szukał po nim oczyma w gruzach przeszłości, którą pamiętał.

Żadna budowa nie ostała się całą na grodzisku; gdzieniegdzie kamiennych murów grubych sterczały ściany na pół poobalane, oparłszy się zniszczeniu. Obok ziemia nawet była poryta, jakby w niej czegoś szukano. Rozbitych naczyń skorupy, rozsypanych bodni klepki, koły, belki, wyleżana słoma starta i pomięta, poogryzane kości białe plac prawie cały zalegały. Na boku leżały ścierwa koni, których żebra już na pół obnażyły kruki. Spłoszone, podniosły się wrzeszcząc i wnet obsiadły znowu

swą pastwę .

Wszedłszy do środka, wzrokiem ponurym przejrzał dokoła wszystko człek nieznan, konia postawił u wnijsia, a sam krokiem powolnym poczał przez łomy, zalegające grodzisko, wdzierać się w głąb jego. Szukał miejsc jakichś, śladów, jakby z nich odgadnąć chciał dzieje tego zniszczenia. Lecz gruzy je przysypały, zwałiska zatarły. Spodziewał się może znaleźć trupy, a tych tu widać nie było.

Kilka razy, rozpatrując się, schylił ku ziemi, sięgnął ręką po łachman jakiś, dobył opalony szmat spod drzewa i rzucił go z odrazą i gniewem. Minąwszy kupę rumowisk, szedł pod mur dalej, ale i tu toż samo znalazł bezładne zniszczenie.

U muru tylko jakby osypana i zapadła ziemia czarną obnażyła pieczarę, w której głębiach nic widać nie było. Z ciemności gdzieniegdzie sterczały połamanych belek końce. Zajrzał tu przybysz, ręką się osłoniwszy, zginając z trudnością, patrzył

długo i wstał namarszczony. Właśnie miał to cmentarzysko opuścić, gdy podrażniony słuch jego, wśród tej ciszy głuchej, pochwycił jakby szmer jakiś, niby ostrożnego chodu ludzkiego echo. Strzymał się, spoglądając ku wnijsciu.

Tu nic widać nie było, koń tylko pał się chciwie na wałach znalezionej odrobiną zieleni. Posunął się więc, krocząc znowu przez belki i rumowiska ku miejscu, gdzie były wrota zamkowe, gdy w tejże chwili ukazała się w nich ludzka postać.

Człowiek ten wchodził, wsuwał się raczej ostrożnie, wstrzymał na widok konia i stał wylękły, oczyma wodząc na wszystkie strony. Z daleka postrzegłszy z ruin wychodzącego zbrojnego mężczyznę naprzeciw sobie, w pierwszej chwili rzucił

się był do ucieczki, lecz za drugim ku niemu spojrzeniem, w ręce plasnawszy, zatrzymał się i, kroków parę podbiegłszy, padł przed nim na kolana.

To niespodziane wśród ruin zjawisko było jakby do nich podobne; podstarzały już mężczyzna, z głową odkrytą, włosami rozrzuconymi, nie miał na sobie nic oprócz na ciało nagie narzuconej, zdartej, połatanej siermięgi. Nogi jego okrywały spodnie z płótna grubego, poobwiązywane sznurami u dołu, które skórnie podarte utrzymywały. Twarz wynędzniała, żółta, z oczyma bladymi, miejscami włosem porośla, podobniejszą go czyniła do trupa wstającego z grobu niż do żywego stworzenia. Padłszy na kolana, załamane ręce podniósł do góry.

— Wy żywi! — krzyknął.

Wojak, nie odpowiadając nic, ręką wskazał na wiszącą kawałami

porozdzieranymi zbroję, na poszarpane i poranione ciało.

— Żywem! — rzekł głosem bez dźwięku. — Żywem, ale po co żywot, gdy wszyscy moi poginęli, gdy nam tylko grób został!

I powiódł oczyma dokoła.

Kłęczący wstawał powoli i mówił ochryply, drżący:

— Ja czwarty dzień tułam się po lesie, trawę gryzłem, liście ssałem, grzyby suche jadłem i korę, ledwie dusza w ciele.

— Dziękuj Bogu i za to — zamruczał uzbrojony. — Ja też nie wiem, czy żyję... nie wiem, jak żyję... a na co dziś życie się zdało?

W milczeniu ten, który powstał z ziemi, przysunął się i w rękę pocałował mówiącego. Stali oba, nie mogąc znaleźć słowa.

— Jakżeście ocaleli? — spytał potem cicho.

— Chcieliśmy się tam, za Szrodą, opierać garści Czechów? Kupka nas była niewielka, ale mężna. Padli wszyscy i mnie za zabitego rzucono na pobojuwisku, dopiero noc mnie ocuciła. Koń uszedł, a potem sam wrócił, gdzieś leżał, jego oddech poczułem nad sobą, gdym oczy otworzył. Tułałem się i ja po lasach, oprócz wody nic nie mając; tu zdechnąć przyjdzie! Tu zdychać!

Zamilkł, opuściwszy głowę.

— Gdzież ludzie? Trupów nie ma? Gdzie Gdeczanie wasi? — spytał po chwili.

— Gdy Czechy nadciągały, jam był w lesie — począł drugi. — Wróciłem, aby patrzeć na pogorzeliisko; nie było już wracać po co. Wszystką ludność, choć o mir i łaskę prosiła, poprowadzili, pognali ze sobą wszystkich, nie został nikt prócz tych, co padli. Miasto złupione, domy złupione.

Popatrzał ku dolinie i jęknął boleśnie.

— A wasi? Wasi, miłościwy panie? — zapytał cicho.

— Nie mam ja już nikogo, nikogo — odparł pierwszy ponuro.

To mówiąc, wziął konia za uzdę i z wolna z grodziska schodzić zaczął. Za nim włókł się człek w odartej siermiędze.

U stóp zamku jednym zgliszczem szerokim leżała wielka osada. Na czarnym pogorzeliisku stały gdzieniegdzie żurawie studzien, resztki ścian, których ogień nie dojadł, słupy od bram, koły od płotów, wysokie kozły szop zwalonych. W pośrodku murowanego kościołka z głazów wzniesione boki sterczały tylko, dach spalony runął.

Zbliżyli się ku niemu, stanęli. W głębi widać było ołtarza resztkę ogorzałą i poobalane wielkie świeczniki drewniane. Wnijście do grobów pod kościołem stało w pośrodku rozdarte. I tam znać łupów szukano. Nie ocalało nic. Na jednej ścianie wisiał tylko krucyfiks czarny, a na nim

wpółspalony Chrystus jedną ręką trzymał się jeszcze. Ptastwo, które się tu już na sen nocny tuliło, słysząc szelest, zerwało się, pierzchnęło, poczęło kołować z wrzaskiem i padać na ścian wierzchy. Ostatnie promienie słońca, przedarłszy się przez chmury światłem pomarańczowym, jakby łuną pożarną nagle oblały ten, obraz spustoszenia.

Z trwogą przybyli rozglądali się dokoła. Ślady życia jeszcze gdzieś były widoczne. Pod ścianami chat walał się statek gospodarski, rozbite wiadra, rzucone kądziele, zapomniane dzieci kolebki, kamienie od żarn wywróconych.

Wojak i zbiedzony człek w siermiędze, postawszy przed kościołem, wyszli dalej ku spalonej osadzie.

Nadchodziła noc, trzeba było szukać schronienia.

— Miłościwy panie, władzyko Lasoto — jęczącym głosem ozwał się

siermiężny, idący za nim — gdyby chleba choć okruszyna, może bym sił nabrał i szłaś gdzie sklecił.

Na koniu, którego wiodł za sobą Lasota, wisały próżne sakwy. Zwrócił się ku nim wojak i dobył z nich szczątek czegoś spleśniałego, czarnego, rozłamał i dał

proszacemu.

Z chciwością niezmierną oburącz porwał zgłodniały ten pokarm, zaiskrzyły mu się doń oczy, począł gryźć ze zwierzęcym łakomstwem, zapomniawszy o wszystkim.

Lasota szedł dalej, nie patrząc nań, szukając znużonymi oczyma przytułku, ale chaty drewniane, chałupy z płotów i chrustu, klecie ogień pozjadał do szczętu, nie ocalało z nich nic nad węgly, grożące upadkiem, ledwie od wiatru mogące osłonić.

Nierychło dopiero, chleb spożywszy do prószyny, siermiężny pogonił za błędzącym po pogorzeliśku Lasotą. Po drodze zaglądał do studzien, chcąc wodą ugasić pragnienie, nie było jej czym zaczerpnąć.

Lasota znalazł wreszcie w głębi gdzieś resztę dachu, zwieszoną nad nędznymi ścianami dwoma. Tu konia w bliski ogród puściwszy, sam zwał się na ziemię; szedł, jakby już tylko miejsca szukał, gdzie by skonał, w obu dłoniach twarz zanurzył, oczy zasłonił i pozostał nieruchomy.

Tymczasem zeschły chleb, kropla wody odżywiły nieco wygłodzonego, który trochę sił i przytomności odzyskał. Był to jeden z osadników tego zburzonego, a niedawno jeszcze znacznego i do głównych dzielnic królewskich należącego grodu, Gdecza, który najeźdźcy Czechy złupili, ludność z niego całą uprowadziwszy. Człek ten zwał się Dębiec.

Lasota miał posiadłości rozległe pod Szrodą, często w mieście i na zamku przebywał. Dębiec kołodziej wysługiwał mu się we dworze, znali się z dawna.

Możnego władzykę i biednego rzemieślnika wojna i nędza zrównały teraz. Lasotów grodek był spustoszony, on sam nie miał gdzie przytulić głowy, Dębcowi zostało tylko pogorzeliśko jego chaty. Ku niej się skierował, przedzierając przez poobalane domostwa, spodziewając się może znaleźć coś

ocalonego. Doszedłszy do miejsca, które trudno poznać było, stanął wryty.

Nie było nic oprócz wielkiej węgla kupy.

Mrok padał. Przemógłszy się, Dębiec otarł oczy i wszedł na swe zgliszcza, poczynając się w nich rozglądać. Kijem podniesionym z ziemi z wolna rozgarniał

popioły i żuźle, szukał czegoś. Pod chatą był w ziemi wilgotnej wygrzebany loszek, w którym coś czasem składano. Pomyślał, czy w nim co nie ocalało. Co? Sam nie wiedział. Garść mąki może, suszonego mięsa resztką, krup trochę, choćby spleśniałego chleba okrawek. Grzebiąc się, natrafił w istocie na nie zgorzałe drzwi loszku, ukląkł, i rękami je oczyściwszy z ziemi, począł z wielkim wysileniem odwalać. Osłabłemu szło ciężko; dyszał, kładł się na ziemi i wstawał, aż kołkiem podważywszy, podnieść mu się drzwi udało. Kryjówka zdawała się nie tknięta, nikt tam w ubogiej chacie łupu się nie spodziewał.

Głodny Dębiec, spuściwszy się, z okrzykiem radości postrzegł tu spiżarnię swą ubogą nienaruszoną. Z niespokojnym pośpiechem począł w niej gospodarzyć, wyrzucając co raz coś wynalezionego, co dawniej pogardzone było, a dziś droższe nad złoto. Wkrótce jednak na powrót się wydobył z jamy, zabrał żywność lichą i pospieszył szukać z nią tego, co przed chwilą kawałkiem chleba obdarzył. Znalazł go pod ścianą, na pół uśpionego ze znużenia, wpółzamarłego z głodu. Noc coraz ciemniejsza zapadała.

— Panie miłościwy! — odezwał się Dębiec przypadając. — Mam strawę!

Znalazłem ją w jamie mojej. Widać ją tam ukryć chcieli! Rozpalę ognia trochę...

jeść, jeść będziemy, jeść!

Powtarzał ten wyraz, jakby w nim była wybawienia na dzieja. Lasota z wolna podniósł głowę.

— Ogień rozpalic — mruknał — ogień! Aby ściągnąć nim lichy! Ani mi się waź!

— Nikogo tu już ogień nie ściągnie — westchnął Dębiec. — Patrzajże, panie miły, i tak gdzieniegdzie węgle się jeszcze żarzą, dym czerwony się kurzy. Zbójce bezbożni, Czechy odciągnęły, pusto dokoła, życie ratować trzeba. Głodem zemrzemy.

Lasota, znowu twarz w dłonie zanurzywszy, nic nie odpowiedział. Pragnienie więcej niż głód go paliło, a było zarazem głodem i gorączką.

Nie zważając na zakaz, kołodziej począł ogień przysposabiać. O głośnie nie dogorzałe na zgliszczach łatwo było. Z chaty swej wyniósł garnek jakiś, który znalazł w lochu rzucony. Miał już począć gotować, gdy Lasota wody zawołał. Tym więc czerepem, jedynym jaki mieli, i wicią, znaną na pogorzelsku, pobiegnął

Dębiec zaczerpnął u studni. Gdy wodę przyniósł Lasocie, pochwytywszy garnek w dłonie drżące, stary wypił go do kropli.



Kołodziej poszedł zaczerpnąć znowu i zabierał się do uwarzenia wieczerzy, gdy wicher zadał i przyniósł z sobą wyraźny tętent koni. Porwał się, choć osłabły, Lasota, wołając o zgaszenie ogniska, i natychmiast zalano je co prędzej.

Gęsty mrok był, który pochmurne niebo zwiększało. Tylko w miejscu, gdzie zaszło słońce, jarzyły się jeszcze niebiosy i ku nim patrząc, postrzegli tu skryci zbiegowie, na gościńcu, który przez środek osady prowadził, cienie dwu konnych ludzi jadących powoli. Jak czarne dwa widma malowali się im na zorzy zachodniej i choć z dala, dobrze ich rozeznąć było można. Lasota i Dębiec z ciekawością i niepokojem im się przypatrywali. Nie potrzebował długiego czasu Lasota, aby w nich poznać, domyśleć się raczej, takich jak on sam był, zbiegów, tułających się, uchodzących nocą przed czeskimi mordami i łupieżą. Ludzie byli orężni, bo nad głowami ich sterczały dzidy, które w rękach trzymali, a konie pod nimi były rosłe.

Na głowach wiewały hełmów czuby. Lecz możnaż było zaręczyć, że to nie Czesi jeszcze wśród tego spustoszenia krążyli za jakąś zdobyczą?

Stanęli jezdni naprzeciw spalonego kościoła. Wiatr silniejszy ustał był nieco i słychać było rozmawiających z sobą. Lasota bacznie ucha nadstawiał, dochodziły go wyrazy urywane:

— Psie syny!

— Zwierzęta dzikie! Szatańskie plemię!

Po tych przekleństwach, swoich było się można domyśleć. Lasota złożył

dłonie w trąbę i choć osłabłym głosem huknął ku nim. Na ten odgłos konni zrazu rzucili się do ucieczki, potem wnet stanęli, rozglądając dokoła.

— Swoi! — zawołał Lasota. Bywajcie tu! Bywaj! Bywaj!

Dębiec, który wprzód jeszcze poznał w nich swoich, wstał z ziemi i

pospieszył na spotkanie. W gromadzie zawsze bezpieczniej wszystkim było.

Na widok z mroku wychodzącej masy tej jezdni stanęli w gotowości do obrony lub ucieczki, ale kołodziej, zbliżywszy się, poznał sąsiadów i począł wołać po nazwiskach.

Byli to dwaj bracia Doliwowie, ziemianie od Szrody, o miedzę od Lasoty osiedli. Wszebor i Mszczuj Doliwowie równie błakaniem się o głodzie znużeni byli od dni kilku; dworce ich z ogniem poszły. Z koni posiadawszy, zwrócili się ku miejscu przez Dębca im wskazanemu.

Kołodziej szedł uradowany przodem, wołając:

— To nasi z Doliwian, miłościwy panie, Wszebor i Mszczuj.

Dźwignął się nieco, na łokciu spierając, Lasota. Znow ogień niecić spieszył

kołodziej. Nie było powitania, bo czymże się pozdrawiać mieli? Chyba ocalonym żywotem nędznym, z którym nie wiedzieli, co począć. Patrzali na się tylko smutnymi oczyma.

Gdy ogień błysnął żywiej, starszy z Doliwów, widząc zbroję podartą i krwawe znamiona a twarz Lasoty wynędzniałą, nie mógł się wstrzymać od przekleństwa na wrogów.

— Ot, na co nam zeszło! — krzyknął. — Ot, co się z na szą ziemią stało!

Przeklęty dzień i godzina, gdy nam Mieszko i Ryksa zapanowali.

Dębiec im konie poodbierał, puszczając spętane w bliskie ogrody, gdzie się choć nędznie pożywić mogły. Posiadali na ziemi. Z kolei narzekanie ze wszystkich się ust wyrывało.

— Z Poznania — począł Mszczuj — jeno gruzy też stoją. Czego Niemka

Ryksa nie uwiozła, to Czesi zabrali! Poszła ona precz do swoich, do Niemców za nią i syn Kaźmirz uchodzić musiał. Pana nie mamy, otworem stoją rubieże, kraj bezpański łupi, kto chce. Złupili też Czesi Gniezno, obdarli kościół, wywieźli skarby drogie, pognali w łykach braci naszych jak bydło. Popalone sioła, gdzie spojrzeć pustynia!

— Szczęło marnie Bolesławowe królestwo — dodał Wszebor — rycerstwo nasze przepadło, wojuje, kto chce, bośmy bezpańscy. Głowy nie ma!

— Tylko umierać nam, aby już oczy nie widziały końca — dołożył Lasota.

— Czechy Czechami, Niemcy Niemcami — rzekł Mszczuj. — Własny lud

burzy kościoły, pogaństwo wraca, życie nasze na włosku. Kupy się włóczą i wołają stare: Łado!, a którego z władyków napadną, na krzyż go przybijają z urągowskim.

— Co poczynać? Umierać? — mruknął Lasota.

Wtem Mszczuj głową potrząsnął.

— Kto ma siły, za Wisłę ciągnie do Masława, tam mówią pokój jeszcze, on jeden siłę ma. Co czynić? Do siły się garnąć chyba? A nie, to życie potracim —

mówił Wszebor. — My też sami nie wiemy; chybaby się do niego przekradać, aby żywot ocalić.

— Do Masława? — przerwał słabym głosem Lasota. — Co ci się śni? Człek ten niepoczciwy, przechera, wszystkich naszych nieszczęść przyczyną.

Mszczuj ramionami dźwignął.

— Prawda to! Ano dziś będzie dobry kto bądź, byle życie zbawił.

— Lepiej umierać, mruknął stary.

Gwarzyli tak urywanymi wyrazy, gdy Dębiec przerwał rozmowę pytając, czy nie byli głodni.

— A któż dziś niegłodny! — zawołał Mszczuj.

— Co mam, tym się podzielę — rzekł kołodziej. — Niewiele tego jest, byle duszę w ciele utrzymać.

Począł tedy mięso wędzone i krupy uwarzone na skorupkach, które w gruzach poznajdywał, rozkładać przed nimi. Lichy to był posiłek, ale się zdał głodnym najsmaczniejszą w świecie potrawą. Dziękowali mu niezmiernymi wdzięczności wyrazy.

— Niech ci Bóg płaci! — wołali.

— Zapłaćcie wy mnie sami — odparł Dębiec. Siedzieć tu nie będziecie, powleczenie się gdziekolwiek bądź, pozwólcie mi z sobą, bo tu zginę. Jutro do dnia pewnie ruszycie w lasy, dajcież mi się wlec za wami. Wezmę, co mam żywności, podzielimy się.

— Któż z nas wie, co pocznie jutro? — zawołał Lasota.

— W lasy trzeba i za Wisłę, dodał Mszczuj, innej dla nas rady nie ma. Masław przyjmuje wszystkich.

— Ani mówcie o tym, a sromajcie się myśli — przerwał stary Lasota.

Masław? A któż tego chłopiego syna nie znał na Mieszkowym dworze? Nie wiedzieć skąd i jak od chlewów się dobył ten parszywiec, liżąc nogi, pochlebstwem dobił się podczaszostwa, Mieszkowi potem życie skrócił, królową panią wygnał znowami swymi, Kaźmirza pana swego wypędził. To jego sprawy!

— Pewnie tak — odrzekł Mszczuj. — Ja go też ni kocham, ni bronię; psubrat jest, ano kto dziś panem? Przy kim siła? Albo trzeba gardło dać, lub iść mu służyć!

— A tak — wtrącił się z dala Dębiec — służyć już komu bądź, niech choć rudy pies panuje, byleśmy bezpieczeństwa nie byli.

Umilkli wszyscy, pospuszczawszy głowy. Lasota, orzeźwiawszy nieco,

podniósł się sycząc, aby ciało pobite, rany i odzież potarganą opatrzyć. Znać w nim było męża, który niejedno już przebolawszy w życiu, cierpieć się nauczył; chłodno, śmiało, prawie nie jęknawszy, począł się rozdziewać z przywrzałej do poranionego ciała zbroi i kaftana. Krew, która była przyschła, puściła się znowu z ran, więc bieliznę drąc zakładał nią posieczone i pokłute ciało, a drudzy nań z podziwem patrzali. Był to znak przecie, że do życia chciał powrócić i o jakimś myślał ratunku.

Czekali wszyscy milcząc, aż stary dokończy, bo się im trzeba było naradzić wspólnie, co dalej czynić mieli, gdzie się schronić, dokąd uchodzić.

Nie było naówczas w kraju kąta prawie, którego by na jazdy Czechów,

Pomorców, Prusaków nie spustoszyły lub sam lud, do pogaństwa wracający, nie zakrwawił i nie zniszczył. Moźniejszym szczególnie, którzy byli wszyscy za Mieszka Pierwszego i Bolesława chrześcijaństwo przyjęli, duchowieństwu wszelkiemu, rycerstwu największe groziło niebezpieczeństwo. Nie ostał się jeden kościół, żaden klasztor całym przed napaścią, żaden cmentarz nie splugawionym. Legli od zbójceckich rąk kapłani niemal wszyscy, a wielkie dzieło nawrócenia, z pomocą chrześcijańskich narodów dokonane, obalone zostało. Na rękę to było po części Niemcom, odzyskującym przez to prawo nawracania mieczem, zawojowywania i pochwycenia znowu zwierzchnictwa nad Kościołem odbudowanym.

Ruś też i Węgry korzystały z uroszczeń Bezpryma, z dogodnej chwili, aby kraje zawojowane przez Bolesława oderwać od Polski. Czeski Brzeczisław myślał już o zagarnięciu całego państwa i połączeniu go z koroną swoją. Począł to wielkie dzieło od złupienia Krakowa, Gniezna, Poznania i uczynienia pustki z ziem, nad którymi chciał panować.

Gdy rany swe obwiązawszy, Lasota legł znowu na ziemi, a Dębiec siadł na uboczu, oba Doliwowie, spojrzawszy na siebie, pierwszą wznowili rozmowę.

— Cóż myślicie? — ozwał się Mszczuj. — Co czynić mamy? Mówcie!

Starszego posłuchamy radzi.

Lasota podniósł głowę, jakby się chciał przekonać, że mowa do niego była zwróconą.

— Pytacie mnie — rzekł. — Wiemże ja sam, co czynić? Wiem jeno, czego nie uczynię. Za Wisłę do Masława nie pójde, srom to i hańba parobczakowi się kłaniać, gdy się namaszczonym królom służyło. Myśmy wszyscy stali przy panach naszych, stali przy Mieszkowej wdowie, potem przy Kaźmirzu, mamyż iść do tego, co nam ich odebrał? A gdybyśmy i poszli doń, chyba ażeby mu zanieść głowy nasze, bo żywić nas nie będzie.

Zamilkli Doliwowie.

— Nie wiem, czy znacie Masława, jak ja go znam — dodał Lasota. Patrzałem, ja nań, jak rósł na dworze z pacholęcia przy psiarni, potem ręczniki i dzbanki nosił, sokoły huśtał, miód nalewał, a do ucha i łask się wkładał powoli i tak do łańcucha na szyi, do pasa rycerskiego doszedł, na powiernika i radcę. Dopiero go duma zdeła niepoczciwa. Po śmierci Mieszka królową chciał zawładnąć, bodaj się z nią żenić i królować, a Kaźmirza się pozbyć. Rozumna pani odepchnęła go, otaczając się swoimi ku obronie. Zaczęli na nią krzyczyć, że kraju i nas znać nie chce, a prześladowali ją tak, że skarby wielkie zabrawszy, uchodzić do swoich nad Ren musiała. Został Kaźmirz, nad którym Masław chciał rozciągnąć opiekę, aby go zgubił; musiał i ten uciekać od niego. Pozbył się go prędko. Myśmy bezpańscy jako stado bez pasterza zostali, a wilk się nam stręczy miasto niego. Kraj obcy ludzie łupią i drą. Czyjeż to sprawy, jeśli nie jego! Myśmy się precz od zdrajcy ustąpili, uczynił się poganinem, aby sobie czerń pozyskał. Pogan też, ile ich jest, Prusaków i Pomorców ma z sobą. Cóż my tam przy nim i z nim, ludzie chrzczeni i Chrystusa wyznający, czynić będziemy? Ciała nie ocalemy, a dusze potracim!

Mówił tak, a Doliwowie milczeli.

— Alboż to prawda, co głoszą — rzekł powoli Mszczuj — że się poganinem uczynił? Chyba na oko; nie wierzę, by nim był.

Wtem Dębiec, który z dala siedząc, przysłuchiwał się, zawołał:

— O, miłościwy panie! To jawna rzecz, że z pogany trzyma. Stare stanice pochowane z ziemi i lasów dobyto; postawiono znów kamienie i słupy, jak dawniej bywało. Wszystkie dawne świątki obchodzą o białym dniu. Księżda żadnego nie żywią, a którego gdzie dopadli, stracono. Masław mówi, że z księżmi przyszła niewola .

— Zły Masław — przerwał Wszebor — a gdzież i jak się schronić i ratować?

W Czechach też pęta i łyka każdego czekają, na Ruś daleko, a i tam kto wie, jaka byłaby gościna? Błądzić po lasach i z głodu mrzeć, toć lepiej się od razu obwiesić na gałęzi!

Dogasał ogień, przy którym siedzieli; Dębiec, kilka głów zebrawszy, dorzucił i znowu go odżywił.

— Co czynić? Co czynić? — powtarzali stroskani.

— Masława ja znam ze dworu dobrze — odezwał się Mszczuj po przestanku,

— zrazu my się drużyli. Człek śmiały do wściekłości, zuchwały do szaleństwa, a roi mu się we łbie panowanie, bo mu za młodu wróżka jakaś przepowiadała, że dojdzie wysoko. I to pewna, że żadnego by z nas nie oszczędził, byle mu się to na co zdało; a co mu z tego przyjdzie, gdy nas pogubi.

Mówili jeszcze, gdy szelest się słyszeć dał w ciemnościach. Nic widać nie było o trzy kroki; przestraszeni ruszyli się wszyscy oprócz Lasoty, nasłuchując bacznie, czy się konie puszczone na paszę nie ruszyły, zwierza uląkwszy, i trwogi tej nie nabawiły. Wtem płomień, które się podniosło, oświecając szerzej pogorzelnisko, ukazało za węglem stojącą postać ludzką.

Człowiek stary ręką wychudłą opierał się o kawał ściany, a dość nań było wejrzeć, aby się pozbyć obawy i poznać w nim nieszczęśliwą ofiarę, co się gdzieś z gruzów tych, głos ludzki zasłyszawszy, dobyła. Mężczyzna był w podeszłym wieku, wynędzniały, twarzy bladej, w podartym i powalonym przyodziewku czarnym, z głową nisko postrzyżoną, na długiej, chudej, kościstej szyi sterczącą.

Wiek już go był przy garbił, a wycieńczenie ledwie mu się na nogach utrzymać dozwalało. Zeschłe wargi otwarte miał, oczy osłupiałe, resztką życia już w nim tylko tłała. Spoglądał po siedzących, jakby znajomych między nimi szukając twarzy, a z piersi znać trudno mu było dobyć głosu. Wtem porwał się z ziemi Mszczuj i podbiegł

ku niemu wołając:

— Wyż to jesteście, ojczy Janie? Wy?!

Starzec głową potrząsł; spragnionemu, wygłodzonemu mówić było trudno, a zbliżyć się też nie mógł i

ściany trzymał, by nie paść, drżąc cały.

Doliwa, podbiegłszy, rękę mu podał i przywiódł ku ogniewi. Znany to był

wszystkim proboszcz miejscowy. Trzy dni już w grobach pod kościółkiem schroniony, uszedłszy oka łupieżców, żył okruszynami chleba i kroplami wody, co po murach ściekała. Zastłyszawszy ludzkie głosy, poznawszy swoich, wydobył się sił

ostatkiem z zakątka, w którym się na śmierć gotował. Z całego mienia jedno najdroższe ocalił, książkę, którą w rękach trzymał i do piersi ją przyciskał.

Dębiec pośpieszył też na ratunek staremu. Posadzono go przy ognisku;

kołodziej przyniósł mu wody, Lasota oddał swój chleb szcerstwiały. Ze łzami w oczach ojciec Jan Opatrzności i im dziękował, ale długo, prócz urywanych wyrazów, nic z niego dobyć nie było można. Głos stracił z przerażenia i boleści, nie nad sobą płacząc, ale nad losem kościoła i owieczek. Po długim spoczynku, gdy go woda i strawa do życia przywróciła, począł jakby w gorączce mówić coraz silniejszym głosem.

— Patrzałem na upadek nasz — mówił — a gdybym wiek żył, z oczów mi nie zejdzie widok ten straszny. Spadli jako burza na nas łupieżcy za grzechy nasze.

Miasto się bronić nie mogło; z okolicy tłumy się zbiegły na gród, ręk było nad to, oręza mało a strachu więcej nad wszystko. Oprócz wojewody naszego i żupana przyciągnęli ludzie ze Szrody, zbiegli się z grodków okolicznych. Było więcej, niż się po mieścić mogło, dusili się w okopach. Jam przy kościele został, nie godziło mi się go opuszczać. Włożyłem komżę, stułę i kapę, wziąłem krzyż w ręce; chrześcijanie przecie byli, choć wrog! Bronić się nie myślał nikt, opierać się nie mogliśmy, wysłano starszyznę Prokopa z różdżką złotą przeciw nim, z poddaństwem i pokorą. Nie pomogło czołem bicie. Lud wszystek popędzili w niewolę, miasto zniszczono i złupiono. Sądny był dzień gniewu pańskiego. Mnie na progu kościoła za włosy porwała dzicz, rzuciła na ziemię tratując nogami. Bóg chciał, by ta kupa, skarbów szukając, padła do zakrystii i skarbcza, a jam się miał czas schronić do grobów i skryć między płyty kamienne, które tam stoją. Przyszli i tam zbóje, chodzili koło mnie. ocierali się niemal, czekałem tylko chwili, gdy mnie porwą i na śmierć pociągną; Bóg ich zaślepił. Poobalawszy trumny, powywlekawszy trupy, wyszli, zostawując mnie. Słyszałem nad głową moją płonący kościół, jak padały belki, jak runął dach, którego krokwie spalone na pół przez otwarte drzwi grobowe aż do nóg moich się staczały. Jak ocalałem, na co Bóg chciał mi życie przedłużyć, albo wiem? — dodał starzec. Rzekł i pomyślawszy chwilę, ciągnął dalej:

— Jeśli mi na co życie było dozwolone, chyba abym wysłuchał narzekania wasze i przyniósł pociechę. Znad mogiły, nad którą stoję, widzą moje oczy jasno. Nie trwóźcie się, że upadły krzyże i wróciło pogaństwo, ani myślcie Masławowi bić pokłony. Przejdzie dopust boży jako wichur i burza, połamawszy gałęzie, a pni nie obali... i zazielenią się z wiosną. Ale wam nie płakać i narzekać ani ręce łamać trzeba i padać na ziemię, ale się gromadzić i stać murem a bronić. Niewiasty płaczą, mężowie walczą. Bóg dzielny po może, gdy serca podniosą ku niemu. Czyż wszystko nasze wyginęło rycerstwo, co z Bolesławem szerokie ziemie podbijało?

Czy już tylko czerń została, której dawniej nie obawiano się tysięcy, gdy jedno serce za tysiąc stało? Rozbici jesteście, a skoro się zbijecie znowu, krzyż w ręce ujawszy, zwyciężycie. I pójdzie czerń po lasach wylękała, a zdrajcy pod miecz i stryżek szyję przyniosą. Masławowi się kłaniać — zawołał z zapałem starzec — toć jedno, co Boga zaprzec i chrztu świętego! Złym Bóg dopuszcza godzinę zwycięstwa, ale im panowania nie daje. Idźcie, zbierajcie się, radźcie, pana szukajcie! Bóg będzie z wami! Kościoła mi żal, lecz oczy moje widzą, jak się podniesie, jak się w nim ozwą hymny i chwała Pana słać będzie! Nie dajcie sercom słabnąć, ufajcie Bogu!

Bóg ocali!

To mówiąc, słabnął starzec, głosu mu nie stawało, chylił się już, drżącą ręką na cztery strony krzyż zakreślił, błogosławiąc słuchaczom, którzy głowy skłonili, i zamilkł chyląc się ku ziemi. Nadbiegł Dębiec, niosąc garść słomy, którą był

przysposobił dla siebie, i na niej układał znużonego, który ręce na piersi złożył i powieki jak do snu zamknął. Milczeli wszyscy; ogień przygasał i reszta też do spoczynku się brała.

Niebo na noc z wolna się z chmur oczyszczać zaczęło, gdzieniegdzie na nim przez rozdarte obłoki migały gwiazdki blade. Wiatr ustawał, cisza, coraz rzadziej przerywana szumem w powietrzu, rozkładała się nad doliną w ciemnościach stojącą.

Pasek tylko jeszcze wąski niebios ostatkami zachodnich brzasków się świecił.

Słowa natchnione starca serca trochę dodały; myśleli wszyscy, co jutro poczynać, a choć się nie radzili, zgadzały się ich myśli. Swoich szukać trzeba było i do kupy zbijać, nadziei nie tracąc.

Trzem jezdnym przybywał ciężar nowy, osłabły starzec, którego na łup

głodnej śmierci lub nieprzyjaciela porzucić się nie godziło. Lecz młodszy pieszo iść mogli, a Dębiec, też mający im towarzyszyć, pośpieszać bardzo nie dozwalał i koni siły zmuszały do powolnej jazdy. Rozmyślali o tym, nie śmiejąc się odzywać, siedzieli i drzemali u gasnącego ognia.

Ojciec Jan usnął, widać, znękany, bo oddechu jego nawet słyhać nie było.

Lasota też zdał się niewiele dbać o swój los i obojętnie patrzeć na to, co go spotkać miało. Tak noc przetrwali całą.

Dniało, gdy Doliwowie między sobą radzić zaczęli, w którą się obrócić stronę.

Nie mówili już o Masławie, ale ku Wiśle lasami zdążać myśleli, aby się, przebywszy ją, na Mazurach gdzie schronić, bo tam czerń jeszcze nie powstała.

Dniało, gdy jakby cudem ocalony gdzieś kogut, sam jeden na pogorzeli, zaśpiewał na zaranie, oznajmując pustkowiu początek dnia nowego. Głos ten usłyszawszy, ruszyli się wszyscy. Lepsze on czasy i spokojne dwory przypomniał.

Jedyny teraz mieszkaniec spustoszonej osady, nie czując, co go otaczało, dobył z piersi może ostatni

raz głosu, posłuszny nałogowi staremu. Głos ten, nawołujący do życia śmierć i po pioły, zdał się strasznym urągówiskiem a razem upomnieniem.

Strwożeni jedni, drudzy ożywieni podnosić się zaczęli, jakby ich czujny ów stróż zawstydził.

— Tak nam też przystało, póki żyjemy, się obwoływać! — zawołał Lasota, podnieść się usiłując.

— W drogę!

## Rozdział 2.

Po nocy pogodnej i cichej ranek wstał chmurny znowu i wiatr, jakby

przebudzony, obłoki nieść zaczął jak wczora. Goniły z zachodu niby za wieczornymi spóźnione. Zrazu wybiegły zarumienione i drobne, przodowi wysłańcy, tuż za nimi cała czereda szarych, zwijających się w grube wały, poszarpanych na skrajach, i wnet całe niebiosa zaciągnęły się jakby smętną płótna oponą, po której kłębiły się, dymiły coraz nowe chmur gromady. Wiatr też ziemię zamiatać poczynął i na pogorzeliiskach obalał gdzieniegdzie chwiejące się dylów szczątki; padały na popielisku, a dym i kurzawa podnosiły się od nich i rozwlekały daleko.

Zimny powiew zachodni zmusił ruszać się z ziemi. Pilno trzeba było myśleć o lepszym schronieniu. W tej gdeckiej, błotnistej, zewsząd odkrytej nizinie lada napaść była niebezpieczną; ni się schronić tu, ni bronić nie było można. Blisko stojące lasy pewniejszym były przytułkiem.

Pierwsi powstawali Doliwowie, myśląc o napojeniu koni, Dębiec też stał do posługi gotowy, zbierając się ognia rozłożyć trochę, aby ciepłą strawą jaką orzeźwić przynajmniej rannego Lasotę i skostniałego od zimna staruszka. Mszczuj chciał, odchodząc, własną opończą okryć ojca Jana, gdy schylając się nad nim, postrzegł, że twarz miał trupioblada, a z lekka do niej dłoń przyłożywszy, uczył, że kapłan żyć już przestał. Skonać musiał spokojnie w nocy z modlitwą na ustach, ręce miał jakby do niej złożone i zaciśnięte na książce, którą ocalił z kościoła. Książka ta była jedyną po nim spuścizną. Mszczuj ani się zadziwił, ni uzalił tej śmierci; dla ojca Jana była ona dobrodziejstwem, dla podróżnych oswobodzeniem od ciężaru, któremu, nie wiedzieli, jak podoleją. Oba z bratem poszeptawszy, gdy się przekonali, że ojciec Jan nie żył, a skostniał był zupełnie, zajęli się naprzód pogrzebem. Dzikiemu zwierzowi a krukowi zwłok na pastwę nie podobna było zostawić, naradziwszy się więc, postanowili złożyć je w kościelnym grobie, z którego wyszedł do nich wczora.

Dębiec się ofiarował dopomóc im do tego pobożnego dzieła, ale go odesłali do koni i sami we dwu, ująwszy zwłoki za głowę i nogi, o dnia brzasku, skierowali się milczący ku zwaliskom niezbyt odległego kościółka. Tu jakby na przyjęcie zwłok kapłana, stała właśnie otwarta trumna dębowa z jednego kłoca wyrobiona, z której trupa rabusie wywlekli. Do niej więc włożyli pobożnie bracia ojca Jana i wiekiem przy słonili na spoczynek wieczny. Zasuńawszy potem płytą kamienną, która wprzód wnijsie do grobów okrywała, otwór pod ziemią, wrócili do spalonej chaty.

Lasota, przebudzony dawno, patrzył na to, co się działo, lecz popadł był w rodzaj odrętwienia, który wielka rodzi nie dola; ani się cudzej śmierci mógł uzalić, ani by własnej starał uniknąć. Dębiec, klęcząc, warzył coś w garnku, konie były napojone, a choć pasza na wpół wypalonych ogrodach nie



wiele je posilić mogła, rzeźwiejsze były po spoczynku niż wczora. Ranek, choć chmurny, coraz się jaśniejszym stawał, gdy Doliwowie do drogi już stali w gotowości. Lasota leżał

jeszcze na rękach oparty.

— Ojcie — odezwał się Mszczuj do starego, nie zdającego się myśleć o podróży — jechać nam trzeba, a i wy z nami też musicie.

Potrząsnął głową Lasota.

— Dajcie mi tu tak spokojnie zemrzeć — rzekł ledwie dosłyszalnym głosem.

— Po co się już męczyć, aby nędzne życie ocalić, gdy się ono na nic nie zdało nikomu. Gdybym ręce miał!

— Serce macie! — zawołał Mszczuj. — My was tu nie zostawimy. Księdzu Bóg oczy zamknął, da i mnie tu skończyć, rzekł stary.

— Bóg tego nie chce, gdy wam życie ocalił — dodał drugi.

Nie dopuścili Doliwowie, by się starzec dobrowolnie głodem zamorzył i niemal gwałtem nagłąc, ująwszy go pod ręce, z ziemi podnieśli. Dębiec dopomagał, podprowadzono konia, którego rany poprzysychały, wciągnięto go nań i ruszyli wszyscy z nieszczęśliwego pogorzelska, które już nigdy się do pierwszej swej możliwości i dawnego życia podnieść nie miało. Raz jeszcze, przeciągając przez zwaliska te, napatrzeć się musieli straszego obrazu spustoszenia.

Gdecz naówczas był niemal całej Polski wizerunkiem w gruzach leżącej i popiołach, bezpańskiej, zniszczonej i pustej. Krajało się serce tym, co ją niedawno jeszcze pamiętali żywą, wesela pełną, z tłumami przebiegającymi ulice, z grodami za sobnymi, z kościoły śpiewem brzmiącymi. Dziś milczała jak wielki cmentarz, a krucy się unosili nad nią, szukając nie dognitych trupów, i oszalałe tłumy burzyły, co jeszcze stało.

W posępnym milczeniu przejechawszy około zburzonego gródka, puścili się drogą ku lasom. Okolica, jak zajrzeć, pustą była, bo kto się wyrwał z rąk Czechów, skrywał się po lasach i gęstwinach. Bezpieczniejszymi też czuli się jadący, gdy się wśród drzew znaleźli, Tu, choć dosyć obeznanym z krajem, niełatwo się teraz pokierować było. Jedyna większa droga dla uchodzących służyć nie mogła; spotkać się na niej było łatwo z kupami zbrojnymi albo z oddziałem Czechów, po całym rozsianych kraju. Gromady dziczy rycerstwu nie przepuszczały, a Czesi w niewolę brali. Rzucić się więc musieli w stronę bezdrożami, a Mszczuj, który myśliwym był, zapewniał, iż po korze drzew się kierując, manowcami ku Wiśle doprowadzi. Nie było bowiem innego schronienia jak za Wisłą, choć ów pokój, co tam miał panować, pogłoską był tylko i słuchem; nic nie ręczyło za bezpieczeństwo, a czterej zbiegowie, z których jeden był bezbronny, drugi pokaleczony i wycieńczony głodem, obronić się nie mogli napaści nawet małej garstki złych ludzi.

Zapasu żywności też, oprócz tej, jaką na plecach w worze niósł Dębiec i Doliwowie w sakwach jeszcze mieli po trosze, nie było żadnego; ta na długo starczyć nie mogła. Trzeba się było zdać na

opatrne losy. W głębi puszczy jesień jeszcze nie była tak widoczną, ocalało tu więcej liścia, trawy i zieleni, wiatr nie dojmował tak ostro. Przebywszy przerzedzony bór od skraju, gdy się w gąszcze dostali, jechali ostrożnie, nadsłuchując, niemal ubezpieczeni. Przodem postępował Mszczuj prowadząc, za koniem jego szedł Dębiec, dalej włókł się, koniowi cugle puściwszy, Lasota, istny trup żywy, a pochód zamykał Wszebor.

Dwa czy trzy razy zwierz im spod nóg pierzchnął prawie, ale nikt się on nie pokusił; gonić nie było sposobu, rzucić oszczepem za daleko. W kilka godzin dopiero młode, spłoszone sarniátko udało się Mszczujowi, w chwili gdy przystanęło, nie wiedząc jeszcze, gdzie pierzchnie, przesyć dzidą rzuconą. Pobiegł za nim Dębiec i skaleczone pochwycił. Pożądana to była zdobycz i gdy stanęli na łączce dla koni, mogli upiec kawał mięsa, którego dawno nie kosztowali.

W głębinie lasów nic się nie zdawało ludzi zwiastować, milczały całe, a choć Mszczuj dla ubezpieczenia się ucho do ziemi przykładał, nie posłyszał nic, co by obawę jaką wzniecić mogło.

Gdy konie, popasłszy na lepszej trawie, której tu podostatkiem było, napiły się w strumieniu, orzeźwiały, puścili się zaraz w dalszą drogę. Wiodła ich ona prawie jednostajnie gąszczami, borem, zaroślami, w jednym kierunku, jak ich Mszczuj zapewniał, który już dnie i czas, gdy się nad Wisłę dostać mieli, obliczał. Nie przeciwiał mu się nikt, bo lepiej znał kraj, a swego pewnym się zdawał. Lasota milczał obojętny, dawał się prowadzić nie pytając, bo nie patrząc prawie. Czynił, co mu wskazano, sam już, jakby woli pozbywszy, nawet karmić się i poić dając i nie upominając o nic. Pamiętali o nim towarzysze podróży, nie dziwiąc się temu, bo wiedzieli, że rodzinę utracił, a w nim samym życia było nie wiele.

Miało się już tego dnia ku wieczorowi, gdy jadąc tak powoli, Mszczuj, który oczyma naprzód sięgał daleko, aby nie wpaść w jakie niebezpieczeństwo, ręką dał

znać jadącym za sobą, aby przystanęli. Zatrzymano wnet konie, uciszyli się wszyscy.

Mszczuj, zlazłszy ze swego, począł skulony iść naprzód, aż przypadł i pełznął na brzuchu.

Zza gałęzi drzew, już z liści trochę obnażonych, widać było na małej łączce u pnia dębu starego coś, czego zrazu dobrze rozeznac nie mogli. Bieląta jakby odzież jakaś, niby ludzi oznajmująca. Mszczuj się, tak skradając po cichu, przysunął do pnia starego drzewa, a tu rozpatrzywszy się, wstał śmiało na nogi. Jadący za nim domyślili się, iż obawiać się nie było czego. Skinął też na nich, aby się zbliżyli.

Widok, jaki mieli przed oczyma, zdumiał ich, litość nie przestraszył obudzając.

U pnia dębu siedziało z włosami rozpuszczonymi śliczne dziewczę, zaledwie lat piętnaście mieć mogące. Kwiatek ten świeży zwarzył już jakiś podmuch ostry, na zbladłej twarzy okrutną boleść widać było wyrytą. Oczy miała zwrócone ku górze i nieruchoma tak siedziała, gdyby posąg jaki. Z dwojga oczu niebieskich ciekły dwa łez strumienie, ciekły i zaschły na twarzy, na której dwie tylko krople wezbrane jak perły się iskrzyły. Rączyny miała podłożone pod głowę, sparte na drzewie, a na kolanach jej spoczywała druga niewiasta, sukniami obwinięta, z głową zakrytą, śpiąca, chora czy zmęczona. Twarzy jej widać nie było. Obok dwóch niewiast leżały rozsypane wężełki, suknie zrzucone, kosz z jadem i sprzęt drobny. Były same, we dwie tylko, nikogo więcej z nimi. Po sukniach

znać w nich było niewiasty majątnego rodu, żony żupanów lub władyków. Młodsza miała na sobie przyodziewek futerkiem okładany, druga okryta była kosztowną suknią z ciężkiej tkaniny. Na szyi dziewczeczki świeciły łańcuszki złote i wieszadła, kolce miała przy uszach, pierścienie na rękach białych, wpośród włosów wyglądały.

Mszczuj, który ją pierwszy zobaczył, stanął jak wryty. Piękniejszej niewiasty nie widział w życiu swoim; zdała mu się królewną albo duchem zaczarowanym tych borów. Obie niewiasty były jakby skamieniałe, nie słyszały przybywających, nie poruszały się wcale. Domyślał się Mszczuj, że ta, która na kolanach dziewczeczki spoczywała, uspioną być musiała, a ona nie śmiała ani drgnąć, by jej snu nie przerywać. Dopiero gdy konie bliżej podeszły a parsknęły i tętent się dał słyszeć wyraźniej, z krzykiem porwała się dziewczeczka, budząc uspioną. Przerażona do obłąkania prawie, nie wiedziała, co czynić, bo nie mogła rychło do przytomności przywieść obudzonej.

Gdy się tamta podniosła, ujrzeni w niej starszą i poważniejszą niewiastę, twarzy jeszcze świeżej i wdzięcznej, rysów pięknych, z brwiami i oczyma czarnymi, wyrazu dumnego i pańskiego. Ciemnymi i rozrosłymi łuki brwi w półkole zwieszały się nad powiekami, przysłaniającymi źrenice wielkie i ogniste. Patrzała nimi strwożona, lecz gniewna razem. Dziewczę daleko mocniej przelekle usiłowało, chwytając ją i ciągnąc, uprowadzić z sobą, gdy Mszczuj się pokazał i pospieszył

zawołać, by się nie lękały niczego. Na ten głos, mowę swoją usłyszawszy, niewiasty, choć strwożone jeszcze się tuliły do siebie, znać było, że nabrały otuchy. Starsza się podniosła, wyprostowała dumnie, osłoniła płaszczem, którym była przy kryta, i dosyć śmiało poczęła się Doliwie przyglądać. Młodsza skryła się za nią i instynktem raczej niż z rozmysłem, chwyciła włosy rozsypane, których długie, jasne warkocze całe jej ramiona okrywały jakby płaszczem złocistym.

Mszczuj, choć znał dawniej na dworze, potem po grodach bywając, wszystkie niemal znaczniejsze rodziny, nie przypominał sobie tych dwu niewiast, które gdyby je był raz widział w życiu, z pamięci wyjść nie mogły. Piękność tylko co rozkwitłego dziewczęcia tak była zachwycającą, że dość na nią raz spojrzeć było, aby na wieki o niej pamiętać. Twarz też starszej pani uderzającą była i wdziękami, i wyrazem a przybraną powagą. Zdało się, jakby cudzoziemką była, bo i płeć miała śniadszą niż polskie niewiasty, i na wierzchniej wardze czarny puszek porastał. Silna, wzrostu więcej niż miernego, pulchna i pełna, postawę miała królowej i wejrzenie do rozkazywania nawykłe.

Chociaż to spotkanie ich w głębi lasów i przestkach młodszej dowodziły, że obie były w położeniu rozpaczliwym, same jedne, opuszczone, uciekające zapewne przed tą tłuszczą, która nie szanowała ani kościołów, ani niewiast, twarz przecie starszej nie wydawała zbytniej trwogi. Brwi tylko czarne zbiegły się jej nad oczyma i dwie marszczki przecięły czoło. Patrzała długo na Mszczuja, badając go oczyma i czekając, aż się odezwie.

— Nie lękajcie się, miłościwe panie — rzekł przybywający. — Myśmy nie napastnicy, sami uchodzimy od napaści. Nas tu dwu braci Doliwów, stary Lasota spod Szrody i człek ze służby. Jedziemy ze spustoszonego kraju od Gdecza, gdzie już i żywej nie zostało duszy.

Gdy to mówił Mszczuj, nadciągnęli jego towarzysze, którym też starsza pani przypatrywała się bacznie, a zza niej kiedy niekiedy trwożliwie wyglądała ciekawa, kryjąca się za płaszczem, biała twarzyczka dziewczęcia. Zatrzymali się wszyscy na widok tych niewiast samych jednych śród lasu,

bezbronnych, aż litość nad nimi brała. Walczyć z nieszczęściem wszelkim męską jest rzeczą i mężowi przystojną, lecz gdy niewieście bezbronnej, bezsilnej przyjdzie tak stanąć nad przepaścią na łasce dziczy, gdy niewiasta w kwiecie wieku, żywota ginie marnie, najtwardsze serce się ściska. Patrzali nadciągający, zdjęci litością wielką; nawet Lasota, któremu własna przypomniła się rodzina, oczy otworzył zagasłe i poruszył się na swym koniu.

— Bogu Najwyższemu niech będą dzięki, co was tu ku nam sprowadził —

ozwała się starsza niewiasta. — Bogu niech będą dzięki. Oto już trzeci dzień, jak tu siedzimy same, drżąc a płacząc. Ostatni sługa, co był z nami, poszedł się rozszluchać po okolicy i nie wraca. Na Poniec, gród nasz, napadły gromady srogie, ludu ćma...

Ledwieśmy z córką ujść zdążyły z jednym starym. I tego nie ma teraz, nie wraca, a nas tu głodna śmierć lub zwierza paszczęka czekała. Co z domem, co z mężem się stało, Bóg jeden wie!

Zasłoniła ręką oczy, z których łzy pociekły, i zamilkła.

Wszyscy z koni zsiadali, przybliżając się nieco. Młode dziewczę, wciąż strwożone, za matkę się kryło.

Z nazwiska męża znano starszą niewiastę; była ona rodem z Rusi, greckiej matki dziecię, poślubił ją był możny władyka, Leliwa. Miała imię Marty. Za Bolesława Wielkiego czasów, gdy z Rusią były ściślejsze stosunki, a chwilami przyjaźniejsze, swatali się książęta i żupany z Rusinkami, brali niekiedy Rusini żony ze dworu króla i po grodach. Ani Marty Leliwowej, ani córki jej nikt z przybyłych nie znał z twarzy, ni je kiedy widział w życiu. Spicymierza, inaczej zwanego Spytkiem, który niedawno się był przeniósł na siedzibę do Ponieca, widywali nieraz Doliwowie i Lasota. Mąż to był podeszły już w lata, rycerski, odwagi niezmiernej, czego w wyprawach mnogie dał dowody. Nie śmiano domyślać się nawet, co się z nim stało; zmiarkowali wnet wszyscy, że gdy podczas napadu czerni był doma, niżejliby miał uchodzić, raczej życie dał. Mógł żonie swej i dziewczce do lasu kazać się schronić, ale sam pewnie kroku dostał.

Aby daremną mową nie rozzalać zbolełej niewiasty, nikt się nie odezwał z pytaniem o niego; ona sama, ręce łamiąc, mówić poczęła, bo się pohamować nie mogła, jak zwykle nie wiasty w złej doli.

— Bóg jeden wie, co się z panem mym najmilejszym stało! — wołała. — Z

ludźmi swoimi chciał się bronić do upadłego, a czy potrafił z tych gromad, co go osaczyły, choćby przebojem się wyrąbać?

I płakać zaczęły obie. Wtem Lasota, który przez całą drogę milczał, postąpił, okazując poszarpaną zbroję i ciało pokrwawione, lada jako chustami

poobwiązywane, na których też zaschłej krwi plamy widać było.

— Nie narzekać już dziś na nic, a dziękować Bogu, kto choć żywot ocalił —

rzekł. — Moi wszyscy zginęli! Ja cudem ocalałem. Kogo Bóg zachowa sierotą, musi się poddać

losowi, poległych oplakując. Dziękujcie Bogu, że was czerń do nogi nie wycięła, bo się na rycerstwo, władyków i żupanów zawzięli srodze, tak aby plemię nasze całe po wszech ziemiach wytępilli. Znałem ja Spytka, nie ustąpił pewnie sromotnie, więc bodaj z życiem uszedł. Nam też i mnogim nie dobitkom mało co żywota zostało. Spytajcie, miłościwa pani, czy z tych naszych, co się w Gdeczu schronili, żywa uszła dusza inaczej jak w pętach!

Płacz i narzekanie niewiast na nowo się rozpoczęły; pocieszać je było trudno, milczeli wszyscy. Tymczasem, że się na wieczór zbierało, obozować tu

postanowiono, nie chcąc i niewiast opuszczać, które na sługę czekały. Któż wiedział, czy się co doczekać mogły!

Choć w tak srogim utrapieniu, gdy życie na włosku wisi, nie czas myśleć o piękności niewieściej i w niej się rozmiłowywać, oba Doliwowie, ujrzawszy córkę Spytkową, jako byli młodzi, nieżonaci a gorącego serca, nie mogli się jej napatrzeć.

Dziewczę się kryło, jak mogło, za matką, widząc jak ją oczami prześladowali; nie pomagało to wiele, bo Doliwowie pod pozorem posług różnych bliżej się cisnęli, aby choć popatrzeć na nią, a krasą się polubować. Rozdzielone były wprawdzie od siebie obozowiska, niewiasty się trzymały na uboczu trochę, ale młodym łatwo było wymyśleć sposoby przybliżenia się do nich.

Sługa ów Spytkowej, na którego czekała, aby jej wieści przyniósł o mężu i o grodzie ich, nie powracał. Coraz więc prawdopodobniejszym się zdawało, że go gdzieś pochwycono albo się obłąkał w lesie, lub padł pastwą dzikiego zwierza, choć miał to być człek wielce sprawny i z lasem po bartniczemu oswojony, że w nim był

jak w domu.

Jawnym to było dla Doliwów, że opuścić tak niewiast nieszczęśliwych nie godziło się. Koni nie miały, tabor nimi zwiększony jeszcze się wolniej musiał

posuwać ku Wiśle, na większe będąc narażony niebezpieczeństwa. Nikt na to nie sarknął, Doliwom obu podróż ze Spytkową uśmiechała się, bo się w niej na pierwsze wejrzenie rozmiłowali, nie wiedząc wcale o sobie.

Już mrokiem, gdy coraz bardziej o powrocie sługi wątpić poczęto, radzić trzeba było o jutrze, bo stać dłużej dla szczupłego jadła nie mogli. Spytkowa zaklinać poczęła, ręce łamiąc, aby ją tak samą nie porzucano. Odezwał się tedy stary Lasota, który stał się mówniejszym:

— Któż by o tym myślał! Nie przeto będzie bezpieczniej i lepiej, bo i my niewiele możemy, a przekradać się musimy, bronić nie mogąc.

— Dokądżeście ciągnęli? — spytała Spytkowa.

— My...? Ku Wiśle — odparł stary. — Ano, inna to rzecz była nam uchodzić samym, inna z sobą niewiasty prowadzić. Doliwowie nas ku Wiśle prowadzili, gdzie na Mazurach pokój być ma, bo ten niepocziwiec Masław żelazną ręką lud trzyma.

Ale my go znać nie chcemy, tym ci więcej niewiast mu pokazać nie można, bo nic też nie szanuje, ni czci, ni życia, a siłą się swą upił jako miodem. Więc za Wisłę ciągniemy. Dokąd? Gdzie? Bóg wiedzieć raczy.

Nikt długo nie odpowiadał.

— E! — odezwał się w końcu Mszczuj. — Tak jak jest, na zawsze zostać

nie może. Ład wróci, nasi się skupią; tymczasem, choćby szalały skleciwszy, przesiedzimy złą godzinę.

— A głód? — mruknął Lasota głowę spuszczać.

— Na to sobie radzić będziemy — odparli uśmiechając się Doliwowie. —

Zresztą, co nam pozostało? Samym o sobie myśleć i życia bronić!

Stary nie odpowiedział nic, niewiasty szeptały między sobą, i nie

postanowiwszy więcej, zamilkli wszyscy.

Już noc była prawie, gdy wśród tej ciszy leśnej popłoch znowu padł na obozujących, szczególnie na niewiasty lękiwe. Szelest się dał słyszeć między gałęzmi. Mszczuj i Wszebor wnet do koni i oszczepów skoczyli. Zbliżał się chód ja kiś i po chwili z gąszczy wysunął się, rozglądając ostrożnie, człek o kiju idący z toporem za pasem i oszczepem. Był to ów wysłaniec Spytkowej, o którego powrocie zwątpiono. Zobaczywszy go, rzuciły się zrazu niewiasty ku niemu, ale wpatrzywszy weń baczniej, wnet się powstrzymały, nie spiesząc pytaniami. Szedł on a raczej włókł się, zataczając ze znużenia, z twarzą zbiedzoną i posepną; łatwo było odgadnąć, że złe przynosił wieści. Zbliżył się, rozpatrzywszy, ku ognisku; stanął, popatrzył litościwie na panią swą, oparł się na kosturze i milczał długo, oczyma tylko mówił, że go o co pytać nie było. Spytkowa też badać już nie śmiała, woląc przedłużyć niepewność, niż dostać wiadomość, którą przeczuwała. Stary ów Sobek, choć męskiego serca człek, popatrzywszy na swe panie, płakać zaczął. Milczenie groźne jak to, co burzę poprzedza, panowało przy ognisku. Lasota się ozwał

pierwszy:

— Zginął Spyttek? Co z waszym grodem się stało?

Ręką w powietrzu zamachnąwszy, ku ziemi ją spuścił Sobek.

— Z dala tylko patrzałem — rzekł — jak dymiło gniazdo nasze; nie ma go już, nie został nikt, nic nie zostało. Ranny Żugwa, co się ze zgliszcz wywlókł do lasu, gdzie go konającego znalazł, powiedział mi tylko, że pan nasiekł dużą trupów górę, nim go dostali, a legł rycerską śmiercią. W kawały go rozsiekli zbóje.

Zaszyły się od nowego płaczu niewiasty, popadawszy na ziemię; ani śmiał kto ich łzy tamować.

Przybyły Sobek, więcej nie mówiąc, jak stał, zwałił się tuż przy ogniu, bo mu znużenie wielkie nogi podcięło. Odstąpili na stronę Doliwowie i Lasota, zostawując płaczące z ich bólem i losem, na radzając się z sobą, co dalej poczynać mieli. Troje pieszych przybyło im do gromady, bo i Sobek do niej przyłączyć się musiał. Oba bracia się na to godzili, że niewiasty na konie posadzą, a sami pieszo pójdą. Lasoty z nędznej, wychudłej szkapy poranionej zsadzać się nie godziło, bo iść by nie mógł wcale. Pieszo tak idąc, wędrownka przeciągnąć się musiała. Odeszli z sobą dla narady dwaj bracia, a choć zgodni, jakoś tak na się patrzali, jakby się pokąsać mieli, i nieufnymi ku sobie spoglądali oczyma. Przyczyną tego było owo dziewczę, na które oba łakomie patrzali, i jeden drugiego oczy szpiegował; Mszczuj posadzał Wszebora, a Wszebor Mszczuja.

— Ja konia mojego dam dziewczynie — odezwał się Mszczuj, biorąc w bok

— sam pójde przy niej, aby się gdzie nie spłoszył lub nie padł.

— Dlaczego ty, a nie ja? — odezwał się Wszebor szydersko. — Toć i ja to potrafię.

— A czemuż znowu tobie koniecznie ma przypaść dziewczyna? — ofuknął

drugi.

Spojrzeli sobie w oczy ostro.

— Bo mi dziewczyna do smaku! — rozśmiał się Wszebor.

— I mnie toż samo! — odparł Mszczuj.

— No i mnie!

— I mnie!

Poczęli tak rzucać coraz ostrzejszymi słowami, oczyma się mierzając, jakby się już wyzywali. Żaden ustąpić nie chciał. A jak byli oba zawsze gorący i łatwi do zadarcia, już się im i na gniew zbierało. Dopiero, gdy wybuch był bliski, wstyd się im zrobiło ludzi i samych siebie.

— Słuchaj no, rzekł głos zniżając Wszebor, nie pora nam się o cudzą dziewczkę żrzyć, dajmy pokój. Pierw ją i matkę ratować trzeba, potem się rozprawiemy, czyją ma być. Spytkowa i córka niech sobie same wybierają konie, podprowadzimy je im oba.

Mszczuj głową skinął.

— Ino nie myśl, dodał, żebym ja ci tak łatwo ustąpił. Znasz mnie, że ze mną niełacno.

— A ze mną też! Znamy się oba.

— Pewno! Nie ma się tu o co zajądać. Dziewki żaden nie weźmie siłą.

Wszebor się uśmiechnął pogardliwie.

— Czemu? zapytał. — Inaczej jak siłą rzadko się niewiasty biorą!

— A jak siłą, to i siłą! — mruknął drugi.

Znowu się omal nie poważnili. Szczęściem, gdy tak na uboczu pryskali słowy, nikt ich nie podpatrzył i nie podsłuchał. Zamilkli w czas, rozchodząc się, z krótkiej rozprawy z sobą wynosząc niechęć i gniew wzajemny.

Nocą trzeba było, liche skleciwszy szałas, ognie pogasić, aby nie zdradziły, a jednemu stać na straży na przemiany. Dobrze, że jesienne chmurne niebo deszczem się tego dnia nie rozlało.

Jak tylko świt, sposobiono się do drogi. Tu znowu wczorajszy spór się wszczął, ale milczkiem. Oba Doliwowie z końmi się parli wyprzedzając, aby je poddać niewiastom. Komu się dziewczyna dostanie? Więc jeden drugiego popychał, oczyma zaognionymi mierząc, a żaden ustąpić nie myślał.

Zawczasu powiązано węzły i sakwy, które Sobek miał dźwigać na sobie, poodziewały się matka i córka, stały gotowe, gdy się przed nimi Doliwowie z końmi znaleźli. Dziękowała Marta Spytkowa, a popatrzawszy na nie, wybrała

Wszeborowego konia, który był cięższy i silniejszy, chcąc za sobą córkę posadzić, aby się od niej nie rozdzielać. Wtem Mszczuj się ozwał, że konie ich słabe były, podróż długa, więcej jak po jednym sadzić na nie trudno.

Dziewczę się zawahało, samo od matki nie chcąc zostać, matka też porzucić ją nie rada. Gotowe były iść pieszo. Do liwowie stali, a tu czas naglił.

— Miłościwa pani — rzekł Mszczuj — czasu nie ma co tracić na rozmysły.

Siadajcie wy na jedną szkapę, dziewczeczka na drugą, my przy was pójdziemy, a na oczach ją przecie mieć będziecie.

Dziewczę się do matki tuliło. Spytkowa wahała. Lasota, którego już wsadzono na konia, nawoływał:

— Nie ma się tu co drożyć, gdy o życie idzie!

Uściskawszy dziecko i poszeptawszy jej na ucho, choć od niej oderwać się było trudno, siadła starsza pani na Wszeborowego konia, Kasię dając Mszczujowi, który zwycięsko a szydersko na brata się oglądał.

Dziewczę imię miało Katarzyny, jednej z najpowszechniej czczonych

naówczas patronek.

Ruszyli więc w imię boże manowcami znowu i koń przed koń tak że dziewczę za matką zostać z Mszczujem musiało, ale się zaraz otuliło i osłoniło tak, że ani oczu nawet jej widzieć nie mógł.

Mijając ze starszą brata, Wszebor schylił mu się do ucha:



— Niedoczekanie twe, abyś ty się nią długo cieszył, wezmę ją z kolei.

— Zobaczymy — rzekł Mszczuj.

— Ano...

— Zobaczymy.

I tak się gniewni bracia rozstali.

Umyślnie wiedziono najdzikszymi puszczy ostępami, w których śladów nie było ludzkiej stopy. Lasy się w tę stronę nieprzerwanie ciągnęły, a jak sobie Doliwa pochlebiał, miały ich aż do Wisły doprowadzić, boć cały kraj naówczas nie czym innym był, tylko ogromnym lasem, tu i owdzie poprzerąbywanym, wykarczowanym kawałami. Gdzie się kolwiek człek obrócił, bliżej lub dalej, las widział przed sobą, i choć się trafiła polana albo łąka, tuż za nią bór się znowu poczynał. Jechali tak długo, gdy z południa już rzadnąć począł bór i ze strachem niemałym, wybiegłszy naprzód, Mszczuj postrzegł, że stali nad rozległą, płaską, odkrytą równiną. Wprawdzie na drugim jej krańcu bory znowu widać było gęste, lecz tak daleko, iż powoli jadąc, niemal dnia potrzebowali, nimby się tam dostali. Właśnie w tej stronie kędyś i ta Wisła, za którą się schronić mieli, znajdować się była powinna. Należało więc coś obmyśleć, aby długo na widoku nie stać w przeredzonym lesie.

Sobek się ofiarował, sakwy zrzuciwszy, wypełznąć ostrożnie dla rozpoznania okolicy. Z dala już gdzieniegdzie nad ziemią podnoszące się dymy oznajmywały, że dolina całkiem opustoszała nie była. Sobek, który bartnikiem niegdyś bywał, wdrapawszy się na drzewo, dojrzał w dali spalony grodek, mury kościółka na pół

obalone, a co gorsza, zdało mu się dojrzeć też ogromne obozowisko ludzi pieszych i konnych, z szeroko porozkładanymi ogniami, około których stada się pasły, bydło i konie leżały, kupy jakieś nagromadzone sterczały. Domyślał się, iż trafili nieszczęściem na jedną z tych gromad, które ciągnąc z osady do osady, dwory, grody, klasztory i kościoły pustoszyły, równając z ziemią. Byli to lud z okolicy, Prusacy czy Masławowe wojsko, trudno się kto mógł domyśleć, a dla zbiegów równym to było.

Potrwożyły się, chcąc nazad w puszcze, niewiasty, choć obóz leżał w bardzo wielkim oddaleniu; godzili się wszyscy dalej w lewo brnąć, w stronę, w którą się lasy zataczały, i nimi okrążyć dolinę. Śmielszy od innych Sobek radził w gąszczu przystanąć i czekać, sam się ofiarując iść na zwiady. Choć Lasota mu się to starał

odradzić, a niewiasty stracić się sługi lękały, nie było dla podróżnych obojętnym dowiedzieć się, co się w tej stronie działo, ku której dążyli. Niedługo się spierano; bartnik tak siebie pewnym był, a ochoczo się brał do tego, iż mu się wybrać dozwolono. Doświadczony bywalec umiał się wygadać, jak było potrzeba, przybrać postać różną, udawać, kogo chciał, a spodziewał się, że w mnogim tłumie czerni nikt go przecie poznać nie może. Im większe były gromady, tym mu się zdało bezpieczniej, bo wszyscy się tam znać nie mogli. Mowa i odzież prosta łatwo mu się przekraść dozwalała.

Od kraju lasu do obozowiska przestrzeń była znaczna, musiał Sobek tak się przekradać, aby nie

widziano, że z puszczy wychodził. Doliną nieco dalej przepływał

strumień, którego brzegi gęste wierzby i łoża zarastała. Aż do brzegu jego, Sobek, położywszy się na ziemi, ostrożnie pełznąć musiał po łące i roli. Dostawszy się do zarośli, z wolna się nimi przekradając, mógł się przysunąć do obozu i znaleźć w nim niepostrzeżony, jakby od stad pasących się nad wodą przychodził. Ze zręcznością dzikiego człowieka, którego instynkt i wprawa wiedzie jak zwierzę, wszął się w łoża Sobek. Z dala chyba myśliwca oko mogło dostrzec z lekka drgające gałęzie tam, gdzie się on przedzierając ostrożnie, poruszał nimi. Baczył i na to, trzymając się wody, gdy było można.

Dosyć mu też czasu zabrało to przekradanie się nad rzeczulką, gdy usłyszał

wreście rzenie koni, ryk bydła i szmer a gwar ogromnej ludzi kupy. Był już około pastwiska. Śmiały równie jak zręczny Sobek, topór zostawiwszy w łożach, sam się z nich dobył, niosąc pęk nałamanych dopiero wici, które idąc po drodze, plótl a kręcił

na pęta. Nikt też na niego oczów nie zwrócił i z łożami pod pachą wsunął się w stado pasących się koni, rozpierzchłych szeroko. Stąd już widzieć mógł, iż nie na wojsko żadne trafił ani na Czechów lub Prusaków, ale na tę zbójcecką czerń, która z żagwiami i kołami od dworu do dworu ciągnęła.

Biesiadowano około pobranych łupów ze śmiechem i krzykami. Dalej

pośrodku obozu powiązane w łyka leżały pokotem pobrane niewiasty i wyrostki. Za obóz wyrzuconych kilka się trupów walało, około których psy, warcząc, chodziły.

Namiotów ani szałasów nie klecili najeźdźcy, leżąc pod gołym niebem. Paliły się ogromne ognie, a przy nich piekły barany i porznięte bydło. Stały beczki poodbijane, z których, kto chciał, czerpał. Na ziemi dostrzegł Sobek kupy owe wszelkiego bogatego sprzętu dworskiego i kościelnego. Ponad gromadami sterczały starym obyczajem stanice z bożyszczami różnymi. A że dawnych, poniszczonych nie stawało, w większej części rzezane były lada jako, nieforemnie, z drzewa. Pieśni pogańskie i swawolne rozlegały się dokoła, bo gromady były podpiłe, a ochota wielka.

Sobek stał tak, patrząc pośród koni, nie wiedząc, czy iść ma dalej, gdy opiły parobczak, który z biczyskiem stada pilnował, przystąpił doń i począł mu się przypatrywać. Nieulekły stary plótl dalej wić, wzajem mu też w oczy zaglądając.

— Pasza zła! — zamruczał, poczynając rozmowę, chłopak.

— Ta dla koni! — rzekł Sobek. — A dla nas jest jej podostatkiem. Cóżes to ty głodny? — zaśmiał się.

— Ja nie! Ano mi march szkoda.

— Licho ich nie pobierze. Darmoć one przyszły, bośmy je po dworach

zganiali, choćby który i zdechł! Przecie i krukowi się coś należy — mówił Sobek spokojnie.

— Na, na! — mruknął parobczak. — Już by dosyć tej włóczęgi! Dwór się na okolice pono i jeden nie ostał, ani klasztor, ani kościolisko, a za chatą tęskno.

— He? Cóżes to w niej zostawił? — pytał Sobek. — Dziewczynę?

— A pewnie, jak nie dwie! odparł parobczak. — Gołowąs nie jestem, toć mi się należy.

Obrócił się głową ku obozowisku.

— E! Tam ich jest kilka, tam! Ano sobie starszyzna po bierze, nam ino chyba baby zostaną!

— Wróćcie do swojej, to i lepiej. Nie ma tam komu bałamucić, kiedy wszyscy wyszli — mówił Sobek.

— E, e! — mruknął pastuch. — Wszyscy albo i nie.

Ziewnął i westchnął razem, a nabrawszy fantazji, z bicia trzasł, że aż konie się spłoszyły, czym sobie śmiechu narobiło pacholę.

— Toć już pewno wrócimy teraz, kiedy nie ma co dalej robić, bo nic nie zostało! — odezwał się Sobek. — A i mnie do chałupy markotno.

— Zjesz licha — rzekł pastuch. Zostałoć Horodyszczce Olszowe. Władyki się na nim zamknęły, z którymi skarby są wielkie i dziewuch siła, a tych ani dostać. Toć musimy borsuki z jamy wykurzyć!

— Gdzie? Jakie Olszowe Horodyszczce? — wtrącił stary.

— Jam nie słyszał. Boś stary i głuchy! — śmiał się parobczak. — A gdzie żeś był, gdy my tam chodzili?

— Ja? — odparł Sobek. — Jam trzodę paś. Nie wiem nic.

— Toć tam ludzi nam nabito i musielim precz odejść, ale ich głodem weźmiemy.

To mówiąc, pastuch świstać począł i do rozmowy nie miał ochoty.

Sobkowi też wić się rwała, klął wołając, że po lepszą łożę musi iść. Nikt nań nie zważał. Powłókł się znowu w gąszcze nad rzeczkę. Zaszył się w nie, postął, popatrzal, przyczaił, dopadł zostawionego topora, wetknął go za pas i zobaczywszy, że pastuch znowu na ziemię legł, wcale za nim nie patrząc, na powrót począł z tą samą ostrożnością przedzierać się zaroślami ku lasowi. Śmiała ta wycieczka szczęśliwie mu się powiodła, nikt ani nań spojrzal nawet. Szybszym krokiem, trzymając się brzegu, doszedł do cypla lasu, wypełził z zarośli i dobiegł do puszczy nie postrzeżony. Tu, na wilgotnej ziemi dobrze dla jego oczów znaczne ślady koni poprowadziły go do miejsca, gdzie nań niecierpliwie oczekiwano.

Nie bez obawy myślano tam, czy mu się uda dostać języka, choć Spytkowa ręczyła za niego, iż człek był przebiegły i zręczny, jakiego drugiego nie znano, dla czego i nieboszczyk mąż jej go i córce dał w usługi. Wrócił bartnik wcześniej, niżeli się go spodziewano. Postrzegłszy idącego z dala, wszyscy się doń cisnąć zaczęli.

— Cóżeś widział? Co za ludzie są? — pytała Spytkowa.

— Czerń też sama pewnie, która i u nas była w Poniecu — rzekł Sobek. — Nie tylko ją na oczy oglądał, ale między nich prawie wszedłem i z pastuchem gadałem.

Niedługo pono pójdą po chatach odpoczywać, łup podzieliwszy, bo się już przed nimi nic nie zostało, krom jednego Olszowego Horodyszczu. Tam się władyki bronią, ludzi im nabili i chyba ich głodem będą brać, bo inaczej nie mogą.

— Ho! Ho! — przerwał Lasota. — Niedoczekanie! Na Horodyszczu siedzi

stary Belina ze swoimi, ten się zawczasu zasposobił, nie da się, choćby mu się i rok bronić przyszło. Belinę znam. Śmieli się z niego ongi ludzie, że w bezpiecznym miejscu siedząc, zawsze się tak zbroił, opasywał, zboże zsypywał, jakby się oblężenia spodziewał. Przedsię on jeden rozum miał. Za Bolesława myśleli wszyscy, że się już wszystko skończyło, tylko on w nawrócenie nie wierzył, a wróżył wciąż, że poganie kiedyś kościoły wywrócą, a nas chrześcijan wymordują. On ci jeden widział i wiedział, co się stać miało — dodał wzdychając Lasota.

— A czemuż by my, miłościwy panie, odezwał się do nóg mu kłaniając Sobek, zamiast za tę Wisłę, do której się dostać trudno, nie pociągnęli na Olszowe Horodyszczu! Ja bym poprowadził!

Zamilkli wszyscy.

— Wieszże ty drogę? — spytał Lasota.

Znajdę ją głaskając się po głowie i potrząsając nią, odezwał się stary.

— A przyjmaj nas tam? — dodał starszy Doliwa.

— Jak odepchnąć mogą! — zawołał Lasota. Oni mi plemiennicy, ona mi

krewna. Belina nigdy chrześcijanina a rycerskiego człowieka nie odepchnął od proga.

— Nie objemy go bardzo — dodała Spytkowa, której ta myśl się wydała

ratunkiem jedynym.

Doliwowie się nie sprzeciwiali, nie opierał się nikt tak szczęśliwej myśli; szło tylko o to, jak i którędy dostać się do Belinów. Wedle powieści Sobka, półtora albo dwa dni było drogi, a do gródka docierać musiano ostrożnie, bo choć czerń od niego odstąpiła, czaty i straże dokoła zostawić musiała, na które wpaść było łatwo.

Mszczuj to przypomniał, a Lasota pochwalił. Czerń się pewnie zdobyczy nie wyrzekła i Horodyszczka zupełnie opuścić nie mogła. Na przednie zwiady znowu się Sobek ofiarował ochoczo. Jedyne było pytanie, że go wszyscy pokochać musieli, bo znużonym nigdy nie był, gotów do posługi zawsze, jadła potrzebował mało, snu niewiele, do rady chętny; gdy o nim zapomniano, pół dnia milczał, nie zaczepiając nikogo.

Przed wieczorem jeszcze pociągnięto głębiej w puszcę dla bezpieczeństwa i żeby czasu nie tracić; Doliwowie zdali się na bartnika prowadzenie. Następnego dnia zostawał cały jeszcze na powolny pochód ku Horodyszczu. W niewiasty trochę ducha wstąpiło z nadzieją, że się między swych miały dostać, a nie gdzieś w ostępie obozować, Masława się ciągle obawiając, napadu i niewoli.

### **Rozdział 3.**

Do dnia o słońcu wyruszono z noclegu. Nocą jeszcze wzięto się na deszcz jesienny, spokojny, powolny, do gęstej mgły podobny, który się, jak Sobek mówił, kręcąc głową, na długo obiecywał. Oślizły wnet drogi leśne, obmokli wkrótce podróżni, a niewiasty, choć się od zimna poosłaniały i wilgoci, przemarzłe jechały i zmoczone. Spytkowej, gdy tylko mówić z przewodnikiem przestała, a mówiła rada, na płacz się zbierało. Mszczuj ani wczora, ani dnia tego wiele nie zyskał na dziewczęciu, przy którym ciągle się być starał, konia wiodąc i gałęzie łamiąc, aby nie trąciła o nie. Kasia wciąż unikała spojrzenia na niego, a deszcz dozwalał się jej tak osłaniać, że wcale nie mógł dojrzeć ani oczu dziewczęcia.

Starsza pani Wszebor trzymała przy sobie rada, z żalami się przed nim rozwodząc nieskończonymi, A że macierzy się zalecać musi, kto chce córki dostać, Wszebor sobie rachował, że co straci, nie będąc przy Kasi, to odzyska przy pani matce. I śmiał się z Mszczujem w duchu. Mszczuj i tak był markotny, bo mu Spytkówna często, gdy ją zagadnął, nie odpowiadała. Dziewczę było płochliwe, skromne, milczące na podziw, jakby w sobie młodości nie czuło. Żal i boleść może je takim czyniły. Słowa się nie mógł dopytać Doliwa, a jeśli co szepnęła, to tak prędko i cicho, że pochwycić było trudno.

Za to pani matka mówiła za dwoje. Od tej, czego chciał i nie chciał, mógł się Wszebor dowiedzieć. Młodość swoją spędzoną na Rusi, pierwsze swaty, wesele, przybycie do Polan, pożycie z małżonkiem, przygody swe i jego aż do ostatnich wypadków, po kilkakroć mu, coraz co nowego wtrącając, opowiadała Marta Spytkowa. Mówiąc, płakała i śmiała się czasami, gdy zapomniała o smutku; śmiech się łzami przeplatał, płacz śmiechem, niekiedy i czarnymi oczyma zagrała, jakby jeszcze młodą była. Mówiła o sobie, o mężu, o córce, o wielu, co się gotowi byli rozmiłować w niej, gdyby tylko dozwoliła, o wszystkim, co na pamięć przyszło.

Rozpowiadanie to widać było dla niej potrzebą, bo gdy Doliwy nie stało, wołała Sobka, obracała się do córki, a rzadko się jej usta zamykały. Smutku się znać w ten sposób pozbywała, bo ledwie zamilkła, łzy się jej puszczały z oczów. Wszebor mało jej co przerywał; dość było jednego słowa, by dalej popędzić nie ustającą powieść.

W przeciągu jednego dnia on z panią matką tak już był poufale a dobrze, jakby się znali od dawna. A że w owych czasach w ogóle ludzie szersi byli, mógł

naprowadzić wprędce rozmowę na córkę i chwalić ją począwszy, dał do zrozumienia, że mu do serca przylgnęła.

— A toć to jeszcze dziecina niedojrzała a słaba — odparła chmurno Spytkowa.

— Daleko to temu, aby ją mężczyźnie dać. Gołębiami się jej zabawiać i piosenki śpiewać; pociechy by z niej nie miał gospodarz, bo rączyny ma słabe. Gdzie? Gdzie?

Daleko do tego!

I głową potrząsała. Nie nalegał Wszebor, rad może będąc, że Spytkowa dziewczęcia łatwo się pozbyć nie ma ochoty.

Mszczujowi szło gorzej; ano cierpiał. Nie odpowiadała mu Kasia, dlatego jej, idąc, swoje prawil i różnymi baśniami zabawiał ją, jak mógł. Kiedy niekiedy trochę odsłoniła twarzy, matkę chcąc zobaczyć, chusty poprawić, błyskało wówczas oczko niebieskie, szyjka biała, rumianego lica trochę, złotych włosów pierścionek i wnet się otulała znowu, a Mszczuj nic nie widział, tylko oponę pofałdowaną, po której deszcz spływał. Mimo młodości tak jej smutnie z oczów patrzyło pieszczoszcze, taka była jeszcze przestraszona i zboląa.

Stary Lasota znów teraz milczał drogę całą. Dębiec z Sobkiem, dobrze się dobrawszy do pary, przodowali, gwarząc po cichu z sobą. Tym, choć niedawno się poznali, w ciągu jednego dnia udało się zupełnie pobratać i podrożyć. Kołodziej z bartnikiem rozumieli się dobrze, jakby z jednej dieży chleb jedli. Po wycieczce śmiałej do obozu Dębiec dla towarzysza powziął takie poszanowanie, iż mu się jak starszemu i ojcu pod rozkazy poddawał.

Sobek pilnował, aby nie wpadli na ludzi, nie spotkali się z włóczęgami, a wymijali drogi leśne. Dziwili mu się wszyscy, jakie miał oko i ucho a nos wprawny do pochwylenia najmniejszego głosu, światełka, woni. Zaleciała spalenizna, wiedział

pewnie, co się i gdzie, jak daleko paliło, czy drzewo, czy mokre liście, czy dziupla przegniła. Powietrze też ciągnąc, wodę w bliskości poczuł, pole rozpoznał, las od boru z dala rozróżnił. On pierwszy ostrzegł, gdzie co mignęło w gąszczu i nie omylił

się ani na zwierzęciu, ni na ptaku, a najmniejszy szmer, którego drudzy się nie domyślali, chwycił i zrozumiał. Nieraz zachrzęszczało w zaroślach, załopotwały skrzydła ptaszę, nie potrzebował głowy podnosić, by powiedzieć, co przebiegło drogę i co poleciało górą. Ślady też na ziemi czytał jakby książkę dla siebie pisaną, a nie uszła jego oka złamana gałąź, wyleżały barłóg, spasiona łąka, zmacona woda. Z

jego łaski też na żywności nie zbywało, bo Doliwom pokazywał na pewno, gdzie zwierza szukać mieli i jakiego, a gdy na rzeczkę trafili, rękami bez saka ryby łowił.

I był człek, choć niby spokojny, nieustannie czynny, po drodze to grzyby, to jagody zbierając, to nasłuchując, to przyglądając się, a wszystko to nic go nie zdawało się kosztować. Doliwowie też, zdawszy się na niego, już się nie mieszały do drogi, słuchali, co im powiedział, bo się nie mylił

nigdy.

Tak się coraz w głąb puszczy dalej dostawali, a dzień ten mimo wszelkich ostrożności nie obył się bez strachu. Wśród lasu Sobek naprzód poczuł zgorzeliznę, ale zaręczał, że ognisko wygasłe być musiało dawno i dym tylko tak przywrzał do wilgoci. Rozpatrując się baczniej, postrzegł w gąszczu z gałęzi narzuconą kupę, która widocznie ręką ludzką była sklecona i za szalas służyć musiała. Zbliżywszy się ostrożnie, znaleźli tu śpiącego człowieka, który zbudzony nagle, postrzegłszy ich, wyrwał się, chcąc uchodzić. Bliżej stojący Sobek z Dębciem rzucili się nań i obalili na ziemię, lękając się, aby o nich nie oznajmił, bo nie wiedzieli, kto był. Sobek broniącemu się byłby na razie głowę rozbił toporem, gdyby się w czas nie opatrzył, że to zbieg był chowający się w lesie, a nie żaden z czerni włóczęga. Straszno było wejrzeć na niego, bo choć młody i silny, od dni wielu kryjąc się bez żywności, utrzymując życie wodą, liśćmi, korzonkami, wychudł był i wysechł straszliwie, a głodowa gorączka i obłąkanie go opanowało. Sił miał mało, wejrzenie straszne, jakby mu się wewnątrz paliło, a płomień lało oczyma.

Gdy ze strachu ochłonawszy, ludzie poznali, kto był, litość ich wzięła nad nieszczęśliwym. Podniesiono go z ziemi, a gdy inni nadjechali, dała mu Spytkowa chleba suchego, który on chwyciwszy, zapamiętałe, nie patrząc, nie słysząc nic, jeść począł. W tej pierwszej chwili nic się też od niego dopytać, nic dowiedzieć nie było można. Zaspokajał głód, pozbywał się trwogi, której doznał, nagle ze snu gorączkowego będąc zbudzony.

Lasota litujący się chętnie tym, co jak on nieszczęśliwi byli, pilno się w zmienione lice począł wpatrywać. Mimo strasznie wychudłej i poczerńiałej twarzy zdało mu się, jakoby go gdzieś, kędyś, widywał. Zbieg też, popatrzawszy nań, zamruczał pierwsze słowo, co mu się z ust wyrwało:

— Lasota!

— Boże miłosierny! Toś ty nie kto inny, tylko Bohdaś Toporczyk! — krzyknął

stary, ręce łamiąc. — Ale cóż tu w lesie robisz? Sam? Przecieżeś przy Kaźmirzu był i myśleliśmy, żeś z nim za granicę do Niemców uszedł, takeście się z nim trzymali.

Królewicz cię lubił, nie powinien był opuścić.

— Dopiero się usta Toporczykowi otwały.

— On też mnie nie opuścił, rzekł, nadto to dobry i bo goboyny pan, choć z nim ludzie sobie niedobrze, niepoczciwie poczęli! Odbiłem się ja przypadkiem od dworu jego, nim ujechał do matki. Potem już wracać nie było do kogo i gonić nie miałem sposobu. Chwyliła burza i ot, co się stało ze mną!

Mówiąc jęczał Bohdaś. Stali nad nim wszyscy, z miłosierdziem wielkim mu się przypatrując. Znowu tedy jednym biednym człowiekiem pomnożyła się owa gromadka, a nim go odżywiono i naradzono się, co począć dalej, wieczór się zbliżył.

Obradować musiano, już nie opodal będąc od Horodyszczu, jak się dostać do niego, czy nocą dobijać, czy nazajutrz stać i spoczywać do wieczora, by potem, dnia unikając, przybyć o mroku.

Starsza pani o pośpiech nalegała mocno, trwożną będąc i zmęczoną, drudzy się wahali. Bohdasia Toporczyka ni myśleć było porzucić, a wszystkim po głowie chodziło, że im więcej ich przytułku miało szukać na grodzisku, tym trudniej z tylu gębami znaleźć mogli przyjęcie. Już się ich teraz ośmioro zebrało, a żywić w głodny czas ludzi tylu nie było łatwo obłążonym. Choć Belinowie znani byli jako ludzie chrześcijańscy i miłosierni, przecie naprzód o los i przeżywanie rodziny własnej dbać musieli. Nikt nie mówił nic, frasowali się wszyscy. Sobek spytany radził tegoż wieczora, korzystając z mroku, jechać dalej.

Nieco pożywiony i na pojony Bohdaś ofiarował się wlec, dopóki sił stanie.

Spytkowa, w której koszu była jeszcze odrobina jakiegoś napoju, dać go kazała osłabłemu, co go nieco orzeźwiło.

Więc choć ciemność nadchodziła, że słońce trochę nad zachodem ustała, wszyscy się do dalszego uszykowali pochodu. Wedle rachunku Sobkowego, który nie mylił nigdy, przed pierwszymi kury dostać się mieli do tej doliny, w środku której, nad rzeczką stało Belinów Olszowe Horodyszczce. Sobek z Dębce szli przodem, za nimi jechał Lasota, dwie niewiasty, przy których szli Doliwowie i przybysz ostatni. Tego Mszczuj pod rękę wiódł, bo niewiele jeszcze siły miał do chodu. Spytany Lasota przez jejmość starszą, mógł poświadczyć o Toporczyku, iż był na dworze królowej Ryksy przy królewiczu Kaźmirzu wychowany, któremu go do zabaw dodawano, starego rodu i możnego dziecięciem. Spodziewano się po nim wiele, bo i księża go uczyli benedyktyni, i sam dwór głowę otwierał, a pojętny był

we wszystkim i choć nauki miał więcej niż inni, rycerskiego ducha w sobie zachował.

Gdy tak szli, zagadnął go wkrótce Lasota, pozywając ku sobie, aby się coś więcej dowiedzieć, jak popadł w to nieszczęście, z którego cudem ocalał. Lecz o tym niechętnie mówił Toporczyk, winę zwałając na nieostrożność własną, a domyśleć się tylko było można, że wyprawiony został, aby królewiczowi, już zagrożonemu wygnaniem z kraju za matką, posiłki przywołać. Dla niego się poświęciwszy, ścigany, odcięty od Kaźmirza, zmuszony błąkać się, gdy kraj cały wojna i pożoga objęła, tułał się już, byle życie ocalić. Na wspomnienie o Masławie cały się Bohdaś wstrząsł, zawrzał, pięści mu się same ścisnęły jak do bójki i w gniewie okrutnym zawołał, że wolałby z głodu umrzeć lub od czerni ginąć, niż łaską jego żyć.

— Psiego syna tego imienia wymówić nie mogę, bo mnie dławi! — mówił. —

On sprawca, on winowajca, on zdrajca? Wszystka krew nasza na jego głowę! Nie może to być, aby go Bóg nie ukarał. Królowę naprzód, która nim pogardzała, jak zasłużył, prześladował i wygonił; królewicza zamordować chciał, gdyby mu nie uszedł, sam panowania zapragnąwszy! Wiedział przechera, że gdy się krew poleje i pustynią kraj stanie, ludzie zawołają na ratunek choćby zbója! Aleć lepiej ginąć, niż u niego łaski żądać!

I wedle obyczaju wieku Toporczyk kłąc i bezcześcić począł Masława, za którym też nikt się nie ujmował.

— Psa niewart — przerwał Lasota — toć pewna, a skoro siłę będzie miał, pokłonią mu się ludzie,



komu życie miłe!

— Nie doczeka zbój tego, nie doczeka, póki nas choć garść została! — począł

Bohdaś. — Albo nazad nie możemy powołać do nas wnuka Bolesławowego? Uszedł

od nas, ale gdy doń ręce wyciągniemy, przyjdzie i panować nam będzie, nie jako ojciec, ale jako dziad, bo mąż rycerski jest, rozumny, bogobojny, do boju i do rady.

Czyż nas już do szczętu jak pszczoły wybito? Choćby garść została, cesarz mu pomoc da, by Czechy zawojowaniem naszej ziemi nie urosły do zbytku. Iść trzeba prosić, wołać!

— Toć to syn Ryksy — szepnął cicho jeden z Doliwów.

— Wiem ci ja — gorąco począł Toporczyk — że królowej matki nikt u nas nie lubił, że jej wszystkie złe przypisywano. Jam patrzył tam, jam żył. Nie tak było, nie tak! Królowa, pani pobożna i rozumna, surowa była dla ludzi, przeto jej nie lubili, ale sprawiedliwa i miłosierna. Prawili na nią, że naszych nie cierpiała, a Niemcy się otaczała; prawda i to, bo nikt się też do niej nie garnął; obyczaj nasz stary, pogański zrażał ją i zniechęcał. Bała się ludzi naszych, wołała z pobożnymi i mądrymi obcować, o świętych sprawach słuchać. Rady ich zasięgała, bo jej skąd indziej wziąć nie mogła. Nasi na nią koso patrzali.

— A, a! — mówił, spoczawszy nieco, Toporczyk. — Niełatwo to zrozumieć, jak i co się stało z nami. Czujemy tylko, że nas ręka boża dotknęła za to, żeśmy własnych panów szanować nie umieli, za to dziś czerń nam karki gniecie.

Gdy tak rozповідаł, a wszyscy go słuchali ciekawie, po długim i nużącym pochodzie już w głęboką noc kazał się naprzód jadącym uciszyć, potem stanąć Sobek, bo się już las przerzedzać zaczynał i zdało się, jakby się już zbliżali ku do linie, wśród której stało Olszowe Horodyszcze. Trochę też jaśniej się na niebie zrobiło, bo resztką księżycy weszła była i choć zza obłoków przyświecała.

Sobek poszedł znowu przodem, skradając się, by wypatrzeć, czy dokoła

gródka kupy jakie, oblegające go lub strzegące, nie stały. Wszyscy więc nieruchomie w gąszczach się zatrzymali, a bartnik, przygarbiwszy się, popod krzaki wsunął i puścił na zwiady.

W istocie dolina, którą mieli przed sobą, była ową Olszową, a wpośród niej, nad rzeczką Olszanką zwaną i moczarami ją otaczającymi wznosiło się Horodyszcze na kopcu dosyć wysokim i mocno obwarowanym. Wały i ostrokoły wysokie całe je niemal osłaniały, tak że ledwo gdzieniegdzie zza nich dachy wyglądały.

W dolinie Sobek nie dojrzał nigdzie żywej duszy, nad rzeczułką tylko ślady były świeże jeszcze ogromnego zbiegowiska, wydeptane, wyleżane, wypalone miejscami. Głównie zgasłe, koły, przy których konie stawiono, jamy na ogniska pokopane w ziemi, reszty poobalanych szałasów, kupy kości białych zalegały dokoła.

Na grodku też, do którego Sobek zbliżyć się usiłował, cisza była, jakby wszyscy wymarli, ani

światła, ani głosu. Dobrze się dopiero wsłuchawszy, po szmerze i chodzie rozpoznał, iż na wałach stróże czuwali i chodzili. Opatrzywszy jeszcze, z której strony wrót do wniścia szukać było potrzeba, powrócił nazad spiesznie posłany, aby natychmiast gromadkę swą prowadzić, póki dokoła cicho i bezpiecznie było.

Zaledwie z lasu się wysunęli w dolinę, gdy na grodku posłyszeli nawoływanie; znać ludzie czujni, postrzegłszy ich, zaraz się ruszyć musieli. Sobek, który po nocy jak kot dobrze widział, dostrzegł, iż ponad ostrokołami ludzie wyglądali tu i owdzie.

Im się ku grodkowi bardziej zbliżali, tym ruch silniejszy się stawał. Do wrót wiodła droga stroma, pozawalana umyślnie kamieniami i belkami, w kilku miejscach poprzekopywana po nocy, z wielkim trudem i niebezpieczeństwem przyszło ją przebywać.

Zostawując za sobą towarzyszków, jakby rozbudzony ruszył przodem pierwszy stary Lasota. Czatowano nań już u wrót, bo gdy huknął i nawoływać zaczął:

"Belina!" wnet mu się odezwano.

— Kto i skąd?

— Ranni, nieszczęśliwi, sieroty, dwie niewiasty i kilku niedobitków —

zawołał stary — miłosierdzia waszego prosimy, Ratujcie, kto w Boga wierzy, przytułek dajcie!

Na to pierwsze wołanie czy się naradzano, czy wahano, długo nie było żadnej odpowiedzi. Lasota zniecierpliwiony do samego Beliny odzywać się począł, aby ku niemu wyszedł:

— Belina, stary! Bywaj do mnie, na miłosierdzie boże!

Znów tedy czekano długo, a za ostrokołami szmer tylko i tupanie słychać było.

Aż w górze, na pomoście pokazała się postać jakaś ciemna, mężczyzna w wysokiej czapce na głowie, z kijem białym w ręku.

— Podwórca i gród nasz, jak nabił pełno, chleba omal mamy. Choćby dusza rada, jak przyjmować? My się tu sami ledwie przekarmić możemy.

— Dajcież nam, choć bez chleba, w spokoju u was głodem pomrzeć raczej, niżbyśmy w ręce zbójów i niewolę haniebną wpadli! — krzyknął Mszczuj.

Milczano długo. Spytał głos z góry:

— Kto wy?

Lasota się pierwszy wymienił, bo był im znany i pokrewny, powiedziano potem o Spytkowej z córką, dalej o dwu Doliwach, wreszcie Toporczyka

wymieniono i sług dwu.

— Osiem dusz, osiem gąb! — z góry wołać poczęto. Nie może być, tu na trzech miejsca nie ma.

— Niewiasty weźmiemy! — zakrzyczał głos drugi.

— Belino, stary — przerwał Lasota, na głos doniosły się siląc, w którym gniew czuć było. — Chcesz, byśmy ci tu legli pod wrotami, srom czyniąc, żeś chrześcijańskiego serca nie miał? Dobrze. Legniem, niech nas tu wilcy jedzą pod oczyma waszymi!

Na pomoście wszczął się gwar i swary, słysząc było zwawą sprzeczkę.

Jedni chcieli uczynić miłosierdzie, drudzy się wzbranieli. Lasota i Doliwowie nie mówili nic. Toporczyk milczał siadłszy na ziemi. Spytkowa, ręce łamiąc, lamentowała głośno, dziewczę płakało po cichu.

— Gdyby już nas choć puścili — wołała Spytkowa — rzucę się im do nóg, nie może być, żebym nie wyprosiła dla was schronienia.

Po przestanku ktoś się zza ostrokołu pochylił ku dołowi.

— Bohdaś Toporczyk? Tyś to? — zapytał.

— Jam ci albo cień mój, bom ledwie żyw — rzekł, głowę podnosząc, Bohdaś.

— Byłbym już umarłym, gdyby nie miłosierdzie tych ludzi.

— Niewiast dwie, Lasota i Toporczyk! — zawołano z góry — więcej nikogo.

Dziej się wola boża!

Stało się milczenie; Spytkowa poczęła się przebijać ku wrotom, aż Bohdaś wstał i podstąpił.

— Niewiasty puszczajcie! — rzekł. — Ja nie pójdę bez drugich, zostanę z nimi. Gdyby najmniejszy ze sług za wrotami miał zostać, ja także. Albo wszyscy, albo nikt! Pójdziemy dać gardło Masławowi!

Osłabły Bohdaś tak głos podniósł nagle, że się drudzy postraszyli; życie mu wracało z całym ogniem młodości.

Znów tedy na górze się swarzone i rozprawiano, a wrota stały zaparte. Bohdaś wpadł w gorączkę.

— Puszczajcież niewiasty! — wołał. — Choć to się należy, aby dzicz ich nie zbecześciła i nie znęcała się nad nimi. A nie chcecie ocalić braci chrześcijan ubogich, żeby z nimi kawałka chleba nie dzielić, kat was porwij! Godniście, aby was dobyto i wyrzezano lub popędzono w niewolę.

Śmiałe te wyrazy nie wywołały odpowiedzi, wszystko zamilkło. Potem jeden się strofujący głos podniósł, a inne zmilczały. Wśród tej ciszy słysząc było szlochania Spytkowej i gniewne

przekleństwa Mszczuja. Zmęczeni podróżą posiadali u wrót na kłodach i kamieniach. Miłosierdzia prosić już nikt nie chciał, wszystkich gniew okrutny burzył. Czas jakiś tak upłynął, a nie można było wiedzieć, co się stanie, gdy za wrotami światło się pokazało, stąpanie zbliżyło, drażni i za pory, którymi była zawalona furta, zaczęto, hałasując, od rzucać.

Nikt się już nie odzywał ani prosił. Po długiej i mozolnej robocie około wrót z ciężkością się one roztwarły i sam stary Belina, poważny, otyły, silny, wzrostu wielkiego, z długą bladą twarzą, mąż lat średnich ukazał się w nich na mieczu oparty.

— Chodźcie wszyscy — rzekł chmurno — chodźcie, a nie mówcie nic, aż oczyma własnymi ujrzycie, co się tu u nas dzieje.

Wstąpiła tedy pierwsza spieszenie Spytkowa, córkę za sobą wiodąc, i ledwie próg przeszedłszy, padła na kolana, Bogu i gospodarzowi dziękując, który stał, nie ruszywszy głową, w myślach pograżony. Wszedł potem Lasota, Toporczyk, Doliwowie i słudzy, którzy konie za sobą wiedli. Dwóch pachołków u wrót trzymało smolne pochodnie, gdy w pierwsze podwórce wchodzili, a tuż za nimi znowu furtę poczęto zabijać i umacniać, jak była.

Belina milczący, przodem idąc, prowadził; na witanie czasu nie było.

Podwórza w grodziaku w istocie widok przedstawiały dziwny i straszny, litość mogący obudzić. Jak okiem zajrzeć, jednym pomostem na gołej ziemi, na słomie, w błocie leżeli ludzie tak ściśnięci, iż ścieżki pomiędzy nimi do przejścia nie było.

Naród to był wszelkiego stanu i wieku, matki z dziećmi na rękach, wyrostki tulące się przy kolanach starców, wojacy w poszarpanych pancerzach skórzanych, z których żelazne łuski się sypały, zgrzybiali mężowie bez okrycia głowy, z obnażonymi piersiami, na pół nadzy. Kto leć nie mógł, siedział sparty o częstokół, o ścianę, o plecy sąsiada, o nogi jego. Niektórzy ze znużenia, może z głodu spali tak głęboko, że ich ani światło, ani głosy, ani potracanie nogami przechodzących obudzić nie mogło.

Drudzy, których sen nie brał, siedzieli popodpierani na rękach, z włosy rozpuszczonymi w nieładzie. Inni jeszcze zrywali się przestraszeni, nie wiedząc, co się stało, myśląc, że nieprzyjaciół nadchodził, oszczepów szukając i krzycząc. U

szop, pod budynkami, w sieniach, wszędzie tę nawałę ludu nieszczęśliwego widać było. Twarze zbladłe, żółte, wynędzniałe dowodziły, że i tu ledwie czym było życie utrzymać.

Nowi przybysze, wpuszczeni w ten tłok, musieli sobie za Beliną drogę torować wśród tych pokotów, nieraz następując leżącym na ręce i nogi. Belina więc naprawdę mógł tylko ukazać, co się u niego działo, aby się uniewinnić, że przybyłych zrazu wpuścić nie chciał. Przez szopę i drugie wrota weszli w wewnętrzne podwórce, gdzie stał dworzec. Znaleźli w nim kilka rozbitych namiotów i poklecone z chrustu chaciny, ale i tu tłok był tak niezmierny, wszystkie kąty za pełnione ludźmi, końmi, bydłem i owcami. Trzody musiano schronić pod szopy a dozorować, aby zgłodniałi ludzie, jak to się już trafiało, nocami nie zabijali potajemnie dla odżywienia się. Tu pod namiotami chroniło się, co było

przedniejszego z rycerstwa i ziemian. Niewiasty ich z żoną Beliny, dzieci i co słabsze pod dachami mieszkało.

Stary gospodarz z posępną twarzą wwiódł ich naprzód na dół, do wielkiej świetlicy, gdzie za lepszych czasów izba była gościnna i stołowa. Gmach to był

długi, na słupach dębowych oparty, w którym oprócz stołów, ław i ogniska ogromnego, kamieniem obłożonego, nic więcej nie było. Ściany okrywały od góry do dołu porozwieszane odzienie i zbroje, tak że ich nawet widać nie było. Tu też mostem ludzie leżeli na ziemi, na ławach, na stołach, pootulani w płaszcze i opończe, nie którzy ledwie nie w kominie samym, na którego skraju kilku spało razem ściśniętych.

— Patrzajcież — rzekł odwracając się gospodarz — patrzajcie, a nie winujcie mnie. Z dawna już nie mamy nic oprócz trochy solonego mięsiwa, kaszy i mąki.

Warzymy z niej polewkę, aby życie utrzymać.

Ręką na podłogę wskazał.

Potem, że już słowa zbytek były, mruknął tylko:

— Mieście się sobie, gdzie i jako możecie. Niewiasty do moich zawiodę.

Co Bóg da, to da!

Leżący na podłodze, stołach i ławach, przebudzeni światłem i głosem, tu i owdzie przecierając oczy, podnosili głowy, przypatrywali się stojącym jeszcze przybyszom.

Z kilku kątów odzywały się wołania:

— Lasota! — Mszczuj! — Wszebor!

Bohdasia Toporczyka chwycił już był syn gospodarza, młody Belina, z którym na dworze królowej i królewicza byli w drużbie serdecznej, chwycił go i ścisnął

wołając:

— Nie wiń nas, bracie, nie wiń, a patrz!

Stary Lasota, któremu sił nie starczyło, nie pytając i nie czekając, jak stał, miejsca trochę upatrzywszy, padł między leżących głową komuś na nogi. Ten się nawet nie ruszył. Ległszy, starzec dyszeć począł a jęczeć.

Ci co się porzebudzali, radzi byli miejsce zrobić przybyszom, zsuwali się, jak mogli. Więc choć w ciasnocie i za duszę na pierwszą noc, przypadł, kto gdzie mógł, a młody Tomko Belina, umieściwszy Bohdasia w kącie, aby mu tam było wygodniej, sam poszedł na straż. Zaledwie światło za gasło, pospali się znowu wszyscy, a kto nie usnął, dyszał cicho, aby drugich nie budzić. Sobek i Dębiec w

pierwszym podwórca razem z końmi zostać musieli. Tak się skończyła owa wędrówka niebezpieczeństw pełna, szczęśliwiej, niżby się kto mógł spodziewać.

Nazajutrz rano, ledwie świt, ruszać się poczęli niektórzy i wychodzić z zaduchy na wały, gdzie już i lud wszystek rozbudzony słyhać było gwarzący, płaczące dzieci, nucące nie wiasty, spierających się ludzi, wrzawę niemałą dokoła.

Obraz ten po dniu prawie straszniejszym był niż nocą, która nie dawała lica ludzkiego dopatrzeć, a snem ból skrępowała. Teraz się to wszystko rozbudzone poruszało i w słowach a jękach skarżyło na niedolę swoją. Matkom, co dzieci przy piersiach miały, pokarmu brakło; kilkoro niemowląt poumierało nocą z chłodu i głodu. Zawodziły z płaczem wielkim nie wiasty, obstępując zżółkłe i zsiniałe zwłoki.

Jęczeli chorzy, wołali o pokarm głodni, a co zwawszego było, wodę nosiło, niemocnym służyło.

Starszyzna, powyznaczana przez Belinę, z kijami chodziła, czyniąc porządek i nakazując milczenie. Żadna noc tu nie przeszła, żeby kilku ofiar nie wzięła. I tej też ludzi starszych, co chorzy byli, dzieci kilkoro umarło. Krzątano się około po grzebów, których na grodku nie było gdzie sprawić. Musiano furtę odmykać i ludzie z łopatami szli, niosąc zwłoki do bliskiego lasu, aby je tam pogrzebać. A śpieszyć było trzeba i oglądać się, żeby czatująca czerń nie napadła.

To był pierwszy widok, który oczy przybyłych uderzył, gdy z rana wyszli, aby się z wałów rozpatrzeć dokoła. Nim z nich zeszedli, wołano na mszę świętą w drugie podwórze, gdzie na górnym ganku co dzień rano ojciec benedyktyn Gedeon, człowiek wielce świętobliwy, ocalony z trzemeszeńskiego klasztoru, odprawiał ją, aby ducha i męstwa nie szczęśliwym dodawał. On tu jeden wśród tej strasznej powodzi i zniszczenia, gdy wszyscy o miłosierdziu bożym zwątpili, rozpaczy się poddając, spokojnym umysłem swym od wagę umiał natchnąć i nadzieję. Ażeby ów mnogi lud mógł się modlić w czasie świętej ofiary, na górnym pomoście ustawiono ołtarz, który z dala widać było. Kto chciał, ten i z drugiego podwórca przez wrota szerokie kapłana mógł widzieć i modlić się z nim razem. Widok był piękny, choć smutny, gdy co żyło, cisnąć się poczęło, mężczyźni i niewiasty, aby się modlić do tego Boga, w którym jednym ratunku nadzieję pokładano.

Cicho się stało w podwórcach, tylko płacz niewiast i westchnienia przerywały milczenie. Było ich tu wiele osieroconych jak Spytkowa i jej córka, których mężowie, ojcowie i bracia poginęli w walkach, zabłąkali się bez wieści. Większa ich część w białych zasłonach, czepcach i namitkach siedziała, stała, klęczała na uboczu, tak że twarzy ich dojrzeć nie było można. A że ścisk ludu był wielki, z rozkazu ojca Gedeona osobno ustawiona była plec biała, oddzielnie mężczyźni.

Wszyscy prawie ci zbiegowie, choć jak Lasota niegdy się do najmajętniejszych liczyli, teraz odzieży całej nie mieli, stali w porwanych opończach, w siermięgach pożyczanych, w kaftanach zabłoconych, jak kto przyszedł, w łachmanach prawie.

Nad starym Lasotą, który pokaleczony był, a nic prócz po rąbanego kaftana i poprutego pancerza nie miał, ulitowawszy się, Belina nazajutrz z rana przyniósł mu szmaty do poobwiązywania ran i opończę dostatnią. Pancerz rzucić musiano w ką, a kaftan też krwią pobroczonej na nic się nie zdał. Sobek, który i do tego sprawny był, poobmywał mu i opatrzył rany. Tak samo Tomko Belina przydział

Toporczyka, którego dawna odzież od wilgoci się popadała i niemal na nim pogniła. Ale Bohdaś tego dnia wstać o swej sile nie mógł i gdy przyszła godzina roznoszenia strawy, musiano mu ją przynieść do tego kąta, w którym leżał. Strawa to była licha, chleba już od dawna piec nie mogli, wszyscy więc zarówno, mężowie i niewiasty, i dzieci obchodzili się polewką z mąki, rzadko mięsa kawałkiem lub trochę tłustości okraszoną. Nikt przeto na głód uskarżać się nie śmiał, troszczono się tylko, czy na tyle głów stanie długo strawy, nim się rzeczy na lepsze obróca. Stary Belina sam w zasieki i bodnie co dzień zaglądał, oczyma je mierząc, na jak długo w nich życia było.

Chociaż czerń, która oblegała grodek, ustąpiła od niego, wiedziano, że to pokój był nietrwały, że na głód rachowano, co poddać się przymusi. Nieraz też już tu mowa była, czy nie iść by przebojem za Wisłę. Lecz tam trzeba się było albo poddać Masławowi, albo z nim do walki wystąpić. Znaczniejsza część, albo raczej wszystkie rycerstwo, zamknięte na Olszowym Horodyszczu, brzydziło się Masławem i pogaństwem, nawet ocalenia nie chcąc szukać u niego. Radzono co dzień i nic uradzić nie umiano, a gdy spory i rozprawy kończyły się, ojciec Gedeon zamykał je jednymi zawsze słowy:

— Módlmy się, w Bogu ufność miejmy, Bóg pomoże!

Tylko młodość w takim ucisku szczęśliwą jest, że na chwilę o nim zapomnieć może. Któż by się domyślił, że nazajutrz rano pierwszą troską obu Doliwów było dośledzić, gdzie się niebieskie oczy Kasi podziały. Wstali natychmiast, zabiegając i kręcąc się a dowiadując, gdzie córka lub matka być mogła. Już w drodze z powodu dziewczęcia tak się sobą jakoś nie mówiąc o co, poważnili, iż unikali nawet rozmowy i jeden od drugiego głowę odwracał. Obu piękne dziewczę z myśli wyjść nie mogło. Wszebor sobie panią matkę tak pozyskał w ciągu drogi, że już jej dla siebie pewnym był, ale nie obrachował tego, że zwawa i rażna jeszcze niewiasta nie dla córki, a dla siebie samej na niego okiem rzuciła. We wdowieńskim stanie, bez opieki, mówiła sobie, trudno pozostać było. Chciała niby nie sobie męża, a dziewczynie dać ojca i dla niej się poświęcić. Wszeborowi co innego się śniło.

Mszczuj, który czasu podróży nie mógł się zbliżyć do trwożliwej Kasi, dlatego może goręcej się jeszcze w niej rozmiłował. Myśleli teraz oba ino o tym, jak by dalej serdeczne zamysły prowadzić. W obu ich jedna krew była gorąca, lecz jak się to w rodzinach zdarza, inaczej ona u Wszebora, inaczej w Mszczuju grała. Zapalczywi oba, każdy po swojemu do celu zmierzali. Na łowach Wszebor się rad zasadzał na zwierza, a Mszczuj gonił i ubijał; pierwszy dzień cały gotów był strawić w szałasie na przesmyku, byle się zwierza doczekał, drugi wolał ścigać i walczyć. Tak samo i we wszystkim czynili. Wszebor milczkiem a zręcznością, Mszczuj gorącym sercem i gotową zawsze dłonią.

Na Olszowym Horodyszczu wpośród tego natłoku, gdzie mężczyźni musieli być oddzieleni osobno, trudno było kogo zobaczyć i dostąpić do niewiast. Trzymały się one osobno w kilku izbach, pod opieką Belinowej, mało która i wyrzeć śmiała dla samego sromu, bo nie było kąta, skąd by oczów bez miary nie patrzyło i uszu nie podsłuchiwało.

Więc choć oba rozmiłowani błędzili po podwórzach, głowy zadzierając, jakby wróblów pod strzechą upatrywali, nie postrzegli nigdzie tych, za którymi gonili. A tu im i trzeci przybył, młody Belina, który z rana do leżącego Toporczyka przyszedłszy, gorąco się go jął rozpytywać o Kasię Spytkową, bo mu się srodze najrzane liczko podobało. Widział je i Toporczyk z dala, ale ten

zboleały był tak i strapiony, że go nawet krasa niewieścia nie mogła rozbudzić.

— Daj ty mi spokój z dziewczyną! — odparł spytany. — Ani znam, ani wiem, co są za niewiasty. Spotkałem je na drodze, gdym ledwo żyw był, starsza mi pić dała, za co niech jej Bóg stokrotnie płaci. Pytaj o to Doliwów, jeśli co powiedzieć zechcą, bo mi się widzi, że oni oba zęby ostrzą na owego wyrostka. Mnie to nie w głowie.

— Dzieweczka jak malina — rzekł Belina.

— Choćby była jak anioł, co ich w kościołach stawia, nie pora o dziewczętach myśleć, gdy na gardło nieprzyjaciel następuje — rzekł Toporczyk.

Rozśmiały się Belina i zamilkł, ale znać mu grzeszna myśl z głowy nie

wyleciała, bo gdy Doliwowie, na próżno się nabłdziwszy po dziedzińcach, jeden za drugim powrócili do izby, do nich przystał pytając, co były za niewiasty. Ci też w słowach skąpi niewiele mu powiedzieć chcieli. Kolnęło ich to że już i więcej ktoś począł myśleć o dziewczęciu.

Tak wśród tych chmur, jak słoneczko jasne, kraśna twarzą młodym oczom na pociechę i utrapienie zaświeciła. Młodość taką jest, że i w największym ucisku serce jej bije, głowa marzy. Starzy rozprawiali o obronie, o chlebie, tamtych niebieskie oczy o niczym myśleć nie dawały. Gospodarskiemu synowi, Tomkowi Belinie, który do matki i niewiast przy niej będących przystęp miał łatwiejszy, prędzej się trafić mogło najrzeć choć z dala piękne dziewczę. Doliwowie o zbliżeniu się do niej i myśleć nie mogli.

Z południa jakoś starsza pani Spytkowa sama wyszła się dowiedzieć o tego, co jej w podróży tak dobrze posługiwał, a tak pilno słuchał. Zobaczywszy ją z dala, oba się wnet ku niej rzucili. Pamiętna przyjaźni Wszebora, wdowa pod chustą mu wyniosła coś ze swojego zapasu podróznego, aby podkarmić opiekuna, a

zobaczywszy brata z nim, datek swój na dwu rozdzieliła.

Poczęli się oba pytać o nią i córkę.

— Bogu dziękować — wzdychając odparła pani Marta — żeśmy się tu dostali.

Przynajmniej między ludźmi jesteśmy, a co drugim, to i nam! Tu i ginąć byłoby różniej. Obieśmy zdrowe, choć długo tę drogę i nasze nieszczęście czuć będziemy.

Tak rozpocząwszy Spytkowa, choć na niedolę się skarżyła, twarzą wesołą zwróciła się do Wszebora, białe zębki wyszczerzywszy. I już się jej usta nie zamknęły, tym znów do opowiadania miała, czego Mszczuj jeszcze nie słyszał, o dostatkach swych dawnych, o mieniu i wielmożności, o miłości nie boszczyka dla siebie, o wszystkim, co przeżyła. Frasowała się Już teraz tylko, jakby się na Ruś do swoich dostać mogła, gdzie była pewną opieki, pomocy i rychłego nawet zamążPójścia, bo tam za nią niejeden wzdychał.

Trzymała ich tak obu długo stojących przed sobą w milczeniu, to ku jednemu, to ku drugiemu



czarnymi oczyma poglądając, to śmiejąc się, to łzy ocierając, to ręce łamiąc, to nimi rzucając i wywijając, bo była niewiasta żywa i mówna, a wiedziała pewnie, że się mężczyznom podobać może. Drudzy też, obcy, schodzili się słuchać i patrzeć, a im więcej ich było, tym się weselszą zdawała, tak że gdy żegnać się przyszło i do córki wracać, łzy już zupełnie poosychały.

#### Rozdział 4.

Jesiennego poranku dwóch ludzi, w proste siermięgi przyodzianych, na lichych szkapkach, których siedzenie z podeślanego grubego sukna się składało, podjeżdżali z wolna ku dosyć szeroko rozlanej Wiśle, która od jesiennych słońc wezbrała. Z dala już na wysoko podniesionym brzegu jej widać było zamczysko i szare miasto, u stóp jego rozłożone.

W mieście i okolicy ludu i ruchu dosyć było. Około zamczyska opasanego wałami, spoza których małe kościółki bez krzyża, niegdyś benedyktyński, wyglądał (bo ich tu Bolesław w roku osadził), roilo się jakby wojsko jakie kupami poustawiane. Gdzieniedzie ponad nimi dostrzec było można stacje na wysokich żerdziach powbijane w ziemie i chorągwie czerwone.

Dwaj jadący spojrzeli na siebie. Jeden z nich opalony, pomarszczony,

zestarzały, choć jeszcze żywy, z oczyma bystro patrzącymi, był to bartnik Sobek, wierny Spytkowej sługa, drugi pokaźniejszy, młodszy, mimo prostej siermięgi do wojaka podobniejszy niż do kmiecia lub prostego osadnika, był Wszebor Doliwa.

Wysłano ich obu na zwiady z Olszowego Horodyszczu, choćby do Masława dotrzeć przyszło, aby wiedzieć, co tuszyć i jak sobie radzić.

Choć nie bardzo chętnie ważył się na to Doliwa, bo nie chciało mu się od Spytkowej i jej córki, ale nastali nań wszyscy, gdyż się sam chlubił z tego, iż na dworze Mieszka komornikiem był razem z Masławem i najlepszym jego

powiernikiem. Dziś ten Masław, niepoczciwie urósłszy z lichego pacholika, kneziem się płockim nazywać kazał i o zawojowaniu całego spustoszonego kraju zamyślał.

Trzeba było wiedzieć zamkniętym na grodku, jak rzeczy stoją i czy się godzi, od czerni życie ratując, na Masława rachować. Wszeborowi nic się stać nie mogło, a na przebiegłość swą wiele liczył.

Sobek, jako prosty człek, niczego się tu nie lękał. Wolałby był Doliwa nie stykać się z Masławem, ale mus był wielki. Na Horodyszczu prędko żywności zabraknąć mogło; dostać się w ręce czerni jedno znaczyło, co głowę na pień położyć, musiano więc próbować, azali się ocaleć lub okupić nie da. Dodano za przewodnika Doliwie starego bartnika, który wszędzie sobie radę dać umiał; nie zawiódł się na nim i w tej drodze, gdy ciągle wymijać przyszło gromady zbrojne, osad unikać, nocami więcej niż dniami się przekradać. Sobek tak go umiał prowadzić, iż z nikim się nie spotkawszy, nad ów brzeg Wisły przybyli cało i bezpiecznie.

Wszebor, który zrazu bardzo zuchwale prawił o spotkaniu się z Masławem, a w przyjaźni jego wielce był ufny, teraz dopiero, gdy ujrzał przed sobą miasto i chwila przyszła stanąć przed nim,

zadumał się mocno. Wątpliwość się w nim zrodziła, jak go przyjmie i czy na dawną drużbę zechce pamiętać. Od czasu, gdy się na dworze widzieli, dużo się rzeczy zmieniło, a z tego, co o Masławie prawiono, trudno było dobrze wróżyć. Ale i wracać nie była pora.

Sobek mu w oczy patrzył milczący i ku rzece wskazywał! Wszebor rozmyślał

teraz, czyby nie lepiej już było, poznać się nie dając, z dala wszystko podpatrzeć a Masława uniknąć. Ludu było dosyć, w który się wmieszać mogli nie po strzeżeniu. Co miał uczynić, sam nie wiedział. Jechali ni spiesząc wcale, a Doliwa trochę konia powstrzymał. Mówili wprzód z Sobkiem, któremu się oświadczał, że wprost do Masława się uda, teraz mu się to niebezpiecznym i niełacnym zdawało.

— Ej, słuchajcie — rzekł z cicha do towarzysza Wszebor. — Czyby nie lepiej było lichu nie leżać w oczy, a z dala mu się przypatrzeć? Kto tu nas pozna!

— Jak postanowicie, tak będzie — odparł Sobek. — Cóż ja wiem.

— Jak się wam zda? — spytał Doliwa.

Zamiast odpowiedzi, Sobek ręką ku Wiśle ukazał. Stali w miejscu odkrytym na łące. Stąd jak na dłoni widać było niedaleko na rzece związane dwie wielkie łodzie wiosłami ku brzegowi, na którym stali, pędzone. W łodziach pełno było koni i ludzi. Z dala poznał Wszebor, iż zbrojni byli i rycerscy. A niepośledni być musieli, bo na nich zbroje jakieś błyszcząły, a na głowie jeden z nich miał czub kraśny, na ramionach płaszcz bramowany i oręza dużo lśniącego przy sobie. Za nim stojący chłopak trzymał ptaka na ręku, drugi też krogulca podlatującego ściągał ku sobie, inny na sznurku psy wiódł. Twarzy jeszcze rozeznąć było trudno. Mężczyzna z czubem na czapce przodem stał, za nim poniżej kilku, jakby dwór i służba. Jechali widać nad brzeg wiślany na łowy z ptaki.

Kto by to mógł być tam, gdzie swobodnie myślistwem się zabawiać jeden tylko człowiek miał wolność odgadnąć nie było trudno. Traf więc szczęśliwy czy zły, właśnie w chwili, gdy ważył i rozmyślał, niósł Wszeborowi gotowe rozwiązanie.

Uniknąć spotkania było niepodobna, uciekać niebezpiecznie; musiał czoło stawić odważnie. Tak sobie w duchu rzekł Doliwa. Konia nie wstrzymując, podjeżdżał

spokojnie, a tymczasem i czołna spojone do brzegu już dobijały i coraz wyraźniej widać było tych, co się na nich przeprawiali.

Poznał Wszebor Masława, choć im się teraz z owego dworaka, z chłopięcia swawolnego a zuchwałego wielce odmienił. Wyglądał albo raczej chciał mieć pańską postać, patrzył tak, jak mu po książęcemu trzeba było. Wszebor i towarzysz Jego nędznie poodziewani ledwie na siebie oczy zwracali; rozglądał się Masław, po okolicy wzrok wodząc dumny. Obie ręce miał w boki wciśnięte, głowę do góry i nogę jedną na kraju czołna, jakby mu wyskoczyć pilno było. Mężczyzna był dorodny bardzo i zręczny, choć jak od siekiery wyciosany. Kmieca w nim krew przez powłokę pańską przeglądała. Twarz rumiana, pospolita, zaogniona, oczy maleńkie, bystre, usta czerwone i wydęte, mała bródka rudawa nic w sobie kniaziowskiego nie miały; ale parobek był tęgi, butny, a że mu się szczęściło, zuchwały znać i noszący się wysoko. Z góry patrzył na ludzi, brwi ruchawe ciągle mu się

marszczyły, milcząc nawet żuć się zdawał rozkazy, aby na chwilę nie zniżyć z tego stopnia, na który mu się wdrzeć udało. Mężną i przebiegłą zarazem znać w nim było naturę, co się na wszystko ważyła.

Gdy się czóлно do brzegu, a jeźdźcy ku niemu też zbliżyli, zrazu na siermięgi popatrzywszy, chciał Masław pogardliwie oczy odwrócić, ale go coś w twarzy Wszebora uderzyło. Nie poznał go zrazu, brwi nachmurzywszy, srogo się począł

wpatrywać. Wtem Wszebor z wolna szyłka uchylił. Było to w chwili, gdy Masław odziany nie jak na łowy, ale jakby miał posłów na dworze przyjmować, w pasie rycerskim, którego teraz nigdy nie zrzuczał, miał już na łąd wysiadać. Za nim kilku jego przybocznych cisnęło się, równie nedorzecznie jak on postrojonych w czuby, pasy i płaszcze krasne. Wszeborowi by się było na śmiech zebrało na widok tej okazałości w polu straconej, gdyby nie musiał myśleć, co z sobą pocznie.

Wtem drgnął Masław i zdawało się, jakby chciał, do ludzi się zwracając, dać rozkaz pochwycenia Wszebora, gdy ten pozdrawiając go, półgłosem się odezwał:

— Do Waszej Miłości jadę właśnie, więc pozwolicie pozdrowić.

Nie wątpił już Masław, że dawnego znajomego miał przed sobą. Zawahał się nowo stworzony przez się kneź, jak go ma przyjąć, widać to było z twarzy. Myślał

chwilę, zaciął usta, postąpił kroków parę, przypatrując się Wszeborowi. Niepewien był, w jakiej myśli przybywa, czego chce. Mierzył go tak niedowierzająco oczyma, gdy Doliwa, dorozumiewając się obawy, siermięgę rozpiął i pokazał, że krom małego mieczyka nic nie miał. Toporek został był przy koniu, z którego zsiadłszy, oddał go do trzymania Sobkowi.

— Cóż was tu prowadzi? Skąd? Czego chcecie? — przemówił wreszcie

Masław głosem, któremu starał się nadać wyraz groźny i srogi. — Mów, a rażno; u mnie czasu nie ma!

Mówiąc nastąpił blisko na Wszebora, niby mu okazując, że się go nie lęka, a gdy ten nie zaraz się odezwał, począł iść od swych ludzi, ciągnąc go za sobą.

— Miłościwy Panie — począł Wszebor — nie tak to łatwo w dwóch słowach powiedzieć, z czym człowiek jedzie. Wy wiecie, co się dzieje dziś, wy tylko możecie powiedzieć, co z nami będzie jutro. Do was trzeba iść pytać, co robić.

Masławowi pochlebiało widocznie, że mu przyznano panowanie nad

przyszłością. Twarzy męskiej i energicznej, samej przez się wyrażającej siłę zwierzęcą, nadał wnet większy jeszcze wyraz potęgi i dumy i rzekł bez gniewu:

— Co robić? Kto chce głowę ocalić, służyć mi musi! Siły tu nie ma nikt i nie będzie mieć, tylko ja. Jutro wszystko się z niemieckiego, z czeskiego jarzma wykuje, a ja będę panować!

To mówiąc, odwrócił się przypatrzeć, jakie wyrazy czyniły wrażenie; twarz jego wykrzywiła się śmiechem dzikim, wymuszonym, fałszywym.

Wszebor milczał, spuściwszy głowę. Masław uderzył ręką po mieczu, który wisiał u pasa.

— Pytają się, jakim ja prawem będę panować — dodał. — Ot, prawo moje!

Kto ma siłę, ten ma panowanie, a kto ma rozum, ten ma siłę, a kto rozumu nie ma, ten choćby mu siłę dano, to ją straci, tak jak oni! — wskazał ręką ku zachodowi.

— Niedołężne plemię zniemczało, trzeba było precz za drzwi wyrzucić, starą swobodę powrócić kmiociom i wiarę dawną. Nam swoim życiem żyć, nie cudzym.

Nie potrzebujemy cudzych bogów ani cudzych panów. Piasty nas sprzedawały cesarzom i papieżom. Z niemieckich matek poniemczałe rodziły się dzieci, pokurcze.

Każmirz, którego matka na mniszkę się zdała, niech u wuja w Kolnie śpiewa w chórze, to jego miejsce, a nie tu nam panować. My nie mnichy!

Mówiąc tak, szedł, a coraz na Doliwę spoglądał i rozgrzewał się własnymi wyrazy.

— Ja mam w ręku Mazury moje, ze mną pójdą Prusaki i Lietuwiszki, wszyscy, co do swojej starej wiary są przywiązani, Nas ćma, a was garść, wkrótce i nic nie zostanie. Ziemie bezpańskie weźmie, kto ma siłę. Ja siłę mam, mam!

Z coraz większą gorączką kończył, spoglądając wciąż na Wszebora. Nie

doczekawszy się żadnej odpowiedzi, stanął i natarczywie zapytał:

— Gadaj ty mi zaraz, kto cię przysłał?

Doliwa miał czas wobec niebezpieczeństwa męstwo i zimną krew odzyskać.

Ruszył ramionami obojętnie.

— Jestże u nas komu wysyłać? — rzekł powoli. — Ze starego rycerstwa, ziemian i władyków ledwie gdzie który ocalał wilkom na paszę. Nas dwóch braci uratowaliśmy żywot od Czechów i czerni. Znajdzie się może kilku tułających się po lasach. Któż mnie miał posyłać? Przecież dawniej by liście dla mnie druhem, dziś możecie przyjąć choć za sługę! Moim żywotem niewiele się pożywicie, a zdałbym się może.

Masław się zadumał, patrząc. Przemowa była zręczna, pochlebiała mu.

— O, ja was znam! — rzekł szydersko. — Byleście mnie mogli osaczyć,

oddalibyście w ręce Każmirzowi albo nowemu jakiemu Bezprymowi. Jeszcze się tam takich kilku po Niemczech włóczy. Z was, coście się pochrzcili, co inne czasy pamiętacie, pociechy nie będzie.

— A wyż to chrzczeni nie byliście? — zapytał śmiało Wszebor.

Zarumienił się chwilowym gniewem Masław, spojrzął w tył na swoich, czy nie słyszeli, co Doliwa powiedział. Ci stali z dala, dojść ich to nie mogło. Zmilczał, namyślając się.

— Słuchaj, Doliwo — przerywając milczenie i biorąc się w boki, odezwał się, kilka kroków uszedłszy. — Prawda, byłem ci na dworze dobrym druhem, chcę ci być dobrym panem, ale głowy pilnuj na karku, bo ona tobie potrzebniejsza niż mnie.

Ciebie jednego wezmę, brata nie chcę, nikogo innego; niech ich czerń wytłucze do nogi! Ja sobie władków moich z kmieci porobię, co mi wdzięczni będą, a obawiać się ich nie potrzebuję. Chcesz mi służyć, wezmę cię!

Wszebor skłonił się, podniósł głowę i w oczy mu spojrzął śmiało.

— Dlaczegoż bym ci służyć nie miał, z głodu mrąc i przytułku nie mając? —

Cóż będzie z bratem?

— Gdzieżeś ty go zostawił? — spytał Masław.

— W lesie na polanie, dwa dni drogi stąd, zachorzał.

— Niech go tam wilcy zjedzą! — śmiejąc się i klepiąc po ramieniu Wszebora, odparł nowy kneź.

— Ty u mnie zostaniesz, więcej ja nikogo znać nie chcę.

Wszebor zmilczał, nie nalegając. Mówiąc o bracie, chciał sobie do ujścia zostawić pozór, boby po niego niby mógł od Masława się wyprawić. Spodziewał się w inny sposób z pomocą Sobka się wymknąć.

Masław, jakby mu nie dowierzał, ciągle niespokojnymi oczyma go badał, ale twarz mu się rozjaśniała.

— Nieźle się to nadaje — odezwał się — bo mnie trzeba dwór sobie urządzić.

Ochmistrem cię zrobię. Te moje chłopiska do wszystkiego dobre, ale obyczaju pańskiego i królewskiego nie znają nic. Ja dwór muszę mieć, jak wszyscy na świecie króle i kneziowie. Ty mi ludzi dobierzesz i nauczysz; chcę, by u mnie było tak, jak bywało za starego Mieszka i Bolka.

Wszebor, godząc się pozornie z tą myślą, nie okazując wstrętu, podchwycił

poufnie:

— Pewnie! Pewnie! Ano niełacno to przyjdzie, póki się ludzi nie nauczy.

— Łacno! zaprzeczył Masław, brwi marszcząc. — Ja prędko uczyć umiem.

Grozy trzeba, wszystko będzie.

I poklepał go znów po ramieniu.

— Biorę cię, powtórzył. Pamiętaj, że mnie dobry pan, szczodrośliwy, ale groźny.

Na tym skończyła się rozmowa; zwrócił się ku swojemu orszakowi opodal stojącemu i krzyknął:

— Puścić psy sokolnicze! Trafi się co, rozkapturzyć sokoły!

Dał znak, sam z wolna postępując za ludźmi z Wszeborem, który się za nim trzymał. Posłyszawszy kroki jego za sobą, kneź niby się namyślił.

— Zaczekajcie przy łodziach, wróćcie razem ze mną.

Posłuszny zatrzymał się Doliwa, a psy, sokoły, pacholęta i Masław z dworem pociągnęli brzegiem rzeki.

Doliwa wrócił do Sobka, który z końmi stał na uboczu. Ocalić głowy i z bliska przypatrzeć się Masławowi inaczej nie mógł, tylko przyjmując, co mu nowy kneź tak łaskawie ofiarować raczył.

Myśliwi odciągali, a Wszebor się do starego bartnika zbliżył, który rad był mu z oczów wyczytać, co przynosił z sobą.

— Jedziemy na dwór — rzekł cicho Doliwa. — W dobrą jeszcze chwilę

przyszedł, że głowę mam całą. Zostaniemy tu do czasu, ano i wy, i konie dobrze, by zawsze były pogotowiu, aby się stąd wyrwać, gdy przyjdzie pora.

Sobek głową kręcił.

— Wyrwać się stąd nie będzie trudno — odpowiedział. — Nie pilnują się oni tak bardzo, są bezpieczni. Butny pan, butny... — dodał cicho bartnik.

Siedli tedy spoczywać, a konie paść się poczęły. Niedługo jednak Masław łowami się zabawił, ludziom kazawszy z sokołami się przejść, sam powrócił, oczyma Wszebora szukając.

Wstał on, podchodząc ku niemu.

Zdało się, że nowy panek potrzebował mówić o sobie z kim innym jak ta poprzebierana czerń, co go otaczała. Wszebor go ciągnął ku sobie.

Zbliżył się do niego, już z dala poczynając. Wskazywał na miasto, które stąd na wzgórzu widać było.

— To będzie mój Poznań — rzekł z uśmiechem. — Rozumiesz! — Stąd ja nad oboma brzegami Wisły panować będę.

I rękę wyciągnąwszy, zatoczył nią dokoła.

— Prusaków i Lietuwiszków przyłączę. Czechów won przegnamy i pobijemy, Niemców i nogi nie puścim za Łabę. Dalej ich wyżeniem! Wszystko, co

chrześcijanin nienawidzi, pójdzie z nami.

Oglądał się wciąż na Wszebora, jakby pochwały i potwierdzenia pożądał.

— Co ty na to?

— Ha, no! Byleście wojsko mieli!

— Mam i mieć będę, i wyćwiczyć potrafię! — gwałtownie dodał Masław. —

Ja sam, choć dworakiem byłem, ale wojakiem razem byłem i jestem. Prusaki naród dzielny. Ci to sami, co Wojtaszka zabili, co go Bolko wykupił i w Gnieźnie położył, a teraz go sobie Czechy wyniosły! Ci sami, co się staremu Bolkowi nie dali. No, a ja z nimi brat, swat!

Począł się śmiać, zacierając ręce.

— Co ty na to, he? Masław też nie głupi! Zobaczysz sam. Dziś tu od nich przyjdą posłowie. A wiesz, czemu ja to winien? Oto temu, że poganinem jestem i żem powywracał krzyże. Wszystek lud ze mną.

Milczenie Wszebora naprzykrzyło mu się znać, bo kilka razy zapytał go:

— Cóż ty na to?

— A, szczęścia macie wiele, to cały świat wie! — przebąknął Doliwa.

— Na zamku w Płocku — ciągnął dalej Masław, ręką wskazując — siedzieli benedyktyny, nie ma ich i nogi. Z kościoła zrobiłem chram, tak jak oni z chramów robili kościoły. Guślarze w ręce plaskają, do nóg mi padają; stare stanice popodnosili ludzie, wołają: "Lado"! Ot, siła moja! No, co wy na to? Co? — powtórzył śmiejąc się.

— Dziwię się tylko, odparł Doliwa powoli — a powiem wam, ażebyście

dobrze obliczyli siły przeciw chrześcijanom. Dużo was, tamtych też sporo.

Pochlebiać wam nie będę. Na Rusi krzyże stoją, Czechy ochrzczone, Uhry też, Niemcy wszystkie. Jest tego siła.

Masław głową dał znak potakujący, stanął, obejrzał się dokoła i przystąpiwszy do Wszebora, oczy w niego wlepił, szepcząc cicho:

— Nie rozumiesz ty nic. Który Bóg mocniejszy będzie, temu się i ja pokłonię.

A mnie co? Teraz stara wiara górą, jak jutro wypadnie, czy ja wiem? Kneziowie i królowie wszak ci się chrzczą, kiedy przyjdzie na nich godzina. Będę i ja takim, jakim zechcę, aby panować; a teraz, teraz tak musi być, jak jest. Z krzyżem precz i z Niemcem precz, co go przyniósł. Rozumiesz?

Zaśmiał się, ściskając usta, Masław, oczy mu się zaiskrzyły.

Nie podobało mu się to w nowym słudze, że mu się ani dziwił, ani pochlebiał, ni potakiwał nawet.

— Ty, człeczko jakiś — zawołał, głos podniósłszy — ty może myślisz, że mi się śni moja siła? No to ja ci w żywe oczy pokażę. Zobaczysz i uwierzysz.

Popatrzał w dal na psy i sokoły. Dwa psy puszczone wietrzyły, chodząc po moczarze, ale czas jesienny nie był dobry do łowów; ani czapli, ani żadnego ptaka nie spotkały dotąd. Masław na bliższego sługę skinął.

— Hej, Didko, przewietrzcie mi sokoły i powracajcie sami z nimi. Huba ze mną pojedzie, nie ma tu stać czego.

Ręką wskazał na czółna, ku którym iść począł żywo.

Sobek oczyma Wszeborowi dał znać, aby się o niego wcale nie troszczył, szedł

więc Doliwa za kneziem; Masławowi jakby teraz pilno było powracać, szybkim krokiem ku przewozowi dążył, wskoczył do łodzi, konia dla siebie i dla Huby zabrać kazawszy.

Wtem popatrzał na Wszebora nędznie odzianego, który stał przed nim,

rozkazów oczekując.

— Ty tak, w tej siermiędze ze mną iść nie możesz — zawołał — zostaniesz w czółnie! Pójdiesz osobno na zamek piechotą. Huba, gdy powrócim, ze skarbca ci wydać każe odzież, jaka mojemu ochmistrzowi przystała. Nie bój się, dodał z uśmiechem - i łańcuch będzie, i wszystko! Mam ja tego podostatkiem. Chcę, by ludzie na mój dwór patrząc, dziwili się, nie naśmiewali.

Skinął na Hubę i szepnął mu coś do ucha, wskazując Wszebora. Łodzie

tymczasem, do których pędzenia było kilku Mazurów z wiosłami i drągami, szybko poczęły rzekę przerzynać. Na głębinach wszyscy się do wiosła brali. Na mieliznach odpierano drągami. Ludzie pracowali żywo, nawzajem się na pędzając, jakby czuli, że pan ich czekać nie lubi. Masław, stojąc w łodzi, na zamek spoglądał dumnie, nie mówił już nic, nadto mając słuchaczów; kilka razy tylko Wszeborowi ręką wskazał

na gród, którego posiadaniem pysznił się i radował.

W istocie poważnie rozsiadało się zamczysko na wyniosłości brzegu, a na okopach mnogi lud widać było, który ku przybywającemu spoglądał. Gdy łódź do lądu przybiła i konie z niej wyprowadzono, Masław, skinieniem Doliwę



pożegnawszy, konia swojego wspaniale przystrojonego dosiadł i z Hubą ku zamkowi pojechał z głową podniesioną, ze spojrzeniem ostrym, z grozą na czole. Widać było z dołu, jak lud, zobaczywszy go, się poruszał, a w chwilę potem na okopach głos się dał słyszeć ogromny; huczały okrzyki na powitanie.

Zadumany, posepny, powoli powlókł się za nim Wszebor. Przypominał sobie może, jak Masława tego, który teraz do takiej doszedł siły, widział małym i pokornym wobec królowej, która mu wzgardę okazywała.

Dalej idąc, było też na co patrzeć i Doliwa pilnie zwrócił oko na to, co Masława otaczało. Ludu było wszędzie mnogo, a choć już się sprzął w pułki i sotnie, potargany był nieco, strojem i twarzą jeszcze na pół dziki się wydawał.

Uzbrojenie też jego różne było i nie u wszystkich równe. Starszyzny od pospolitego człeka trudno było rozeznąć. Samopas to wszystko stało, chodziło, krzyczało i ujadało się z sobą. W podwórcach zamkowych stały beczki i kadzie z piwem, część, na ziemi siedząc, jadła i biesiadowała, inni leżeli i odpoczywali. Około dawnego kościółka benedyktynów stał tłum gęślarzy, wróżbitów, starych bab, czerni z lasów wybiegłej. We wnętrzu otwartej świątyni gorzał już rozpalony ogień, zwijały się około niego biało poosłaniane niewiasty. Przed wywalonymi drzwiami na drągach stały powbijane w ziemię stanice, po większej części naprędce ociosane i nieforemne, wyobrażające potwory różne i niezgrabne o kilku głowach postacie.

Pomiędzy nimi odkopany gdzieś z ziemi wbity był słup kamienny z gruba ociosany, w którego kształtach domyśleć się raczej, niż poznać było można bałwana o trzech czapkach, z rękami na piersiach, które miecz i korowaj trzymały. Gęślarze posiadawszy na ziemi pod nim, nucili pobrzękując, a lud okalający przysłuchiwał się pieśni.

Przy dworcu pańskim, drewnianym, tłum stał u drzwi, kręciła się służba mnoga nowego księcia, cudacko, pstro podziwiana. Chciano ich postroić wspaniale, a nie umiano; więc nawieszał każdy na siebie, co pochwycił, byle świeciło. Dziko to wyglądało. Na niewielu tylko znać było odzież połowiczną niemiecką, gdzieś na dworcu królewskim złupioną. Kilku poważniejszych urzędników dworu, choć w sukniach i kozuchach drogich, choć w łańcuchach i przy pasach złocistych, poczesani i umyjni, na prostych pastuchów wyglądali, i Ładu tam na tym dworze, wprędce zebrany z lada czego, nie było. Swary tu i owdzie powstawały nagle, wybuchała wrzawa, słyhać było uderzenia kijów i szamotania się. Popychali się jedni w tę, drudzy w przeciwną stronę kłóćcąc, aż pałka im nakazała milczenie. Skomlenie i wycie psów, rzenie koni, oddalony gwar wojskowego tłumu łączyły się z tym razem, tak że stojącym u wrót rozmówić się po cichu było trudno; krzyczeli więc, a głosy ich wzmagaly wrzawę.

Wszeborowi niełatwo się było precisnąć, nikt też nań ani spojrział, popychano go tylko, i nie wiedział, gdzie się obrócić, gdy wychodzący ze dworca Huba postrzegł go, rozepchnął tłum i wnijsć za sobą kazał. Wnet zawołano starego człeka i Doliwa w ręce jego się dostał. Wskazał mu Huba, by szedł za nim. W sieniach dworca także pełno było, choć się tu ciszej sprawowano. Przebywszy ciemne zakamarki i szyje, podwórko jedno, gdzie się czeladź krzątała, dostali się z przewodnikiem do na pół ciemnej izby. Małeńkie jej okienka, pozasuwane od wnętrza, ledwie cokolwiek światła wpuszczały przez szczeliny.

Skład to był jakiś czy skarbiec pański; od stropu do podłogi, po ścianach, na ziemi, drągach od wyżek, wszędzie leżało, wisiało odzieży, zbroi, wszelakiego zapasu i łupu podostatkiem. Tu, co wojna dała i grabieże, składał Masław, a na zbiorowisku tym znać było świeże ślady pochodzenia.

Kupami leżała zdobycz wszelaka, każda z innego dworu, od innego pana, z wszelakiego świata, wartości nierównej, jedna do drugiej niepodobna. Ręce, co ją zrzuciły, nie umiały rozróżnić nawet, co więcej, a co mniej było warte. Najdroższe rzeczy obok lichych leżały, jedne z drugimi i na drugich, jak w szopie nawiezione zboże i siano.

— Hej! — zawołał stary, drzwi otwierając. — Zabierajcie, co chcecie! Takie rozkazanie pańskie! Nie żałujcie!

Rękami na kupy i półki wskazywał.

— Hej! Co dusza zapragnie! Widzicie, jest u nas w czym wybierać.

I uśmiechnął się stary, gładząc głowę.

Na policy osobno leżały pozłociste i złote łańcuchy na kupie. Ku tym podszedł

stary, jeden i drugi na rękę zważył, popatrzył i ciężki jeden łańcuch wybrawszy, chciał go już podać Wszeborowi, gdy na nim przyschłej krwi dostrzegł ślady; zaburczał coś pod nosem, ku drzwiom poszedł, gdzie stał kubeł z wodą, zanurzył w nim i połą wycierać zaczął.

Ze wstrętem wziął się do odziewania Doliwa, ale mus był. Pomagał mu do tego ochoczo stary, ciągle powtarzając, aby sobie co najlepsze wybierał, a nie tracił

czasu. Szło mu o to, by rozkaz pański spełnił jak najlepiej.

— Ino śpieszcie! — mówił. — Jego Miłość czekać nie lubi, a chce was mieć przy stole. Wielki czas!

Z różnych kątów powywlekano pas z mieczem, czapkę futrzaną, zwierchnią suknię bramowaną, słowem, co było po trzeba, by Wszebor nowemu panu nie uczynił wstydu. Na ostatku przygotowany łańcuch stary mu na szyję zarzucił i uśmiechnął się popatrzawszy, ku drzwiom go poprzedzając.

Ze skarbca do izby stołowej znowu iść było potrzeba ciemnymi kątami. Wnijście do niej z dala gwarem się zwiastowało. Nie był wielce wspaniałym stary dworzec płocki, okopcony wewnątrz od dymu, sprzęt miał prosty, od siekiery wyciosany. Jak niegdyś od wieków był, tak i teraz pozostał ze stoły z grubych desek, z ławami ogromnymi, a mało co go przybrać umiano, skórą i sukniem powyścieławszy. W

dalszych izbach podłóg nie było, tylko ubite toki, które liśćmi posypywano, zimą słomą i jedliną.

W stołowej komorze, dosyć obszernej, ludu poodziewanego jak na święto dosyć było. Dla knezia siedzenie zgotowano na podwyższeniu, obwieszane sukniem czerwonym. Około niego, łacni do poznania cisnęli się dziko wyglądający, zbrojni w to pory, oszczepy, nabijane krzemieniem kostury, łuki i proce, w szłykach futrzanych Prusacy.

Jeden kunigas im przodował, poufale obchodzący się z Masławem, który

miłości jego rozkazy rad nierad znosić musiał. Mąż był nierosły, barczysty, gruby, z oczyma, które spod brwi ledwie widać było, śmiały a nie baczący wcale na dostojność, w jaką się Masław przybierał. Na równi z nim chciał stać i z pychą też a dumnie mu odpowiadał. Nowy kneź potrzebować go musiał, bo choć mu się czasem twarz krzywiła i drgała, znosił to obejście się z nim cierpliwie. Niekiedy oczyma rozglądał się po swym dworze. Szło mu o to, ażeby się on w oczach Prusaków pańskim wydawał, wszyscy też jak na uroczystość strojni byli i zbrojni. Niewiast starym obyczajem w izbie nie było.

W końcu stoła usadowiwszy się, Masław kunigasa posadził przy sobie,

czerwone mu też sukno podesławszy. Przed nimi dwoma misy postawiono srebrne, a że ich na inne stoły nie starczyło, glinianymi się i drewnianymi przy nich posługiwano. Wszeborowi Masław u drugiego stołu miejsce naznaczył, aby tam gospodarzył.

Krom Prusaków, którzy, głosy podnosząc, jeść i pić poczęli swobodnie, reszta dworu Masławowego, wedle przykazania pańskiego pewnie, zachowywała trwożliwe milczenie, że do tego nie byli przywykli, tu i owdzie wyrwał się okrzyk, to śmiech dziki groźnym wejrzeniem zahamowany. W izbie szła rażno posługa, plątali się ludzie i popychali, za drzwiami wybuchały groźby, hałasy i jęki, lecz byłaby uczta przystojnie się skończyła, gdyby się nie przeciągnęła przy kubkach. Miód porozwiał języki ludziom, do wstrzymywania się z wybuchami gniewu i wesela niezwykłym. Ku końcowi już wrzawy nic powstrzymać nie mogło i nie myślał nikt o tym, choć się kneziowskie zasępiło oblicze. Psów też moc dworskich i obcych zebrała się pod stołami, gdzie kości zrucano, i coraz warczeniem i zajadaniem się powiększały wrzawę. Przyczyniało się do niej i to, że starym obyczajem pod koniec wszyscy gęślarze i śpiewacy spod chramu się przywlekli do izby biesiadnej. Wpadli kupą i prawie przebojem, rozsiedli się wnet na ławach pod ścianami, a kto miejsca nie znalazł, na ziemi, zaczęli w gęśle brząkać, wreście i śpiewy krzykliwe zawodzić.

Tych też szanować musiał Masław, bo oni lud wiedli za sobą; stawiono im piwo i miód, dawano ucha, niektórzy też ze współbiesiadników, już podochoceni, od stołów im wtórować poczęli, w ręce poklaskiwać. Nie na książęcą wyglądało to gospodę ano inaczej pono już być nie mogło. Wszystko to Prusakom uczyty nie psuło. Zapijali, miód chwaląc, i rogi, które u pasów nosili, podstawiali do niego.

Już się uczta, dosyć długo przeciągnięta, ku końcowi miała, bo ze stołów jadło poznikało i tylko dzbany stały, gdy nagle drzwiami od wnętrza dworca

prowadzającymi, które się z trzaskiem otworzyły, wpadła nieproszona dziwna jakaś postać. Prusacy na widok jej, przerażeni się z ław pozrywali, Masław jak trup pobladł.

Było się czego przestraszyć zaprawdę! Niewiasta to była stara, wychudła, wysokiego wzrostu, z siwymi włosami rozplecionymi, które jej na ramiona spadały, w grubej bieliźnie, zaledwie zeszlę jej okrywającej ciało, bosa, bez pasa i jakby z więzienia czy z rąk oprawców wyrwana. Błada twarz jej pomarszczona, oczy siwe zaognione, gniewne, których białka krwią zaszyły i powieki nabrzękły od płaczu, usta śliną okryte rozpacz jakąś i niemal obłąkanie wyrażały. Biegła, wołając głosem, którego zrozumieć nie było można, strwożona, gniewna, szalona, oglądając się, jakby ją goniono. Wpadła tak,

rękami odpychając tych, co stali na drodze, przed sam stół i stanęła wryta naprzeciw Masława, mierząc go oczyma.

Kneź zerwał się z siedzenia blady, nie mogąc słowa rzec, rękami tylko wskazując dworskim na to widmo, które do izb wpuszczono. Prusacy z przestrachu jakiegoś do nożów się brali, inni z miejsc powstawali, popłoch i zamieszanie ogromne w izbie się wszczęło. Ruszył się i Wszebor od stołu. Wtem ludzie, co za babą tą wbiegli, chwycili ją za ręce, ta wrywając się im, padła na ziemię, prawie u stóp kneziowskiego siedzenia. Masław cofnął się wylękły. Przerazający krzyk słyhać było i szamotanie się przez chwilę, potem, na ręce wzięwszy obłąkaną, ludzie dworscy spiesznie za drzwi ją wynieśli. Słyhać tylko jeszcze było krzyk jej bolesny, wybuchając gwałtownie, tłumiony i coraz ciszej jak jęk daleki ginąc gdzieś w głębiach dworu.

Masław z oczyma dzikimi, starając się uśmiechać, padł na siedzenie swoje.

Kunigasowi, który go pytał, odpowiedział zimno, iż to była biedna, obłąkana stara, kubek podniósł do ust, wypił go duszkiem, lecz choć obojętnego udawał, drżał cały.

Gęślarzy część wyniosła się, mrużąc, za drzwi, cisza dziwna po tym gwarze zapanowała w stołowej izbie. Kneź skinął aby miod podawano, lecz i ten nie pomógł

do wesela, tak wszyscy widokiem nieszczęśliwej niewiasty strwożeni byli i pomieszani. Umilkło wszystko, a z tych, co więcej pili, na stołach głowy pokładłszy, chrapać zaczęło. Wreście i Masław, gości swych rozkazawszy prowadzić do izb dla nich przeznaczonych do spoczynku, sam ruszył się krokiem chwiejnym z siedzenia i otoczony komornikami, miecz przed sobą nieść rozkazując, powoli z komory się wysunął. Inni oprócz uspiomych, których nikt budzić nie myślał, rozchodzić się zaczęli.

Wszebor, który nie wiedział dalej, jakie miał pełnić obowiązki, sam prawie tu pozostał. Widok straszliwej baby tej, która ucztę ukazaniem się swym popsuła, nie mógł mu wyjść z pamięci. Skąd się ona na dworze tym wzięć mogła? Kto była?

Czego chciała? Domyśleć się było trudno, choć z ruchów, krzyku i wyrazów kilku można się było dorozumieć, iż prośbę jakąś do Masława miała. Kneź też raczej widokiem zdawał się przerażony niż gniewny; żadne przekleństwo z ust mu się nie wyrwało, słowa nawet przemówić nie miał siły, on, co tyle miał odwagi i surowym był do okrucieństwa.

Myślał nad tym Wszebor, przechadzając się po izbie, gdy do niej wszedł Huba.

Na twarzach dworaków ten sam niemal wyraz trwogi zostawiło to zjawisko, co na Masławie. Huba był chmurny i zafrasowany.

— Co to była za niewiasta? — zapytał go Wszebor.

Huba zmierzył go oczyma, ramionami ruszając.

— Stara baba, nie wiem — rzekł, choć widać było, że wiedział więcej, niż chciał powiedzieć. Unikając dalszych pytań, oddalił się natychmiast.

Wtem wyrostek wpadł, szukając Wszebora, ażeby do pana spieszył. Komnata książęca, do której mu wskazano drogę, była wzorem dworu Mieszkowego

przyozdobiona tak, aby na ludziach do niej wpuszczonych pańskiego dostatku czyniła wrażenie. Nagromadził w niej Masław do zbytku naczyń i opon, umyślnie je na okaz wystawując. Wszebor, wchodząc, zastał go na pół leżącym na pościeli; ujrzawszy go, zerwał się kneź. Twarz miał zmienioną i straszną. Zszedł z niej rumieniec, usta były sine, oczy dzikie, policzki i czoło marszczyły się wyrazem tłumionego gniewu. Wpatrzył się we Wszebora, jakby chciał poznać po nim, z czym on przychodził.

— Widzieliście? — zawołał. — Ucztę mi popsuto! Czeladź niesforna, u drzwi nie było straży.

Wszebor milczał.

— Szalona wiedźma stara! — mówił Masław dalej. — Przez litość jej dano przytułek. Napadają na nią takie chwile, męczą ją duchy, sama nie wie wówczas, co robi i plecie. I chodził z głową spuszczoną po izbie.

— Zamknąć ją kazałem dawno!

Burzył się i walczył z sobą widocznie, potem, jakby się chciał przemóc, z twarzą na pozór rozpozgodzoną, spod której jeszcze widać było wewnętrzne wzruszenie, począł do Wszebora:

— Widzisz! Posły do mnie ślą, o przymierze mnie proszą ci, którym Bolko nie dał rady! Na ich zawołanie ruszą mi się w pomoc tysiące, wygnam precz Niemców.

Głos mu się urwał nagle, coś innego do myśli nabiegło i wtrącił:

— Gdy zechcę łeb komu kazać uciąć albo powiesić, od stołu go weźmie

oprawca; mogę winnych ukarać srodze. Co chcę, to mogę.

Wszebor, słuchając, milczał; on przystąpił do niego.

— Co ty na to? Co?

— Przypatruję się i dziwię sile waszej — odezwał się Doliwa. — Dostatek też widać wszędzie. Winszuję wam.

— Myślisz może — dodał prędko Masław — że ja do tego nie miałem prawa?

Słyszałeś te baśnie, o których pletli na dworze? Kłamstwo wszystko, ja mam starych mazurskich kneziów krew w sobie. Jak Leszkom, tak i nam Piastowie dziedzictwo wydarli, wracamy do niego. Krew moja warta piastowskiej.

To mówiąc, padł przed ogniem na posłanie okryte skórą i podparł się na rękę zamyślony.

— Piasty nie powrócą nigdy — począł jakby sam do siebie. — Kaźmirzowi się nie zechce łba nastawić. Nikt się nie ujmie za jego sprawą... Z Czechami...

— Cóż z Czechami poczynać myślicie? — odezwał się wreszcie, zmuszony coś powiedzieć, Wszebor.

— Na Czechów mam Prusaków i Mazurów, w końcu podzielę się z nimi.

— Brzetysław dzielić się nie zechce.

— Zechce! — sprzeciwił się Masław. — Dam mu Szląsko, niech bierze

Kraków i razem z nim pójdę na cesarza.

Wszystko to, co mówił przerywanymi wyrazy, podobniejszym było do

gorączkowego marzenia niż odpowiedzi na pytanie; zdawał się na własne wątpliwości, rodzące się w nim samym, rzucać te myśli, które je odegnąć miały.

— Ogłoszę się królem — mówił dalej. — Korony Ryksa powywoziła, ja tych nie potrzebuję, niech cesarz je trzyma! Ukują mi nową, droższą i piękniejszą, a nie ksiądz mi ją na głowę włoży, ale ja sam! Ja sam!

Rozśmiał się, błyskając oczyma, i wnet zasępił, oglądając trwożliwie. Z daleka jakby jakiś krzyk doszedł do komnaty. Masław drgnął, począł się przysłuchiwać; panowała cisza znowu, odetchnął swobodniej. Myśl dalej snuła mu się po głowie.

— Choćby mi nawet Czesi i Niemcy wydarli kraj za Wisłą, tu u siebie zostanę panem. Stąd mnie nikt nie wyżenie, jam tu w domu. Prusaków obok mam, co ze mną pójdą krok w krok. Na własnych śmieciach silni jesteśmy. Czemu bym pruskiego kunigasa dziewczki nie wziął za żonę? Albożby mi jej odmówił? Da i kawał ziemi za nią, jak należy. Starą wiarę wszędzie trzymać będziemy! Ochrzczona Ruś, ochrzczone Polany, ochrzczone Czechy! mówią. Kłamstwo! Ochrzczono ich strachem i grozą. Lud z nami trzymać będzie, bo mu stare bogi oddamy. Kościoły poobalamy, czarnych wypędzim precz!

Znowu ten sam krzyk dał się słyszeć z dala i ucichło. Masław zbladł, obejrzał

się osowiałymi oczyma i zamilkł. Wszebor też nie śmiał się odezwać ani zapytać.

Nagle odwrócił się doń kneź.

— Tyś chrześcijanin? — odezwał się głosem drżącym.

— Jestem nim — rzekł Doliwa. — Wiecie o tym najlepiej, boście razem ze mną do kościoła i spowiedzi chadzali. Prawda to — dodał — nie ochrzczonej ludzi dużo jeszcze po świecie i takich, co pochrzcivszy się, starą wiarę trzymają tajemnie, musi być niemało, lecz i chrześcijan moc ogromna, a gdy idzie o wiarę, o krzyż, wszyscy idą razem.

— I żelaza dobrego mają dużo! — wyrwało się zamyślonemu Masławowi. —

U nas rąk nie zabraknie, ino mieczów.

Potarł czoło, jakby myśli spędzał z niego, zbliżył się do Doliwy i po cichu poufnie szepnął:

— Oni umieją robić cuda!

— Chrześcijanie? — spytał Wszebor.

— Ci czarni księża ich — mówił Masław tajemniczo. — Nie wiem, czasem moc jakąś mają.

— Mają! — potwierdził krótko Doliwa.

— A tych księży ocalało dużo — rzekł Masław. — Jak? Nie wiadomo! Nie przebaczano żadnemu, kazano wszystkich mordować, mało który nie ocalał. Jak?

Czary!

— Czary — powtórzył, oglądając się trwożnie. — Ludzie głoszą, że zabitych ciała po nocy świeciły światłością wielką, że ich orły i kruki pilnowały, tknąć nie śmiejąc.

Jakby trwogą wewnętrzną zdjęty, wstrząsł się Masław.

— To baśnie głupich ludzi — szepnął, sam się poprawiając. — Baśnie, trwogi, kłamstwa!

Spojrzał na Wszebora i przystąpił do niego, biorąc koniec łańcucha, który miał na szyi zawieszony.

— Ty sobie trzymaj, jako chcesz, byleś mnie wierny był — rzekł — ale się ze swoim chrześcijaństwem nie chwal. My tej wiary znać nie chcemy! A jutro — dodał

— wybierz ludzi, chłop w chłopą, odziać ich każ jednakowo, żebym kneziowską drużynę miał, jak mi należy. Starszym nad nimi będziesz i ochmistrem w moim dworze. Rozumiesz!

Wszebor się, milcząc, skłonił i wyszedł.

## **Rozdział 5.**

Znalazłszy się sam jeden w sieni, Doliwa gorzko się uśmiechnął sam do siebie.

Na co mu przyszło! Sługą być i ochmistrem u chłopskiego syna, którego widział

pacholitek pokornym. To, co tu widział, zdumiewało go i oburzało, lecz zostać nie myślał długo, ale się przypatrzeć było trzeba, aby wywieść, jak stały Masławowe sprawy. Kosztowało go to,

kłamać musiał, ale wpadłszy raz w to osie gniazdo, trzeba się było zachować cicho. Nie wiedział jeszcze, gdzie się obrócić i co z sobą począć, gdy go Sobek, stojący na czatach, pozdrowił milcząco. Nie mówiąc słowa, wskazał

mu, aby szedł za nim. Dwór już był na pół usypiony, ludzi niewiele snuło się jeszcze po zakamarkach ciemnych, którymi przeciskać się musieli. Tak wyszli na drugie podwórze, a tu Sobek, jakby się od podsłuchania bezpieczniejszym czuł, zwróciwszy się ku Doliwie, rzekł mu:

— Izbę wam dali lichą, a co robić? Dwór dziś pełny Prusaków i Pomorców.

Chciałem dla was osobnej, abyście spocząć mogli, ledwie się komórka znalazła. Kleć mi chcieli dać, gdzie ognia nie można by zapalić.

To mówiąc, wprowadził Wszebora do budynku, w którym gwar jeszcze

niewieści słyhać było z jednej strony, z drugiej Prusaków czereda pilnowała progu swych panów. Z wąskiego wnijścia weszli do małej komory, w której Sobek już był

ognia rozpałił. Wąska, osmolona, brudna, widać, że była tylko co opróżnioną dla pańskiego ochmistrza. Ławę miała jedną, w kącie trochę siana pokrytego skórą, a na ścianach mnóstwo powbijanych kołków pozostało od dawnych mieszkańców, którzy na nich odzież wieszali.

Sobek, wwiódłszy go tu, choć miał ochotę o coś spytać, coś może powiedzieć, wstrzymał się, palce sobie położywszy na ustach. Budynek był zamieszkały i swobodnie się rozmówić niebezpiecznie było. Z twarzy tylko starego bartnika poznać mógł Doliwa, że mu ten dwór nie był do smaku. Sobek oznajmił, że do koni odchodzi, a Wszebor się drewnianą zasuwą na noc zawarowawszy, przed ogniem siadł zamyślony.

Miał się o czym zadumać. Wszystko, co tu widział, dziką, ale wielką jakąś siłę wyrażało, z którą rozbite rycerstwo piastowskie mierzyć się nie mogło liczbą, choćby jej męstwem sprostało. Jeszcze miał w uszach wrzawę biesiadną, wykrzyki, śpiewy i ów jęk starej, obłąkanej niewiasty, która ucztę popsuła; przypominał sobie, co słyszał

od Masława, i trwoga a smutek serce mu ścisnęły. Mieliz się poddać tej sile zwierzęcej człowieka, co się wiary wypierał i do dawnej dzikości naród chciał

prowadzić? Przyszło mu na myśl i Olszowe Horodyszczce a garstka w nim

schroniona, którą zguba czekała, bo nie było środka jej ratować.

Myślał tak, gdy jękliwe jakieś głosy obok, niedaleko słyszeć się dały. Uciszył

się Wszebor, nie śmiejąc poruszyć, aby podsłuchać. Ściany izby drewnianej cienkie były i z sąsiedniej dochodziła go jakby przerywana rozmowa. Poznał w niej głos niewieści. Zbliżył się więc po cichu ku przegrodzie, która go oddzielała od komór pobliskich, i ucha nadstawił. Wyraźniej teraz mógł pochwycić jękliwy głos niewiasty i drugi, który ją zagłuszał, ciągle przerywając.



Przysunawszy się do ściany, postrzegł dopiero Wszebor, iż w niej otwór był na kształt okna dawniej wyciosany, który z sobą łączył dwie izby. Drewniana okiennica zasuwana zasłaniała go tylko. Z ostrożnością Doliwa spróbował nieco odsłonić tę zaporę, która łatwo się dała popchnąć, bo była wyschła i ledwie się trzymała. Tyle tylko odsunął jej, aby oko mogło do komory sięgnąć i obaczyć, co się tam działo.

Z początku nie widział nic w pomroce, która panowała w szerokiej izbie, małym ogniem dogorywającym słabo oświeconej. Wpatrzywszy się nieco, rozeznać mógł dwie postacie w bieli, z których jedna na ziemi siedziała, druga stała nad nią.

W pierwszej z nich poznał Wszebor ową starą obłąkaną, która wpadła czasu uczyty, lecz zmienioną teraz, uspokojoną, z załamanyh na kolanach rękami, siedzącą na słomie. Na twarz jej zeszlą, pomarszczoną padało drgające światło z ogniska.

Wszeborowi zdało się, że widział z oczów jej płynące łzy. W grubej koszuli, z bosymi nogami, na pół prawie obnażona siedziała, wzrok wlepiwszy w ogień, i głową poruszała ciągle jak płaczki, gdy nad umarłym zawodzą.

Stojąca nad nią druga, młoda i strojna niewiasta, hoża, smukła, twarz miała jakąś znudzoną i obojętną. Nie było na niej boleści ani współczucia, raczej zniecierpliwienie i dąsy.

— Słuchaj ty, stara Wygoniowa — mówiła pochylając się do niej — tak ty się swoim szaleństwem dorobisz i doigrasz, że cię do jamy rzucą i głodem zamorzą. Co tobie się śni? Co tobie chodzi po głowie?

Stara się ani obróciła ku mówiącej, potrząsała ciągle siwą głową, na ogień patrzyła, a słyszeć się nie zdawała.

— Że dziś ci sto łóz nie dali, powinnaś mnie, do nóg padłszy, dziękować!

Kneź był wściekły!

Dopiero na wspomnienie knezia głowę zwróciła nieco stara.

— Co mówił? — spytała.

— Sto łóz starej wiedźmie! — zawołała młoda, poprawiając włosy na główce... — Sto łóz szalonej babie!

— On tak mówił? On? — powoli odparła stara Wygoniowa. — A sprawiedliwie! Sprawiedliwie... czemu rozumu nie ma? — szydersko to mruknęła.

— Widzicie! Sami mówicie! — podchwyciła młoda.

— I nie będzie miała rozumu — mówiła stara — choćby jej i sto, i dwieście łóz dali.

— Co się wam śni? — poczęła druga. — Kneziowi włazicie w drogę; gdyby jak drudzy zły był, co myślicie, powiesić by kazał!

— Ano! — rzekła stara. — Niech on każe i niechaj wieszają!

Spuściła głowę, a po małym przestanku poczęła nucić głosem ochryłym: Luli, mały, luli

Na rękę matuli,

Śpij mi złotko moje,

Mlekiem ja cię poję,

Krwią cię moją żywię,

Żyj ty mi szczęśliwie,

Luli, mały, luli!

— Tak to ja jemu śpiewała, gdym go karmiła, ot tymi, tymi piersiami

zeschłymi — dodała, koszulę rozdzierając gwałtownie — a teraz, na gałąź starą sukę! Sto łóz wiedzcie! Hej hej! Jakże urósł szczęśliwie!

Podparła się na rękę.

— To co, żeście go karmili? Choćby tak i było — poczęła młoda, nogą bijąc o ziemię. — Czy to jedna mamka cudze dziecko do piersi bierze, gdy matki nie stanie?

— Mamka? — krzyknęła stara, podnosząc oczy groźne. — Ty, ty jakaś, jak ty mnie śmiesz mamka nazywać? Mamka ja nie była! Ty, choć żoną nie jesteś, możesz się dać całować... Na to ty się urodziła, a do mojej piersi tylko własne dziecko usta mogło przycisnąć. Ty, latawico jakaś!

Młoda kobieta gniewnie odskoczyła.

— Wiedzmo ty stara! Jędzo przekłeta! A tobie co do mnie? Widziałaś, jak mnie całowali?

— Kto nie chce, to zobaczy, bo ty masz napisane na liczku — zawołała stara, rozgarniając włosy siwe. — Patrzenie na moją twarz, czy tam stoi, żebym ja cudzym dzieciom mamka była?

— Tam stoi — rozśmiała się młoda — że didko ci rozum wziął i do sakwy schował. Ot co! Ale ty się doigrasz, stara, że cię powieszają!

— Ano! Wiatr mi wtedy łzy osuszy! — zamruczała Wygoniowa.

Zamilkła i głowa jej znowu z ramienia na ramię smutnym jakimś rytmem

przechylać się zaczęła. Młoda stała nad nią nadąsana, zła, z brwią zmarszczoną.

— Mnie tu do was przysłali — odezwała się — ostatni raz! A będziecie mieć rozum czy nie? Siedźcie spokojnie, dożyjecie ładnego wieku, a nic wam braknąć nie będzie. Chodzić i tak siły nie macie. Co wam źle w izbie? Jeść, pić, czego dusza zapragnie! Macie len do kądzieli, ile prąść zdążacie. Nie zimno, nie głodno! Jeszcze wam czego potrzeba? Siedzielibyście cicho!

— Jakby tak wam, Zynio, to i by dosyć było, byle jeszcze i chłopak

przychodził! — zawołała stara. — Ja zamknięta, bez słońka i powietrza nie wyżyję.

Nie!

— Pewnie! — przerwała Zynia. — Jakby wam drzwi otwarto, tak jak dziś, co przypadkiem chłopak zapomniał zasunąć, poszlibyście ludzi straszyć i kneziowi w oczy leżeć!

— Bo ja mam prawo, słyszysz, ty latawico bezczesna! — krzyknęła stara. —

Mam prawo tam być, gdzie i on, siedzieć, gdzie on siedzi, chodzić, gdzie pójdzie...

Rozumiesz!

Szyderskim śmiechem odpowiedziała Zynia.

— Starej życie niemiłe!

— Oj, niemiłe, niemiłe! — powtórzyła, jakby do siebie i do ognia mówiąc, stara. — Żyłam ja nadto, oczym wyplakała, ręce łamiąc połamała, piersi stękając rozbiła. Oj, życie mi niemiłe, niemiłe! Życzę tobie latawico, więcej nic, więcej nic, tylko mego losu i starości mojej!

Zynia mimowolnie krzyknęła. Wyrazy te wymówione jak przekleństwo

przeraziły ją.

— Za co mnie tak życzycie, za co przeklinacie? — odrzekła. — Czy to ja swoją wolą mówię? Niosę, co mi kazano.

— Milczałabyś lepiej, milczała! — odparła stara.

Zynia odstąpiła kroków kilka i zaczęła się po izbie przechadzać. Wygoniowa ani spojrzała na nią. Kilka razy młoda wzrokiem ją wyzywała bojaźliwym i nie wymogła ani rzutu oka, ani wyrazu. Staruszka w swym bólu pogrążona karmić się nim zdawała. Łzy, które przestały ciec, puściły się znowu.

Obawiano się wówczas wiedźm starych i ich czarów; tym się tłumaczyć chyba mogło, że Zynia, przekleństwo usłyszawszy, chciała się teraz wkręcić w łaski Wygoniowej, aby na nią jakiego nie rzuciła uroku.

Pokrążywszy po izbie, Zynia przysiadła obok starej na ziemi, zmienionym głosem poczynając:

— No, nie gniewajcie bo się na mnie. Co ja wam winna! Mnie posyłają, ja iść muszę. Żle wam nie życzę, a co mówię, dla dobra waszego. Wy sobie sami życie trujecie. Siedzicie bo spokojnie, będziecie szczęśliwą.

Odwróciła głowę Wygoniowa.

— Szczęśliwą! — powtórzyła. — Ja? Szczęśliwą? Koli mnie szczęście drogi zapomniało. Nie pleć, pleciucho, milczałabyś lepiej!

Ręką ku niej machnęła, aż Zynia, uląkłszy się, odsunęła się. Ogień przygasał

na kamieniach, młoda rada była, że do niego mogła wstać i parę szczepek przyłożyć, nie mówiła już nic, chodziła oczyma za starą, spoglądając z obawą.

— Wody wam dać? — spytała.

Wygoniowa głową potrząsała.

— Miodu?

— Daj ty mi trucizny — szepnęła stara — a takiej, co by prędko ubiła, nie męczyła długo; duru mi przynieś, blekotu zgotuj! Za to ci podziękuję!

— Skręciłaś się stara — mruknęła cicho Zynia.

Jakiś czas cicho było, a że w podwórcach też wszystko się pospało i we dworze, najmniejszy szelest chwycić łatwo mogło ucho. Wszebor, który ciekawie wpatrywał się i nasłuchiwał, około budynku chód szybki i niecierpliwy poczuwszy, strwożył się nieco, czy nie ku jego drzwiom kto się zbliżał. W tej samej chwili szeroko się otwarły te, które prowadziły do izby kobiet; wszedł ktoś i prędko za sobą zasuwę zapał. Stara Wygoniowa wlepiła oczy; młoda jak przestraszona w kąt uciekła, rumieniec jej na lice wystąpił.

Przybyłego nie widać jeszcze było, stał w mroku. Nagle wysunął się na światło i stanął przed starą, która, ręce podniósłszy, krzyknęła, padając twarzą na ziemię. Był

to Masław prostą opończą okryty, z twarzą od gniewu zapaloną i niespokojną. Stał, z początku nie mogąc przemówić słowa, oczyma powiódł po kątach, dał znak Zyni, aby precz szła, dziewczę, pod ścianami się sunąc, cicho dobiegło wyjścia, wymknęło się nim i znikło.

Stara patrzyła płaczącymi oczyma na Masława. W twarzy jej mieszały się uczucia dziwne: radość, gniew, rozpacz, szczęście. Masław stał groźny, lecz strwożony razem.

— Słuchaj ty, stara! — począł głosem jakby ochrypłym. — Ja ci sam raz jeszcze przyszedłem powiedzieć, życia swojego strzeż! Masław cierpliwy do czasu, a w gniewie od wilka wściekłego sroższy. Zasięć każe, zabić każe!

— Gadaj! — szepnęła stara. — Niechaj choć głos słyszę. Gadaj! Ja tobie życie dałam, ty mnie za to

śmierć!

— Oszalała baba! — krzyknął Masław. — Jak ty śmiesz, stara, szalenico, nazywać mnie, mnie, kneziowskie dziecko, synem swoim! Ty!

— Gadaj, synku, gadaj — rzekła Wygoniowa — mnie głosu twego słuchać

miło. Ja zawsze, zawsze mówiłam nad kolebką twoją, że ty godny kneziem być, królować!

Wyciągnęła ręce.

— Królem ja cię nazywała, ja, ja, stara wiedźma szalona! Pamiętasz? —

mówiła cicho. — Pamiętasz? Pomacaj się na czole, z prawej strony masz bliznę.

Byłeś mały, padłeś na kamień i rozbiłeś głowę, jam ci ranę jak pies lizała. Tyś na moich kolanach płakał i za palec mnie ugryzłeś, a to była przepowiedź tego, co się ze mną i z tobą miało stać. Ja nogi ci liżę, ty mnie depczesz nogami!

Zakryła rękami oczy i zaszła się od płaczu. Masław stał. Widział Wszebor, jak bladł, jak mu się twarz mieniła, jak na przemiany słabł i męźniał.

— Pleciesz duby smalone, stara! — zawołał. — Na czole żadnej nie mam blizny, nie znam ciebie! Mam tylko litość nad tobą. Siedz cicho, chceszli być całą, a milcz! Stul głowę i nie śmieć mówić, żebyś ty mi matką być miała!

A pomilczawszy, dodał cicho:

— Gdybyś ty matką była, nie psułabyś mnie u ludzi, nie robiłabyś wstydu przed światem. Ja kneziem jestem i będę! Tyś pastusza wdowa!

— A ty, kneziu miły, pastuszy syn! — smutnie rzekła stara. O! Bodaj ci było z biczem chodzić za trzodą, niż z mieczem na gardła cudze nastawać, aby potem swoje dać. Co tobie z tego kneziostwa, co?

Masław mruczał coś niewyraźnie.

— Będiesz milczała? — spytał.

Wygoniowa zadumała się.

— Puście mnie stąd — odpowiedziała smutnie. — Pójdę i będę milczeć. Nie powiem nikomu, żeś synem moim, króluj sobie! Ale puście mnie z tej niewoli...

hen! Tam do starej chaty! Puście! Puście! Niechaj oczy się nie patrzą, serce się nie krwawi. Nie powiem nikomu, puście mnie tylko!

Uklęka, składając ręce. Masław brwi ściałnął i rudą brodę szarpał.

— Co ci tu, źle? Ptasiego mleka chyba brak? Pójdiesz na czarny chleb i nędzę czarną, a usta nie strzymają, będziesz pleść duby swoje. Nie! Nie!

— To mnie zabić kaź! — mówiła stara. — Tak, prędko, jak twoi ludzie umieją. Głowa się ledwie trzyma. Ja w niewoli oszaleję, ja do niej nie przywykłam.

Ja ci życie dałam, ty moje weź!

Upadła, płacząc, na ziemię, ale prędko podniosła oczy i poczęła chciwie wpatrywać się w Masława; jakaś myśl przyszła nagle, usiłowała powstać. Kneź się cofnął nieco, stara podniosła się z trudnością i oczy wlepiła w niego, jakby o sobie zapomniała. Karmiła się widokiem tym, nie mogąc nasycić. Wzrok jej piekł widać knezia, bo się począł cofać niespokojny.

— Stój! — odezwała się. — Już ja ciebie o nic nie proszę, niech popatrzę tylko! Tak dawnom ciebie nie widziała. A, a! Co to się z niego zrobiło! Jak to ciało wybielało, jak dziecina urosła, jaki pan z mego syna! Myślałamże ja, piastując cię na rękach, że bohatera wykołysam!

Powoli zbliżała się ku niemu, twarz jej z gniewnej przechodziła w

rozzewnioną, klęka i pochwyciła go za nogi, całując je. Masław drżał cały.

— Kneziu mój! Gołąbku mój, czy ci sępy serce wyjadły, czy krucy oczy

wydłubały...? Nie znaszże ty matki swojej? O, złoty mój, nie chcę nic od ciebie, puść starą na swobodę, mnie tu duszą te ściany, mnie wyjść kroku nie dają, głosu podnieść nie wolno, nic! Zlituj się ty nade mną!

Kończyła te słowa, gdy kneź szybko się cofnął aż do drzwi. W progu już stojąc, odwrócił się ku niej:

— Miejcie rozum, kiedy całą chcecie być! To ja wam mówię! Ostatni raz!

Siedźcie, gdzie przykazano! Słyszycie?

Odryglowano drzwi i Masław wyszedł.

Stara, jak leżała u nóg jego na ziemi, została w miejscu, twarz ukrywszy w dłonie, rozciągnięta na toku. Leżała tak płacząc, gdy znowu weszła, ale już nie Zynia, stara, w ubogiej, zgrzebnej bieliźnie baba, silna, z rękami obnażonymi, włosami rozrzuconymi, które chusta brudna zaledwie na pół osłaniała. Popatrzała na leżącą namarszczywszy się.

— Hej! Słyszysz? — zawołała groźno. — A na barłóg, więdźmo stara! Dosyć tego!

To mówiąc, pochwyciła ją wpół rękami silnymi i nie broniącą się nawet na posłanie w kącie, zaniósłszy, rzuciła. Z kołka zdjęła siermięgę, nakryła ją, popatrzała i poszła ogień przygasić.

Wkrótce Wszebor, nic już dojrzeć nie mogąc i nie słysząc nic, oprócz głuchego jęku i chrapania, zasunął okienniczkę. Uląkł się, aby nazajutrz nie domyślano się, że był na podsłuchach, i suknię na niej zawiesiwszy, sam też legł na posłanie.

Nazajutrz jak świt, zaskrobano do drzwi; poszedł je otworzyć; był to Sobek, który chciał ogień rozniecić. We dworze się już ruszać poczęto. Dzień naówczas wszędzie po chatach i grodach zaczynał się ze światłem i z nim kończył. Wszebor, wstawszy, okienniczkę od podwórza odsunął, obaczył już Masława na koniu pod okopami, który ludzi swych ustawiał, dobierał, broń opatrywał, tarcze przerzucał, jeźdźnym konie próbować kazał.

Wojsko to, zbierana drużyna, niesforna i dzika zdawała się mężną i dzielną. Na teraz nie miało ono jeszcze z kim walczyć w kraju, bo rycerstwo królewskie rozproszone było, a z Czechami, którzy je orężem i liczbą przewyższali, mierzyć się nie śmiało. Masław do jakiejś przyszłej walki, którą przeczuwał, gotować się zdawał.

Z okna widać było, jak pułki nowe objeżdżając, kneź to się z ludźmi po książęcemu obchodził, to zapomniawszy się, kim był, stawał się w gniewie prostym człekiem, sam własnymi rękami rwąc się do niesfornych.

Wszebor, a za nim stojący Sobek, z dala patrząc, głowami potrzęsali; staremu bartnikowi to uśmiech się kręcił po ustach, to brwi się marszczyły. Głos niekiedy aż tu dolatywał groźny i krzykliwy.

Milcząc tak, stali chwilę, aż bartnik odwiódł na stronę Doliwę.

— Nie mamy tu czego długo przesiadywać — rzekł cicho — obejrzyjcie się, uchodźmy. Widzieliście, co ma, więcej nam nie trzeba.

— Siłę ma, wielką siłę, a my żadnej — odparł Wszebor wzdychając.

— Juźci nie przystaniemy do niego — szepnął bartnik. — Na oczyśmy widzieli, to, o czym słuchy tylko dochodziły, nie popasajmy tu długo.

Wszebor głową tylko kiwnął.

Zaskrobano do drzwi i z pokłonem wszedł Huba.

— Ludzie stoją w podwórzu, których do drużyny pańskiej wybierać macie, — odezwał się. — Skarbiec też otworem, kneź przykazał posłuszeństwo. Czekają na was.

Ruszył się rad nierad Doliwa za wiodącym go Hubą. W podwórzu stała

pokaźnej młodzieży spora gromada, chłop w chłopa, z wesołymi twarzami, butni i raźni. Wszystko było od pług i siekiery spędzone, nieotargane jak dzikie konie ze stada wzięte. Doliwa obchodzić ich naprzód począł, potem wybierać. Cisnęli mu się jedni, uciekali drudzy, ale Huba stał tuż z kijem w rękę i sprzeciwiać się nikt nie śmiał. Wprędce złożyła się przyszła drużyna pańska i z nią szli do

wczorajszego skarbcza, gdzie na nich czekał stary dozorca. Nie zbywało na odzieży i na orężu, tylko obojga dobrać jednostajnych nie było podobieństwa. Łupy na kupę pozrzućane, z różnych pochodzące dworów, niełacno się dały pościągać tak, by jednostajnie przybrać było można drużynę. Mozolili się nad tym jeszcze, gdy już ochmistrza nowego do pańskiego stołu powołano. Tu znów zasiadali Prusacy, których hałaśliwiej jeszcze niż wczora żegnano, bijąc w dłonie na wiekuiste przymierze. Z

dała świadkiem był Wszebor, jak je zapijano i głośno się zmagawiano, ile kunigas ludzi miał postawić i gdzie z nimi pójść mieli. Masław tajemnicy nie czynił z tego, do czego się sposobił.

— Z Piastami nie koniec mnie jeszcze — mówił, pijąc do Kunigasa. — Nie ma już ich w kraju, wygnaliśmy precz, ale z Niemcami trzymają, z Niemcami oni wrócić mogą. Czerń i rycerstwo wytłukła, dwory popaliła, ano się to plugastwo rozbiegło tylko, a jak do przytomności przyjdzie, skupi się znowu. Nie koniec to jeszcze, nie koniec! Stoją jeszcze grodziki całe i nie wszystkie głowy z karków pospadały.

Zbladł Wszebor słuchając, bo też Masław, mówiąc to, okiem nań rzucił. Więc bratano się z Prusaki i starym bogom a pogaństwu poprzysięgano wiarę.

Miód szumiał i wrzawa się powiększała, a trwało tak aż do odjazdu kunigasa, którego na podwórzec Masław i dwór odprowadzili do koni. Tu jeszcze napełniono rogi, spijając na zagładę chrześcijaństwa, a gdy Prusacy, na konie siadłszy, wyjeżdżali z zamku, mnogi lud i gęślarze prowadzili ich z okrzykami za okopy.

Wszebor stał, wpatrując się w to i przysłuchując, gdy Masław nań skinął, aby mu do izby ową wybraną drużynę na okaz przyprowadził. Ruszył się więc spełnić rozkaz, ale w tej chwili drzwiami, którymi miał wychodzić, weszło poselstwo nowe i kneź oczyma go zatrzymał. Jeszcze to dziwniej wyglądało niż dzikiej, ale wojennej postaci posłowie pruscy. Kupa była ludzi zza Wisły przybyłych od owej czerni, która tam kraj pustoszyła. W kozuchy pokrwawione i siermięgi pobroczone odziani, z twarzami miodem i piwem już zagrzanyymi, z hałasem i śmiechem wtoczyli się, niewiele okazując poszanowania, zbóje.

Starszy z nich, drab przechodzący innych głową, z ogromnymi włosami, długo mu na ramiona spadającymi, zdjął czapkę baranią, przystąpiwszy dopiero ku Masławowi, i nie co mu się ręką do kolan uniżył. I on, i ci, co mu towarzyszyli, wesołe mieli oblicze, najmniejszego strachu, patrząc na kneziowski majestat.

Plądrowanie po kraju nauczyło ich nic nie szanować, silni się czuli.

— No, my do was przyszli, kneziu nasz — zawołał starszy — poradzić się i pocieszyć. Ty nasz! Ty nasz!

Gromada cała podniosła czapki wesoło, wtórując okrzykiem. Masław marszczył się milcząco.

— Tam za Wisłą my już tak dobrze jak skończyli, kraj tobie oczyścili, idź i panuj! Stare chramy staw,



stare bogi wróc, Niemcom i ich bogom na zgubę!

Znów się wzniósł okrzyk i czapki podniosły do góry. Mówca brodę pogładził, rozglądał się wkoło.

— Rycerstwa i niemieckich księdzów nie ma już, grodków mało co stoi, te głodem weźmiemy albo i na oszczepach rozniesiemy, ale Czechom my rady nie damy. To twoja sprawa, miłościwy. Chcesz panować, trzeba się ich pozbyć.

Wszyscy otaczający posła głową i rękami mówiącemu potakiwali. Słuchał

Masław.

— Rycerstwa nie ma nic? — zapytał.

— Tak jak nie ma — rzekł, śmiejąc się, poseł — choć się tam który po lasach tłucze, przyjdzie zimno, mróz i wilcy reszty dojedzą.

— A gródki popalone?

— Gdzie który się jeszcze ostał, na niedługo — odparł poseł. — Tu, w pobliżu tylko na jeden sami może rady nie damy. Gdybyś nam ludzi wojennych i pomoc dał, łatwiej by przyszło.

— Któryż to? — odezwał się Masław.

Gromada cała, głusząc się, poczęła wołać:

— Olszowe Horodyszczce!

Wszeborowi krew wystąpiła na twarz.

— Okopali się tam psie syny — ciągnął dalej mówca — ostrokołami otkali i pilnują a bronią tak, że ich trudno wziąć. Głód ich zmorzy, to prawda, a co potem?

Niewiast tam dosyć jest, co by się przydały nam, pochudną; co jest zapasu wyjedzą, a nuż Czechy przyjdą i złupią? Bogactwa tam wielkie, szkoda stracić.

— Olszowe Horodyszczce? — mruknął Masław pytając.

Poseł ręką wskazał w stronę, w której leżało.

— Dajcie nam ludzi! — rzekł. — Jak się rzucimy na wały razem ze

wszystkich stron, nie obronią się. Skarbami choć byśmy po połowie się podzielili, dosyć ich dla wszystkich będzie. Pozwozili ich tam moc zewsząd wielką, a i stary Belina sam zasobny był. Trzeba to gniazdo wyrócić ze szczętem.

Masław zamruczał coś niewyraźnie; poselstwu od czerni piwo niesiono i częstować je zaczęto.

Wzięli się tedy do kubków wszyscy, kłaniając panu, co ich przyjmował, a pan był twarzy posępnej czegoś. Zbytńia poufałość ludu prostego w smak mu nie szła. Oni też, spoglądając na tego swojego knezia, nie zdawali się w nim lubować zbytńio. Nadto się im wydawał butnym i do dawnych panów podobnym.

Wszebor, który miał już odchodzić, zasłyszawszy, jak się nad napadem na Olszowe Horodyszczce naradzano, został umyślnie, aby wiedzieć, co będzie postanowione.

W gwarze, który się wziął przy piwie, trudno co było usłyszeć. Z przybyłej gromady, głuszac mówcę, wrywały się głosy różne i jedne drugim przerywały opowiadanie. To tylko mógł pochwycić Wszebor, iż chciwość Masława opisami skarbów i łupów podżegano, a kneź więcej niż o zdobycz, o położenie gródka i siły jego się dowiadywał. Te siły jedni podnosili bez miary, bo przed nimi ustąpić musieli, drudzy starali się okazać nie tak znacznymi; zgody nie było na nic.

Jednomyślnie tylko bili w to wszyscy, iż rycerstwa wiele się pochroniło na Horodyszczu i dla tego samego wziąć je trzeba było koniecznie, aby niebezpieczni ludzie przebojem się nie ocalili. Dla Masława też więcej znaczyło pozbyć się tych, których za najstraszniejszych swych wrogów uważał, niż obłowić zdobyczą.

Gromada, pokłoniwszy się, nahałasowawszy, odeszła wreszcie, odprawiona łaskawie. Masław znużony usiadł, a Wszebor, gdy już wieczór się zbliżał, pod pozorem koni, wysunął się Sobka szukać ku szopom.

Jak niegdyś u Bolesława rycerstwa zamek i podwórze we dnie i w nocy pełne były, dziś u Masława gmin je zalewał mnogi, który karmić i poić musiano. Około chramu kupy ślepców i śpiewaków, na okopach żołnierzy, pośrodku gromady, które tu zewsząd przyciągały z pokłonami, obozowiska rozkładały. Przecisnąć się było trudno wśród szałasów, bud, klatek i porozkładanych ognisk. Śmiechy i śpiewy rozlegały się wszędzie. Gdzieniegdzie pokrławioną jeszcze odzieżą i kosztownymi oponami po dworach złupionymi kupczono i mieniano.

Wszebor, mijając te kupy, dostał się do szopy, przed którą dostrzegł z dala Sobka, ale i tu zwijała się czeladź i parobcy od stad i koni; rozmówić się trudno było.

Skinąwszy więc na bartnika, uprowadził go Doliwa za sobą ku tej stronie, gdzie wał prawie był pusty i z ludu ogołocony.

— Wasza prawda, mój stary — rzekł do Sobka, odwiódłszy go na miejsce

bezpieczne — wasza prawda. Spieszyć nam potrzeba z powrotem. Tylko co przybyła gromada żąda od Masława posiłków na Olszowe Horodyszczce; trzeba nam i o niebezpieczeństwie oznajmić, i samym stanąć w pomoc. Być może, iż przebojem lepiej wyjść będzie zawczasu.

Sobek uderzył w dłoń.

— Jak się stąd wydobyć? — spytał Doliwa. — Wpaść było niełatwo, uciec trudniej jeszcze.

Poruszył się stary bartnik trochę niespokojnie.

— Mnie się stąd wykraść łatwo — rzekł, kiedy zechcę wyjdę — nikt nie spyta; gorzej wam.

Pokręcił głową.

— Dlatego was pytam o radę — dodał Wszebor.

— Myślcie tylko, jak się dostać za Wisłę, do lasu — rzekł Sobek, — dalej już moja rzecz cało was poprowadzić. Noc mamy przed sobą.

Doliwa podumał trochę.

— Tej nocy? — spytał.

— A po cóż czekać mamy, aż powezmą jakie podejrzenia!

Naradzali się tak jeszcze, aż mrok zapadł i Wszebor musiał na zamek

powrócić, aby się Masławowi ukazał. Uradzono po cichu nocną tegoż dnia ucieczkę.

Wpuszczony do knezia po rozkazy Doliwa zastał go wpółuśpionym po

miodzie i piwie, niechętnym do rozmowy; dał mu tylko znak, aby spoczynku nie przerywał.

Wyszedł więc natychmiast, zamiast do izby swej, nazad puszczając się w podwórcę. Nikt tego wieczora ani go nie potrzebował szukać, ani zaglądał do jego komory.

Nazajutrz rano kneź ruszył się do swoich ludzi przeglądać rynsztunek i konie, a wróciwszy, ochmistra wołać kazał. Czekano też nań, aby wczorajszą drużynę opatrzył, ale go nigdzie nie znaleziono. Izba z wygasłym dawno ogniskiem stała otworem; nikt wychodzącego nie widział. Rozbiegli się szukać dworacy, a naprzód do szopy i koni zajrzeli; Sobka i ich nie było.

Na wieść, iż Wszebor zniknął, Masław porwał się wściekły; wnet

najsprawniejszych ludzi i konie najręczniejsze w pogoń za zbiegiem puszczono. kneź

klął się, iż nikogo z rycerstwa, choćby mu u nóg leżał, życiem nie daruje. Dziwny jakiś strach go ogarnął. Dzień cały spędził na okopach czatując, azali ci, których wysłał, nie przyprowadzą schwytanych. Wystawiona szubienica już na nich od południa czekała. Pod noc dopiero, na zmęczonych koniach, z wolna wysłani ściągając się zaczęli, przynosząc wieści, iż nigdzie śladu Wszebora nie natrafili. Przewoźnicy na Wiśle przysięgali, iż wieczorem ani z rana nieznanego, nie przewozili nikogo, w okolicy nikt zbiegów konnych nie widział. Po obu brzegach rzeki tropiono ich kilka dni na próżno.

Huba chodził do wieszczbiarzy pod chram, aby wróżyli mu i opowiedzieli, gdzie szukać trzeba zdrajców. Każdy z nich, wskazywał inną stronę. Nie uspokoiło się w Płocku tak rychło; lecz nowe

gromady, posłowie, narady i przygotowania zatarły pamięć po Wszeborze. Sposobił się oddział na Olszowe Horodyszczce, który z kupą ludu okolicznego połączony miał napaść na grodek i osaczywszy go, zdobyć się spodziewał.

## Rozdział 6.

Gdy w Płocku Masław na samo wspomnienie Wszebora Doliwy pięściami

tlukł w stoły i ławy, odgrażając się, szydząc i bezczeszcząc dawnego towarzysza, a łajając ziemian, co nań nasłali zdrajcę, aby jego tajemnicę podpatrzył, Wszebor nocą się z Sobkiem na upatrzonym brodzie wpław przeprawiwszy za Wisłę, razem z nim manowcami darł w głąb puszczy jak zwierz, który chce psy zbić z tropu, przerzucając się w prawo i w lewo, koniom nie dając odpoczynku, dopóki się od pogoni bezpieczniejszym nie poczuł. Stary bartnik wielką mu był pomocą, bo leśnego mieszkańca instynkt miał, który go nigdy nie mylił. Kora drzew, wiatru kierunek, gwiazdy przeświecające na niebie, wszystko mu do wytknięcia sobie drogi posługiwało.

Jednakże dla zmylenia pogoni, nieustannie zwracając się i wyszukując miejsc niedostępnych, Sobek nawet w końcu znalazł się w jakimś ostępie zupełnie sobie nie znanym. Nie obawiał się zbłądzić, lecz przybycie do Olszowego Horodyszczca zwlec się przez to musiało. Coraz późniejsza jesień wyżywienie koni trudniejszym czyniła, tak iż niekiedy młodymi gałązkami karmić się musiały. Tego pierwszego dnia, który za stracony uważać było można, tyle tylko zyskali, że się wpędzili za błota i gęstwiny, w których bezpiecznymi się czuli. Nocleg przyszedł na łące, między drzewy, a szalasu nawet sklecić nie było czasu i ochoty; pokładli się, ściągawszy z koni sukno i czaty pilne sprawując, dotrwali do ranka.

O świcie Sobek konie napoił i począł się krzątać, jakby z tych ostępów się dobyć ku znajomszej okolicy. Inaczej jak za kierunkiem wskazanym przez korę na drzewach iść nie było można. Jechał przodem bartnik, wybierając łatwiejsze przesmyki a rozpatrując się w lesie, w którym najmniejsza poszlaka za wskazówkę służyć mogła.

Już było około południa i gęsta puszcza zdawała się przeredzać nieco, zwiastując polanę i strumień; zjeżdżali ze wzgórza małego, gdy Sobek konia wstrzymywać zaczął, a w końcu znak milczenia dając, stanął. Od strony, w której las się kończył, gwar słyszeć było niewyraźny, lecz dosyć znaczne zbiorowisko ludzi oznajmujący. Przestrach ogarnął starego, bo nie kto inny mógł kupą chodzić, tylko Czesi, najeźdźcy jacyś lub czerń, co się po kraju za łupem włóczyła. Wpaść w jej ręce, uniknąwszy Masława, było zgubą; na twarz bartnika też trupia wystąpiła bladość; w pierwszej chwili nie wiedział już, co począć, wsłuchiwał się przerażony.

W miejscu, w którym stali, olbrzymie pnie i gąszcz las podszywająca

zakrywała ich jeszcze, ale najmniejszy szelest mógł zdradzić. Sobek zsunął się ze szkapy swej, którą do młodej drzewiny przywiązał, za przykładem jego poszedł

Wszebor, bo z koniem tu niebezpieczniej było niż pieszo. Oba razem po cichu skradać się poczęli ku miejscu, z którego gwar coraz wyraźniejszy ich dochodził.

Wzgórze, na którym stali, w drzewach ukryci, oberwane przez wody rzeczulki płynącej dołem, dozwalało stąd okiem rzucić w dolinę. Spostrzegli wśród niej obozowisko z dosyć licznego złożone ludu. Kilkanaście wozów stało dokoła, otaczające je; konie spętane pasły się na łące. Dwa czy trzy namioty rozbite były w pośrodku, paliły się ogniska w naprędcie rozkopanych dołach, koło nich półzbrojna czeladź się kręciła. Kilku mężów zbrojnych widać też było z namiotu do namiotu przechodzących, inni na podestanych suknach leżeli. Byli to ludzie dobrze zbrojni, a w pośrodku ich na żerdzi stał proporzec oszarpany, zdarty, z którego trudno poznać było, do kogo należał.

Z dała na myśl przyszli Czesi patrzącym i już rozglądawszy się, cofać mieli, gdy i Wszebor, i Sobek uczuli się nagle pochwycenymi z tyłu i powalonymi na ziemię. Wszebor, miecz mający u boku, wnet oprzytomniawszy, bronić się chciał i dwu napastników otrząsnął z siebie, gdy nawzajem sobie w oczy popatrzywszy, poznał w nich służbę znajomych władyków, a ta w nich ludzi nieobcych.

Ci, którzy Doliwę, przebranego po wieśniaczemu, za chłopą biorąc, obalili, byli pachołkami Śreniawów, Sobka wyrócił drab, który miecz naszał za jednym z Jaksów.

— Co wy tu robicie? — krzyknął Wszebor. — Waszli to obóz?

Czeladź ręką tylko wskazała.

Uradowany Wszebor, gdy się najmniej spodziewał swoich spotkać, znalazł się między nimi. Nie przypuszczał nawet, ażeby z rozbitego rycerstwa jeszcze gdzie tyle razem zebranego być mogło. Szybkim więc krokiem pędził, konie zostawiwszy przy Sobku, do tego obozu, który mu się jakby zesłanym z nieba wydawał. Byli więc jeszcze ludzie, co nadziei nie tracąc, gromadzili się i radzili o sobie. Im bardziej się do obozu przybliżał, tym więcej radość jego rosła. Nie był to zastęp zbyt liczny, jednak z czeladzią i pachołkami przeszło sto głów liczyć musiał. Rycerstwo też przedniejsze, z którego się składał, całe jeszcze zbroje i oręż miało, a lica nie tak wynędzniałe, jak Lasota i Toporczyk, których wprzód na drodze spotkali. Ład też i spokój panował w obozie, a pochwycenie Wszebora dowodziło, że pilnie przystępu do doliny strzeżono.

Bogu dziękując, poruszony wielce Wszebor, przebywszy rzeczulkę po

rzuconej na niej kłodzie, wpadł do obozu, pędem prawie lecąc ku stojącemu tu rycerstwu. Z dała go już postrzeżono, a że licho odziany był i nie poznał go zrazu nikt, popłoch się niejaki wszczął, ten i ów wstawać począł z ziemi, niektórzy się już do oręża chwyтали, gdy na przedzie stojący młody mężczyzna, przypatrzywszy się Wszeborowi, z krzykiem naprzeciw niego pospieszył.

Był to też z dawnej drużyny Kaźmirzowskiej towarzysz Doliwów, Samko

Dryja, przyjaciel obu braci, którego z oczów stracili, gdy królewicz poszedł na wygnanie i wszystko się około niego rozbiło.

— Wszebor!

— Samko! — krzyknęli oba, ręce ku sobie wyciągając.

Na głos ten, co było bliżej, kupić się około nich zaczęło, przybyłego pytaniami zarzucając. Nim na

nie odpowiedzieć miał czas, z namiotu większego wyszło kilku starszyny. Wzięto Wszebora wnet i wiadono, gdzie byli dowódcy oddziału.

Pierwszy, którego ujrzał siedzącego na pniu skórą okrytym, był siwy, stary, blisko osiemdziesiątletni Trepka, Mieszka Pierwszego jeszcze czasy pamiętający.

Siedział przygarbiony, kozuchem okryty, trzęsący się starzec w pośrodku, a przy nim stali dwaj synowie, dalej Jaksowie, Kaniowy, Sreniawy i rycerstwo przedniejsze Bolesławowskie stare, Mieszka i Ryksy. Wszystko to były niedobitki świetnych niegdyś pułków wspaniałego dworu: żupanie, władzyki, wojewodowie,

podkomorzowie pańscy, o których, że z życiem pouchodzili, nie wiedział nawet Wszebor; tym mniej że zebrani mogli być razem, bo wieści chodziły, iż co nie wyginęło po grodach, za granicę pouchodziło i rozbite się tuliło po kątach, śmierci czekając.

Podniósł więc Wszebor ręce do góry, Bogu naprzód za to dziękując, że mu dał

ogłądać rycerstwa ostatek, zgodnie a gromadnie się trzymającego. Tamtym też na widok jego usta się nie zamykały, chwytano go, pytano ze wszech stron, radowano się, że jeszcze jeden ze swoich ocalawszy, szczupłą garść ich miał pomnożyć. Tym, którzy Doliwy nie znali, a dziwili się siermiężnemu przybłędzie, tak serdecznie przyjmowanemu, Dryja i inni opowiadali, kto on był i jak się zwał. Ze wszech stron obijało się o uszy imię Doliwy.

Gwar pod namiotem się stał taki, iż słyszeć już nic nie było można; Trepka więc stary, którego tu niby jako wodza szanowano i słuchano, począł kijem bić w ziemię i w stare dłonie plaskać, by się uciszono. Inaczej by się nic od Wszebora dowiedzieć nie było podobna. Dopiero go starzec, ogromną swą siwą brodę pogładzając, począł pytać, skąd szedł, jako się uratował, czyby co o innych nie wiedział.

Doliwa o swoich nieszczęściach rozpowiadał im, od wyrwania się z gródka, spotkania z Lasotą w Gdeczu, aż do przybycia do Olszowego Horodyszczu. Nie przywiązując wagi wielkiej do wyratowania niewiast z Poniecu, pominął je w opowiadaniu Wszebor. Dopiero gdy począł o przyjęciu u Beliny mówić, z liku osób niewiasty się okazały.

Zacząto pytać, jakie były, i Doliwa mianował panią Spytkową z córką

Katarzyną. Nazwisko to wymówił ledwie, gdy zza starego Trepki, z ziemi, na której ktoś kozuchami i opończami otulony leżał, głos wielki się podniósł:

— O, chwałaż Panu na wysokościach!

Wszystkich oczy w tę się stronę obróciły, gdzie z trudnością, jakby z powijaczów się uwalniając, blada twarz i ręka żylasta się ukazała. Spod chust zakrwawionych, które głowę całą obwijały, twarzy tej ponurej a smutnej ledwie okrawek widać było; jedno oko krwią zasze, policzek biały i wargę siną, która jak bezwładna wisiała.

— Co zasz jest ten starzec? — spytał Wszebor Dryji.

— Ano Spytkowej mąż, co się cudem spod stosu trupów z pomocą ludzi uratował — rzekł cicho Dryja.

— Nam przyniesiono wiadomość, iż go w sztuki rozsiekano! — zawołał Doliwa.

— A niewiele skłamano — rzekł, dosłyszawszy to, Spytek. — Nie mam na ciele cząstki jednej, która by posieczoną, pokłutą i porąbaną nie była, a co się ze mnie krwi utoczyło, stałoby drugiemu na życie!

Wszebor zdumiony patrzył na porąbanego władkę, który chustę odgarniając, próbował też jego zobaczyć, gdy płotek namiotu się uchylił i Sobek bartnik wpadł

jak szalony, oczyma namiot ogarnął, a potem z krzykiem na ziemi legł przy panu swoim.

Zamilkli wszyscy na ten widok. Spytek też słowa ozwać się nie mógł, mrużąc tylko niewyraźnie:

— Chwała Panu, chwała Panu na wysokościach!

Gdy w kątku bartnik po cichu począł rozpowiadać swoje i pani dzieje, wszyscy wrócili do Wszebora, dowiadując się o Olszowe Horodyszczce, lecz gdy

mimochodem wspomniał, iż na zwiady do Płocka chodził i od Masława, głowę ocaliwszy, wraca, wrzawa się znowu wszczęła; ciekawi się tak cisnęli, że Trepka kijem, głosem i plaskaniem musiał porządek na kazać.

Nie chciano nawet wierzyć Wszeborowi, ażeby się ważył wilkowi w paszczę leżeć, aż Sobka, towarzysza, na świadectwo wezwał. Posypały się znowu pytania o człowieka, choć go niemal wszyscy wprzódy znali, o siłę jego i o to, co zamyślał. Z

nienawiścią mówili o nim wszyscy, a jeden głos w obronie się nie odezwał. Gdy Wszebor o tłumach przez niego zebranych mówić począł, wierzyć znowu wzdragano się; wreszcie rycerstwo, jak było zwykło, odzywało się z tym, iż jednemu dobrze zbrojnemu łatwo było całą kupę takiej zgrai spędzonej od bydła rozbić i zniszczyć.

— Dzięki Bogu, że mnie tu Jego ręka opatrzna przyprowadziła, dodał

Wszebor, Przez miłosierdzie iść potrzeba na odsiecz Horodyszczu, Belinie i zamkniętym z nim władkom, bo inaczej Masław lada chwilę najdzie i grodek zdobędzie.

Gdy Wszebor to rzekł, nagle stało się milczenie wielkie i długie. Patrzali jedni po drugich, pytając się wzajem oczyma, nikt pierwszy odzywać się nie śmiał.

Zdumiał się wielce Doliwa, gdyż na ziemi nawet leżący Spytek, choć słyszał, o co szło, choć wiedział, że na grodzie żona jego z córką się chroniła, ust nie otworzył.

Powtórzył tedy raz jeszcze, że z taką siłą, jaką w obozie widział, śmiało na oblegających niespodzianie uderzywszy, rozbić ich i pokonać można. Na to też, okrom mruczenia, nie było wyraźnej odpowiedzi. Oczy się zwróciły ku starszyźnie, aż Trepka, głową potrząsłszy, począł:

— Daj Panie Boże, ażebyśmy już mogli w pomoc spieszyć obleżonym

grodziskom, ale na to nie pora. Droższa nam nad wszystkie grody i nad krew braci naszej nawet, ta cała ziemia i królestwo, i wiara święta, którąśmy przyjęli, a oboje to naprzód ratować trzeba!

Wszyscy stojący dokoła wtórowali mu cichym szmerem, starzec powoli mówił

dalej:

— Gdyby ta dzicz Masławowa wiedziała, iż nas jeszcze gromada jest, wnet by się ją rozbić i zniszczyć starała. Nas zaś mało jeszcze i do walki stawać nie pora, dopóki wodza nie mamy namaszczonego, by nas prowadził. Pierwsza rzecz potajemnie w siłę się wzbić, pana odzyskać, wodza postawić na czele, dopiero o braciach pogiębionych a uciśniętych myśleć będziemy.

Gdy nikt na to nie odpowiadał, bo zdanie starca wszyscy się podzielać zdawali, Wszebor, któremu na sercu leżał los zamkniętych na Horodyszczu, ozwał

się:

— Damyż zginąć tej krwi naszej, która najdroższa nam jest? Toć to tam kwiat rycerstwa można rzecz się schronił, a gdyby na pastwę miał być dany Masławowi, nigdy nieopłakana byłaby szkoda!

— Ziemię i wiarę ratować naprzód powinniśmy! — zawołał starzec. — O

sobie myśląc, pójdziemy wszyscy prędzej później w pęta!

Podniósł ręce obie do góry.

— Bóg widzi, drodzy nam wszyscy swoi! Powinowaci to są i ze krwi, i z wiary, i z ducha, i z oręża, aliści jeszcze nadeń droższa ziemia ta i wiara niż krew własna.

Szmer dał się słyszeć dokoła potakujący. Wszebor głowę zwiesił, spojrzął ku Spytkowi, który jedno skrwawione oko podniósłszy, słuchał z usty roztwartymi i sina warga mu się trzęsła. Sądził, że on za swoimi przemówi. Spytkowi z oka tylko potoczyła się nie łza czysta, ale krwi krople pociekły, rozchodząc się po bladym policzku.

Milczał stary. Wśród ciszy z piersi głębin dobyło się westchnienie ciężkie; z wolna pochylił poranione czoło i skrył je na posłanie. Ci, co nań patrzali, poczuli, jak cierpiał, i usta się im zamknęły.



— Jak wy postanowicie, tak się stanie — odezwał się Doliwa. — Ja to wiem, iż z Horodyszczu wyprawiony nazad tam spieszyć muszę, abym choć dał znać o niebezpieczeństwie i dwoje rąk moich a głowę zaniósł...

Nikt nie odezwał się, wstrzymując go. Wtem stojący przy starym Trepce Sreniawa, któremu imię Bolko było, zapytał:

— Ileż tam na grodku ludu jest?

— Tyle, ile go się zmieścić może — odparł Doliwa. — Nocą między leżącymi pokotem przejść niepodobna, na nogę lub rękę nie nastąpiwszy. Gorsza nadto, że żywności im za braknie wkrótce.

Smutno słuchali tego opowiadania starzy.

— Cóż począć! — rzekł Trepka. — Niech się obraniają, dopóki zmoją,

ratunek przyjść może, gdy nadzieję lepszą o przyszłości poweźmiemy. Gdybyśmy zagrożonym zamkom w pomoc iść chcieli, wkrótce by i nas nie stało.

Znów tedy przerwała się narada i mowa, a pojedynczy tylko między sobą po cichu rozprawiali, gdy stary Trepka dodał, namyśliwszy się:

— Rychlej by od nich trzeba wyciągnąć, co lepszego jest, niż im, co mamy przedniejszego, oddawać. Bóg jeden wie, azali w tym naszym obozie małym nie cała przyszłość tej ziemi i nasienie na nowe królestwo się nie znajduje.

Gdy to mówił, oczyma powiódł dziwnie po przytomnych i oni, popatrzywszy też dokoła, jakby się porozumiewali tajemniczo jakoś, umilkli. Pytano potem Wszebora o imiona zamkniętych na grodku, o niewiasty, o sposób życia i zasoby, na co Doliwa widząc, że nic nie zyszcze, ledwie półgębkiem odpowiadał. Tak go ta surowość starszyny przykro dotknęła, iż nie mając ochoty dłużej rozpowiadać, pokłonił się tylko i z namiotu wyszedł, na Sobka skinąwszy.

Rozzaloną był wielce, tak że postanowił, cokolwiek koniowi dawszy

wypocząć, natychmiast w dalszą się puścić drogę. Gdy Sobek doń przystąpił, w twarzy jego postrzegł też jakiś wyraz dziwny obawy i zakłopotania.

— Nam w drogę czas! — rzekł Wszebor.

Sobek włosy pogładził.

— Pewnie, pewnie — mruknął.

Stał jednak, nie biorąc się do niczego. Po krótkim namyśle do kolan mu rękę przyłożył.

— A jakże ja tu starego mojego poranionego porzucę? — zapytał.

— Cóż ja znowu bez was poradzę? — krzyknął Wszebor, któremu się na

gniew zbierało. — Odwiedźcie mię do Horodyszczu, a potem... czyńcie sobie, co chcecie. Do tegoście obowiązani i ja was gotów jestem przymusić.

Sobkowi się gęba jakoś skrzywiła, pochylił się do kolan.

— Jest tu komu mnie obronić i zastawić się za mnie — rzekł bez gniewu. —

O przymusie nie ma co gadać. Należy się wam ode mnie, żebym na drogę doprowadził, to zrobię.

Wszebor gniewny mówić już dłużej nie chciał, odwrócił się od bartnika. Miał

ić konia swojego szukać, gdy się doń Dryja przybliżył. Położył mu rękę na ramieniu.

— Nie patrz na nas krzywo — rzekł, nie ma za co. — Stary Trepka prawdę mówi! — Choćby serce pękało, choćby tam matka była, Żona, siostra, my o czym innym myśleć musimy.

Doliwa mu w oczy spojrzał sierzysto.

— O czymże u licha? — podchwycił. — O sobie chyba?

Dryja zachmurzył się.

— Mówili jasno — rzekł — powinienesz był rozumieć!

— Ino to rozumiem — zawołał Wszebor — że wy z waszą garścią kraju nie zbawicie, a tego, co moglibyście pocziwego zrobić, ratując ludzi, nie dokonacie!

— Jeśli garść ta tylko początkiem? — rzekł Dryja. Jeśli do niej co dzień się garnie więcej i ona jutro w zastęp urośnie? A jeśli tu z tej małej garści wyjdą ci, co nam zbawienie przyniosą?

— Gdzie? Skąd? — spytał Doliwa.

Dryja widocznie chciał, aby się dawny druh jego sam domyślił, ale Wszebor tak bardzo domyślnym nie był, a zajmowało go najgoręcej to, co najbliżej stało.

— Chodź do mnie do namiotu — dodał Samko, biorąc go za rękę nim konia ci pokarmią, zjesz i ty, czym się podzielić jest, i po staremu pogadamy.

Choć srodze rozżalony, Doliwa dał się pociągnąć do małego namiotu, w

którym Samko ze trzema innymi się mieścił. Znać było terażniejsze czasy i w tym schronieniu rycerskiego człeka, co teraz wszystkie swoje mienie musiał wlec ze sobą.

Nie zostało i Dryi więcej nic nad to, co pospiesznie uchodząc przed kupami czeskimi, mógł unieść, a

było tam i czego rycerski człek potrzebował, i co mu porzucić na łup żal było, a co się ciężarem stawało. Obok siodła i na koń rynsztunku, zbroi i broni, tarczy malowanej, oręża lepszego, z woru wyglądały naczynia pozłociste, na kupie leżały kozuchy, odzież, stała beczułka starego miodu i napoczęta faska solonego mięsa łosiego. Pachole się krzątało około misek, bo czas było się czym posilić. Siedli więc, jeden na kupie odzieży, drugi na beczulce, a drabina z wozu wzięta, pokryta czymś, za stół służyć musiała.

Wszebor patrzył smutnie, bo mu przed oczyma stali wszyscy, co na Olszowym Horodyszczu na śmierć czekali, a najbardziej owa biała twarzyczka dziewczęcia.

I wzdrygał się na tę myśl, że ten kwiatek pochwycić może lada napastnik, a krew się w nim burzyła tak, iż myślał raczej sam paść w obronie, a ją zabić na ostatku; lepiej, niżby się na niegodne ręce dostać miała.

Gdy tak się gryzł, Dryja, obejrzawszy się dokoła, mówić począł:

— Bądź dobrej myśli — rzekł cicho. — Stary Trepka inaczej mówić nie może, aliści co godzina się wybawienia spodziewać trzeba.

— Jakiegoż? Jakiego? — podchwycił, zzymając się, Wszebor.

— Niepotrzebnie ci z tego tajemnicę czynią — ciągnął Samko spokojnie. —

Co dnia się spodziewamy królewicza, a jużemy o nim i wieść mieli.

Wszebor zdziwione oczy wlepił w Dryję, który mówił, pochyliwszy się doń:

— Jeszcze się u nas tyle rycerstwa znalazło, że było kogo posłać do jejmości królowej wdowy z błaganiem, ażeby syna nam dała.

— Nie przeczę ja — odezwał się Doliwa — że królewicza osoba i odgłos jego imienia wiele waży. Cóż potem? Raz go Masław wygnał, potrafi go się pozbyć postrachem po wtóre albo go zgubi. Mamyż my siłę, ażeby stanąć przeciw niemu?

Znajdziemy, mówił Dryja, któremu oczy się świeciły nadzieją jakąś.

Cesarz niemiecki da mu pomoc, a kto wie, czy i z drugiej strony nie nadciągnie co jeszcze...

Uśmiechnął się.

— Obiecujesz się królewicz? — zapytał Wszebor. — Skąd o tym wiecie?

— Widzisz, mała nas kupka jest, a coś się tu warzy i praży — odparł Dryja, pochyliwszy się ku niemu. — Do królowej pojechali posłowie, część ich tu wczoraj wróciła.

— Cóż przynieśli? Co?

— Nic dotąd — mówił Samko. — Byli u królowej nadaremnie. Ryksa, którą sromotnie wygnano, ani chce słyszeć więcej o królestwie, które pogańskim zowie.

Znaleźli ją w klasztorze, potem przy kościele, który budować każe. Ledwie mówić do nich chciała: "Na inne ja królestwo, a lepsze pracuję, rzekła, te, które mi Chrystus Pan miłosierny dać przyobiecał. Nie kuście mnie ani wódcie na pokuszenie dziecię moje. Niech w spokoju Boga lepiej chwali, niżeliby na nieszczęsny żywot z wami miał być skazany".

— Toć jasno, — zawołał Wszebor — że się tam niczego spodziewać nie mamy!

— Żle sądzisz, bo nie wszystko wiesz — rzekł Dryja. Rozumni są posłowie nasi, bo niżeli po królewicza poszli, u cesarza wyrobili przyrzeczenia, iż pomoc mu swą i łaskę oświadczy, korony odda, a przeciw Czechowi miecza dobędzie. Wkrótce by też Brzetysław cesarstwu stał się straszny, gdyby mu cugle puszczono. Ukróci mu ich papież rzymski i cesarz... Znacie wy, znam ja i znają Kaźmirza ci, co poszli po niego. Pan jest pobożny, ale w mniszey sukni on nie wytrwa, gdy mu miecz pokażą a panowanie. Krew w nim Bolkowa płynie! Ani go macierz nie wstrzyma, ni strach, ni gnuśność, bo pan wielkiego serca jest, a gdyby nie matka, nie powołanie jej, nie ustąpiłby Masławowi kroku.

— Wszystko to, Samku mój — westchnął Wszebor — dalekie nadzieje a

bajeczne. — Ja wracam od Masława tego i widziałem, co się dzieje u niego, a jako rozwielił pastuszy syn i urósł. Choćby cesarz garść ludzi dał, choćbyśmy wszyscy ku niemu się zbiegli, nie starczy cesarskich i nas na te kupy, na czerń, na tysiące.

— Na tym nie dosyć — przerwał Samko. — Ruś nam w pomoc przyjdzie.

Pomyśleli nasi starzy o wszystkim, stali też posły do Kijowa, do Jarosława, którzy dwa dni temu wrócili. Przyjdą nam Polanie od Kijowa w pomoc z Pieczyngami.

— Tak jako Czechy? — rozśmiał się Wszebor posępnie.

— Zaprawdę nie! — zawołał Dryja. — Tobie w oczach czarnym wszystko!

— Wam wszystko jasnym. Kury piałe pierwsze, zda ci się, że dzień przyjdzie, a to łuna od pożaru! — mówił Doliwa, ręką rzucając.

Dryja wychylił kubek, potraćiwszy o stojący na stole owym drabinowym, przeznaczony dla Wszebora.

— Wypij, a bądź i ty lepszej myśli!

— Gdybyś ty z Płocka powracał — rzekł Doliwa — w uszach miał wrzawę tej zgrai, a widział to mrowie, co się tam złało, a postyszał, jako Masław nosi się z mocą swą, pruską i Pomorców, odeszłaby i tobie otucha!

— Ma ci on Prusaków z Pomorcami, my cesarskich mieć będziemy i

Jarosławowych, co też może waży — odparł Samko. Ma on butę, a nasz pan koronę mieć będzie namaszczoną i pobłogosławioną i Pana Boga za sobą!

Mówiąc to, wstał Dryja i smutnego Doliwę ścisnąć zaczął.

— Bracie — rzekł — gdybym tę siłę miał, żeby cię powstrzymać mógł, do nóg bym ci się pochylił, zostań z nami!

— Ani mów! — odparł niecierpliwie Wszebor. — Bratam zostawił tam, wysłali mnie zawierzywszy; wrócić muszę, choćbym gardło dał!

Spojrzał mu w oczy Samko przenikliwie, a Wszebor, spotkawszy wzrok ten, mimowolnie się zarumienił.

— Wszeborze, bracie, kogoś ty tam okrom Mszczuja zostawił? Mów!

Trochę gniewny, zawstydzony nieco odwrócił twarz Doliwa.

— A ja powiadam, jakom żyw, że więcej tam musiałeś zostawić niż brata, i zgadnę kogo — mówił Dryja. Po drodzeście ratowali Spytkową, baba niczego i dziewczka jej bardzo śliczna. Albo ci jedna czarnymi, lub druga niebieskimi oczyma zawróciła oczy! Mów, a nie kłam!

Wszebor się odwrócił ku niemu.

— Jakże ci to do głowy przyszło?

— Bo obie niewiasty znam albo raczej widywałem je u ojca — mówił Dryja.

— Spytkowa do mężczyzn zalecać się rada, choć dla zabawy, a Kasia, gdyby nie chciała, to za sobą ciągnie, bo na utrapienie piękną jest.

— A piękną, piękną! — krzyknął, zapominając się, Wszebor i wnet się po ustach uderzył.

Śmiać się zaczął, ściskając go, Dryja.

— Wiedziałem ja, co cię tam ciągnie! — zawołał. — Że ja znam obie, radę ci dobrą dam. Marta Spytkowa, choć zęby szczerzy, nic to tam z tego; sądziła się może wdową; dowie się, że jej stary żyje, a z tym żartów stroić nie można! Twardy człek, z ran się wyliże, choć inny z nich miałby na cztery śmiercie. O Kasię też, choć krew wasza ich krwi warta, sięgnąć niełatwo. Spytka starego trzeba znać!

— Przecie nie kto, tylko jam mu żonę i dziecko ratował! — zawołał Wszebor.

— To ci rychlej zapłaci, gdy będzie miał czym, a córki nie da.

Oburzył się Doliwa i najężył; wziął się w bok, plunął od siebie.

— Słuchaj, Dryja, a cóż to my za jedni? A cóż to oni za tacy?

— Taki dobry Doliwa jak Śreniawa, ano staremu we łbie świeci, co poradzisz na to — ciągnął Bryja. — Zasuszy ją prędzej w komorze, a będzie sobie knezia szukał dla córki, bo oni sami do krwi kneziowskiej się liczą.

Ruszył ramionami Wszebor.

— Jeszcze do tego daleko — rzekł — bodajeśmy z życiem a cało stamtąd wyszli. Jak nas Bóg wyrwie z tego osaczenia, ty mnie znasz, Dryja; niby ja się starego będę pytał, a do nóg mu się kłaniał? Dziewkę wezmę, to mi jej nie odbierze...

— Tak ci ona już do serca przystała? — zapytał Samko.

Wszebor, zapatrzywszy się przez otwarty namiot na bory, sumował się, nie spiesząc z odpowiedzią, i namyśliwszy się, zamiast niej, dłoń wyciągnął do Samka.

— Nie ma tu co u was popasać! — rzekł. — Mnie na Olszowe Horodyszcze pilno... Jadę!

— Chodźcież się wprzód starym pokłonić, bo tak i należy, i przystało —

odezwał się Samko, ciągnąc go do drugiego na miotu. — O tym, com wam o Kaźmirzu mówił, nie wspominajcie.

Poszli tedy oba, gdzie siedział stary Trepka. Starszyzny reszta przed namiotem, gwarząc, stała; rozstąpili się im milcząc. Wewnątrz Trepka drzemał

pochylony, a w kącie Spytek otwartym okiem krwawym zdawał się na spotkanie Wszebora oczekiwać.

Zbudził się zaraz pierwszy, kłaniającemu się tylko skinieniem głowy i ręką odpowiadając.

Wszebor przystąpił do Spytka.

— Jadę na Olszowe Horodyszcze — odezwał się — gdzie miłościwa pani

wasza z córką znalazła schronienie, bom jej tam towarzyszył, gdyśmy ją w lesie samą znaleźli. Mam co rzec od was, miłościwy panie?

Gdy mówił, pilno mu się Spytek czerwonym przypatrzył okiem.

— Doliwa? — spytał.

— Tak jest.

— Ojciec wasz pułki wodził na Ruś! — odezwał się stary chrapliwym głosem.

— Tak ci było, i z łupem wracał — dodał Wszebor.

— Bóg da, wywdzięczę za posługę — odezwał się leżący. — Pozdrówcie matkę i Kaśkę moją!

Popatrzał chmurno.

— A niech mi się tam nikt do moich nie zaleca! —dodał. — Wara!

— Byleśmy z żywotem uszli stamtąd; nie na zalecanki to czas! —rzekł

Doliwa.

— Na to nigdy nie czas! — mruknął stary. — Pozdrówcie ode

mnie...pozdrówcie!

Poczuł Wszebor, że owo wspomnienie zalecanek Sobkowi mógł być winien, zburzył się nieco, a strzymał i nie rzekł nic. Tu go już, kijem trącając, stary Trepka przyzywał ku sobie.

— Belinie rzeczcie od nas, niech jako może się trzyma do ostatniej mąki prószynki, do ostatniej pięści, w której będzie siła! Przyjdziemy mu w pomoc, na odsiecz, jak skoro się poczujemy mocni. Niech się nie trwożą a nie poddają.

Trzymajcie się. Bóg miłosierny!

To były słowa ostatnie Trepki, który, ledwie ich domówiwszy, głowę pochylił

i znowu drzemać począł.

Dryja stał u wnijscia do namiotu, dalej starszyzna, a na uboczu Sobek z parą koni w ręku. Wszeborowi już pilno było, zegnał więc prędko, aby na koń sięść i biec dalej. Całe prawie rycerstwo wyszło nań patrzeć, jak odjeżdżał, bo mu niektórzy zazdrościli może, iż na miejscu spoczywać a czekać nie musiał jak oni, co się do ruchu nawykłym przykrzyło.

Choć Doliwie jasno wytłumaczono, dlaczego się garść ta w pomoc do

obleżonego gródka ruszyć nie mogła, choć zrozumiał może, iż tak być musiało, jechał gniewny, z bólem w sercu, z żalem w duszy, że musiał miasto pociechy nieść groźbę tylko.

Sobek, zwykle małomówny, teraz milczał uparcie, głowy nawet nie

odwracając i drogę tylko wskazując przodem. Wszebor też, że nań posądzenie mając, odzywać się

doń nie chciał. Ledwie w nocy, gdy stanęli dla koni i wypoczynku, spytał go, kiedy do Olszowego Horodyszczu dojadą i gdzie go ma porzucić bartnik.

— Ja bo was nie porzucę, miłościwy panie — odparł stary.

— Namysłiliście się?

— Nie, przykazanie dostałem od władyki; pan mój, wola jego, słuchać trzeba.

Jutro pod wieczór, Bóg da, pod Horodyszczę się dostaniemy, byle jeszcze w porę!

— Jużci tam Masław się nie wybierze tak rychło — rzekł Wszebor.

— Pewnie, ale go czerń poprzedzi, bo osaczyć mieli niebawem, aby gródek z lasu żywności sobie łowami nie ciągnął. Nuż między gródkiem a nami staną gromady?

— Jedźmy na noc całą! — zawołał Wszebor. — Niech konie popadają,

byleśmy się nie opóźnili!

Sobek ręką ukazał przed siebie. Dosyć tego było, aby o nie możliwości podróży nocnej przekonać. Jesienna ciemność chmurnego nieba o krok nic nie dozwalała rozeznąć. Na szarym tle wyschłe drzew obnażonych gałęzie sterczały dziwnie poplątane, rosnać niby z mroku i ginąć we mrokach. Oprócz tej siatki nad głowami i gąszczy przed sobą, którą rękami trzeba było rozpoznawać, nie widać było, tylko noc jedną czarną, niezgłębioną, jak nicość i śmierć straszną. Najmężniejsze serce wśród tego zamętu musiało uczuć boleść, jaką sprawia zgon, gdy oczy widzieć, uszy słyszeć przestają. Ponad puszcza tą cisza śmierci leżała, tak straszna, jak ciemność, pokrewna im siostrzyca. Chwilami nawet wycie dzikiego zwierza byłoby się wydało miłym, zwiastowałoby życie, niebezpieczeństwo, walkę. W tej głuchej ciszy i mrokach ginęła nawet nadzieja dnia i życia nadzieja. Zdało się, jakby ciemności tych umarłych na wieki nic nie mogło rozjaśnić ani tej ciszy przeniknąć.

Sobek przyłożył ucho do wilgotnej ziemi, aby wiedzieć, czy zapalenie ognia nie groziło zdradą. Nie słychać było nic, nawet szelestu gałęzi, bo najmniejszy wietrzyk ich nie po ruszał. Noc zamknęła wichry w swym łonie i nie dała im bujać po świecie. Bartnik dobył z wolna dwóch suchych drzewa kawałków, które zawsze z sobą nosił, i począł trzeć je, aby ogień naniecił.

## **Rozdział 7.**

Na Olszowym Horodyszczu wlokło się życie pod ciągłym postrachem,

nieustanną groźbą, żółwim krokiem, ślimacznym chodem, złożone z dni bez końca i nocy bezdennych. Zdawało się wszystkim, że teraz świat inaczej się obracał, a dni i noce były dwoiste, nie przeżyte i nie przespane.

Lasy dokoła szumiały jednostajnie, jak do snu kołysząc, wiatry świstały, jakby szydząc z niedoli i śmiejąc się z jęków. Ludzie, leżąc, mruclili, przeklinali, srożąc się na tego, co im dawał przytułek, narzekając na głód, odgrażając się pięściami. Z



litości srogim być musiał stary Belina, przez miłosierdzie okrutnym. Lud w pierwszym podwórce tylko grozą utrzymać się dawał. Po nocy szeptali i zrywali się ludzie. Na straży zapasów i spiżarni nieustannie czuwać musiano. Gdy się ludzie pospali, ginęły owce, znikły konie, bydło padało, a nazajutrz śladu nie zostawało po nich i w przestraszonych wejrzeniach tylko można się było winowajców do myśleć.

Od wyjazdu Wszebora co dzień prawie chodził ktoś na pomostach za

ostrokołami i powrotu wyglądał. A w dolinie pusto było straszliwie. Czasem z lasu wychylił się wilk, zawył i uchodził; wymknęła się sarna, popatrzyła i spłoszona własnym truchtem biegła co tchu w gęszcza się schronić; nie kiedy jakby cień człowieka wysunął się z borów, podszedł ku grodkowi, pomierzył go oczyma, zdając urągać zamkniętym i, gdy na okopy wysypała się gromada, pięść jej pokazałszy, zniknął.

Dzień od dnia mało się różnił, liczono je po smutkach i klęskach, mówiono.

— Stało się to tego dnia, gdy zmarło dziecko, gdy się z rozpaczy obwiesił kto na belce.

A było co przypominać, bo niemal co dnia rano, gdy dozorca obchodzili podwórce, znajdowali coś w nich niedobrego, matkę płaczącą nad ciałem niemowlęcia, rodzinę skuloną przy zwłokach starca zmarłego w nocy, ślady jakiegoś gwałtu lub spełnione przez niewiadomego sprawcę zabójstwo. W tej liczbie zrozpaczonej, gdy ją pokryły ciemności, budziły się najdziksze chucie i szły nią owładały... Ludzie nawykli do czynnego życia, nie mogąc przespać bezczynni, rzucali się bydłoco, dogadzając fantazji rozpasanej. We dnie z bladych tych twarzy wyczytać tylko było można zniechęcenie i znużenie, nocą owładowało nimi półrozmarzone szaleństwo. Niekiedy, korzystając z ciemności, znekany człowiek zrywał się z barłogu, wdzierał na jakiś pomost ostrokołu i na postronku spuszczał na dół z wałów, uciekając w las i wołając umierać tam z głodu, niż tu ginąć z odrętwienia.

Kilku już ludzi tak uciekło; powiększono więc pilność i straż, gdyż obawiać się było można, aby pochwyceni nie naprowadzili czerni i nie wskazali jej, którądy najłatwiej na grodek dostać się było.

Z dwóch stron opasywała go wodami swymi i trzęsawiskiem, przez które

płynęła, Olszanka; stąd dopóki mróz błot i wody nie ściał, przystęp był utrudniony. Z

trzeciej i czwartej tylko wały broniły Horodyszcz, na które łatwo wdrzeć się było.

Stojący na pomostach wysokich, nad ostrokołami ciskał belki, kamienie, lał zapaloną smołę na napastników, ale i tych zapasów ilość się zmniejszała. Po odejściu czerni nazad, część ich ściągnięto do gródka, jednak przewidzieć było można, że ich na dłuższe oblężenie zabraknie i budowle przyjdzie rozebrać.

Olszowe Horodyszcz, przed dawnymi czasy opasane wałem, wewnątrz miało obszerne szopy i odryny, kleci i stajnie, które pierwsze podwórce od drugiego dzieliły. Na drugim w czworościan obudowany znajdował się dworzec pańi, komory i składy zapasów, część stajen, które teraz wspólnie ludziom i zwierzętom za schronienie służyły. Wielka izba, w której teraz pokotem leżeli dawni

władcy, żupanowie i ziemianie, znajdowała się w zabudowaniu dzielącym dwa podwórza.

Drugie całe dokoła obejść było można, idąc pod krytym podsieniem, które słupy drewniane podierały.

Około tej wielkiej izby życie się teraz całe skupiało. Pospolity lud w pierwszym podwórzu pod gołym niebem i daszkami się tulił; co było przedniejszego, zbierało się na dzień w podsieniach na ławach lub w wielkiej komorze u komina. Tu ścisk był zawsze i gwar niepomierny, bo się teraz spierano o to, co przeszło, rozprawiając, jakby się tego wszystkiego zła uniknąć było mogło, które nastąpiło.

A że do roboty nikt nic nie miał, tylko mówić lub słuchać, cały dzień bo schodził na sprzeczkach, które czasem aż do zwady dochodziły. Dopiero gdy już powstawszy, brali się zwaśnieni pięści lub pałek, starszyzna ich rozводziła, gromiąc i nakazując milczenie.

Beliny żona, której imię Hanna było, córka jej Zdana, wodziły między niewiastami, które wszystkie, krom służebnych, mieściły się w izbie wielkiej na wyżkach, mając dwie ciemne komory przy sobie. A i tu ład utrzymać nie było łatwo, bo się i o wrzeciono, i o kądziel, i o wyraz w piosence i o spojrzenie czasem wadziły starsze niewiasty, a młodsze zajadały potajemnie. Musiała Jej Miłość pani Hanna, jak mąż na dole, powagi swej używać dla uczynienia pokorności czasem nawet starego Belinę wzywając w pomoc, na widok którego wszystko w karby wchodziło.

Największy ciężar na barkach starego gospodarza spoczywał, a był człek, jakeśmy go widzieli przy pierwszym wystąpieniu, nieskory do słowa, w potrzebie surowy, a w sercu dobry. Dobroć ta jednak nie przechodziła w miękkość, gdyż wiedział, że gdyby go ludzie miękkiem uczuli, nieład by się wkraść łatwo, a z nim przyjść musiała zguba na wszystkich. On tu był panem życia i śmierci, a choć się radził ludzi i nasłuchiwał ich mowy, nie dawał się powodować nikomu.

Chrześcijanin gorliwy i pobożny, stary Belina, co lepsze czasy pamiętał, przybity był

teraźniejszymi kraju nieszczęściami i tak że gdyby nie wiara w Opatrzność i ojca Gedeona duhowna pociecha, zwątpiłby już o wybawieniu. Z małą nadzieją, ażeby się uratować udało, pełnił swój obowiązek, nocy nie dosypiając, czuwając nieustannie, prawie nie zmruczając oka. Wstawał, jak świt, na pierwszy znak gotów, bo się nigdy nie rozdziewał, a sen jeśli go zmorzył, to na wpół siedzącego; obchodził gródek, opatrywał wszystkie kąty, rozsądzał sprawy, pilnował rozdawania żywności, rzadko przysiąść mógł we dnie. Nocą też najmniejszy szelest go budził, a jeśli się na pierwszym podwórzu wrzawa słyszeć dała, wnet chłopak zapalał łuczywo i z nim Belina szedł patrzeć, co się działo. Nie obeszło się nigdy prawie, żeby kogo niespokojnego, buntującego się, do jamy i kłody wrzucić nie było trzeba. Mnożyło to niebezpiecznych i niechętnych, ale bez tych się nigdzie nie obchodzi. Belina wymagał tak samo posłuszeństwa od rycerstwa i ziemian, jak od ludu pospolitego, i przeciw się sobie nie dawał; gospodarzem był, panem i wodzem.

Jak przy Hannie córka Zdana, tak przy ojcu syn Tomko stał na pierwszych posługach, rozkazy nosił, porządek robił i na równi z nim czuwać musiał. Młodemu chłopcu służba ta przypadła do smaku, gdyż z nią na wyżki do matki i do niewieścich izb często zaglądał. Tu stara jejmość w białej nawitce na głowie, w fartuchu, musiała się też cały dzień krzątać, pilnując czeladzi, co jedzenie

przysposabiała, chorych, dzieci i domowego zwierza, którego jeszcze trochę zostało.

W wielkiej izbie na wyżkach, jak na dole w dawnej jadalni, Skupiało się, co żyło, aby, razem się zebrawszy, otuchy sobie dodawać. Jak dzień, ogień zapalano, warzono co było jeszcze, a wnet kądzieli postawiane na ławach i wrzecziono każda chwyciła, aby czym zająć ręce i myśli. Z wrzeczionem w rękę, gdy się nic ciągnąć poczęła, skręcać, nawijać, jakoś i myśli było raźniej, i sercu było spokojniej.

Zdawało się niejednej, że siedziała tam jeszcze u domowego ogniska, w ciszy własnego dworu, za lepszego czasu. Hanna Belinowa na nic się tak nie uskarżała nieboga, jak że ją ciągle od kądzieli odrywano i nie dawano się nacieszyć wrzeczionem.

Ze strachem teraz wchodziły niewiasty do komory, w której były złożone złotego lnu pasemka, aby ich nie zabrakło. Cóż by one naówczas poczęły? U

kądzieli, gdy się mowy przybrało o tym, kto zmarł tej nocy, kto się pobił, kogo do jamy wsadzono za karę, kto zachorzał i wyzdrowiał, najprędzej się brała cicha piosenka stara, odwieczna, tęska, czasem na pół pogańska, że się ją śpiewać obawiano, chyba gdy ojciec Gedeon był daleko. Ksiądz bowiem zakazywał pieśni wiedząc, że w nich stara wiara się chowa, i na jej skrzydłach niewinnych nazad do serc nawróconych wlatywa. Nucono półgłosem po cichu, ale pieśń rzecz zaraźliwa, więc gdy jedne poczęły ją usta, we wszystkich się piersiach odezwała i wiele nie wytrzymało, aby jej nie zawtórować, choć słabo.

Na tę izbę spojrzeć, choć przez drzwi szczelinę, serce młodzieży radowało.

Ogień się palił pośrodku, przy którym to strawa, to napój, to lek jaki i ziele się gotowało prawie zawsze. Dokoła na ławach, na ziemi podestanej kozuchami wieńcem siedziały niewiasty: pierwsze z kądzielami w rękach, drugie szyjąc albo dziećmi się zabawiając, a były między nimi i piękne a młode, i średniego wieku, i podstarzałe, i zgrzybiałe, jedne z kosami długimi, drugie w białych namitkach i chustach, inne ręcznikami pozawijane, jak się udało.

Młodsze byłyby cały dzień prześpiewały jak ptaszęta, ta pieśń była ich mową, starszym się chciało mówić o dawnych czasach. A że ich słuchać było potrzeba, więc gdy znużone drzemać poczywały i cisza w izbie nastąpiła, dopiero się która śmielsza zebrała na piosenkę. Zrazu szmerem wylatywały słówka, ledwie dosłyszalne, potem coraz głośniejsze, śmielej, żywiej, weselej, a gdy im zawtórowano, czasem się zapomniały i starsze... a podśpiewywały... I tak ledwie jedna się skończyła piosenka, druga podobna poczywała. Z pieśni tych może tylko rosła tęsknota, a z gadania bab często przyszło do tego, że sobie i wrzeczionami groziły, i kądzieli spod siebie wyjąwszy, do wojny się z nimi wybierały. Działo się to jednak, gdy starej Hanny nie było, bo ta wnet pokój czyniła, często oburącz za barki wzięwszy najzapaleńszą i gwałtem ją lżąc na ławie. Było tam wszystkiego, bo i na śmiechu nie zbywało, choć czas był nie do wesela, ale w długiej trwodze wytrwać na równi trudno.

Tutaj swoje miejsce na ławie poczystne znalazła i Spytkowa, sadząc córkę przy sobie. Do kądzieli wielkiej ochoty nie miała Rusinka utrzymując, że od młodu jedwabiem szyła chusty i więcej się niczym nie zajmowała. Kasia za to przędła za dwoje. Marcie rzadko się usta zamykały, córka prawie mówić nie śmiała, ale oczy niebieskie biegały tym żywiej widziały wszystko, to nawet, czego się

drugie nie domyślały.

Już wszystkie przygody Spytkowej znały jej towarzyszki, przecież

powtarzaniem końca nie było. Ciekawa niewiasta, gdy jej tu nie dawano ucha, wychodziła czasem na pomost, który z wyżek ku podwórcowi był otwarty, tu sparłszy się przy słupie, gdy było kogo na dole stojącego do rozmowy i uśmiechu wciągnąć, chętnie to czyniła. A że czarne oczy pani Marty pięknie jeszcze świeciły, znalazł się ktoś zawsze, by w nie się zapatrzył i w szczebiotaniu zasłuchał.

Za to Kasi wynijść nie było nigdzie wolno, a sama też ona, trwożliwa bardzo, ochoty ku temu nie miała. Obawiała się szczególnie Mszczuja Doliwy, który nic do czynienia nie mając, a w sercu nosząc obrazek dziewczęcia, czatował na nią ciągle.

Jeśli ją przypadkiem matka gdzie posłała, pewną była, że zawsze Mszczuj się jej z pokłonem i uśmiechem nastreczy. Rumieniło się dziewczę, odwracało oczy, nie odpowiadało na jedno ni na drugie i uciekało co prędzej.

Od Doliwy tak ujść było łatwo, od Tomka Beliny prawie niepodobna. Któż wie zresztą, czy Kasia i od tego by uciekać chciała! Innymi jakoś oczyma patrzyła nań ukradkiem, a raz czy dwa, choć jej spojrzal w same oczy, nierychło spuściła Powieki. Synowi gospodarza raz w raz też wypadła jakaś potrzeba do pani matki od ojca lub też do siostry od siebie. On jeden z mężczyzn miał wstęp swobodny na te wyżki zakłete, na które innym dostać się nie było wolno. Korzystał też z tego teraz częściej niż kiedy.

Zdana, siostra, czy tajemnicę braterską odgadła, czy ją powierzoną miała, dopomagała mu serdecznie. Ledwie się Tomek pokazał na progu, wnet Zdana, której szukał, stawała przy Kasi, tak że idąc do siostry, do Spytkowej pójść musiał. I tuż obok wiązała się rozmowa jej z bratem, a choć dziewczę nieuczone było, jakimś instynktem wiedziało, co mówić i jak by się słówkami Tomka i Kasia podzielić mogła. Pierwszych dni, gdy się to poczynało, Kasia tylko zapłonęła, oczy spuściła na kądziółkę i przędła, a rączęta się jej trzęsły. Potem strach ten pierwszy przechodzić począł, ośmieliły się źrenice spojrzeć ukradkiem, usta na pół uśmiechnąć... Naprzód spoglądała na macierz, czy nie podpatruje, a gdy ta czym innym była zajęta, zerknęła na Tomka. Jemu to mówienie przerywało, jak uciał, nieprędko wracał do słowa.

Zdana była nad wiek rozumna, choć mało co od Kasi starsza, a była też piękna i rozkwitła pod macierzyńskim dachem na podziw świeżo i wesoło. Od Kasi była słusniejszą, smukłą jak brzoźka, a ruchy miała sarenki młodej, a uśmiech kukułki na wiosnę, a trzpiotowatość wróbelka. W ciemnych jej oczach siedział uśmieszek figlarny, nawet gdy się różowe usta gniewać chciały. Było to matki kochanie, ojca pieśczoć domowników cacko lube, a teraz wszystkich gości pociecha!

Starej Belinowej, choć się krzątała, prędko ruszać się ciężko było, Zdani za to nie kosztowały skoki i bieganie, i wieczna krętanina, a na miejscu gdy siedziała z kądzielą, przęśnica z nią skakała, wrzeciono warczało, len się uśmiechał i trząsł

brodą. Takie to było jeszcze młode, że samo pewno nie próbowało nic, nie doświadczyło niczego, ale od czego piosenka, która przynosi tęsknotę, serce rozkołysać umie i w szerokie pola myśl goni!

Zdanie serce aż zabiło z radości gdy myślała, że bratu do kochania pomoże, a sama się temu żywemu przypatrzy kochaniu. Pomagała szczerze. Wkrótce z Kasią jak siostry były, a jeśli szły razem, to nie inaczej tylko rękami się opasawszy, główka przy główce, usta przy ustach.

Często w wielkiej izbie wyszeptać się nie mogąc, aby nie podsłuchano, wsuwały się razem do ciemnej komory, jak tam stanęły w kątku i mówić poczęły, śmiać się i ścisnąć, końca temu nie było.

Dopiero się obejrzała Spytkowa, że córki nie było, a była o nią w ciągłym strachu; nuż wołać, gdzie się Kasia podziała. Kasia czerwona bieży z komory do matki, a Zdana z nią, żeby matce łąjąc jej nie dać. I oto obie już siedzą, kądziółki puściły, oczy pospuszczały jak trusie, tylko co jedna spojrzy na drugą, to się im usta do śmiechu biorą i Zdana je ręką zasłania, a Kasia końcem fartuszka.

Choć i tu się dnie dłużyły nieraz, starsze pospały, młodsze płakały, na górze jeszcze znośnie było. Z dołu jak ku niebu ku tym wyżkom patrzano; rad by się każdy był wkraść, zakaz był srogi, aby żaden z mężczyzn się nie ważył na to. Starego Beliny słuchać musiano, bo z nim żartu nie było, a i syna władzyki nie poszanował.

Z dała tylko, z podwórza młodzież, chodząc, czatowała, nuż się która wymknie po wodę, nuż wyjrzy, nuż po pomoście przebieży, aby choć spojrzeć, choć spojrzenie otrzymać...

Mszczujowi się nie wiodło. Wychodziła doń Spytkowa, bo trzeba było kogoś, co by jej świeżymi słuchał uszami. Kasi się doczekać nie mógł. Zobaczył ją czasem na mszy, ale zasłoniętą białym ręcznikiem, że i poznać ją było trudno. Nigdy nie spojrzała nań nawet. Gryzł się Doliwa, a naturę mając braterską, mówił sobie, jak to w owe czasy wszyscy:

— Gwałtem porwę dziewczynę, a moją być musi!

Gdzie i jak miał ją porwać, gdy tu dla niego samego i dla wszystkich niebezpieczeństwo wisiało nad głową, młodzież nie pyta! Dojrzał tylko Mszczuj na zgryzotę swą większą, że tam na wyżki Tomko chodził często, siadywał długo, Powziął ku niemu nienawiść okrutną. Zazdrość go paliła. Raz nawet nie strzymał, i gdy Spytkowa na dół zeszła dla zmowy, bo dnia tego była bardzo na Mszczuja łaskawą, szepnął jej do ucha:

— Niech no Miłość Wasza dobrze córki strzeże! Dla mnie góra zamknięta, a Tomkowi cały dzień otwarta do wieczora i co pójdzie, to siedzi!

Rozśmiała się pani Marta.

— Jako żywo — rzekła — Tomko do matki i siostry przychodzi, aniby mi śmiał przystąpić do Kasi, bo choć syn gospodarza, dałabym mu, dała, azby popamiętał. Toż dzieci, ani jej co w głowie, ani jeszcze...

A tak tego pewną być musiała Spytkowa, że się ani obejrzała dnia tego, gdy Tomko przybył do Zdany; Zdana przysunęła do Kasi i rozmowa wszczęła między siostrą a bratem, w której Tomko umiał powiedzieć tej, co go niby nie słuchała, że ją kocha nad życie i dałby żywot za nią. Kasia tego nie brała widać do siebie, bo spojrzała nań oczyma smutnymi, pottrzymała je nad nim długo; potem

furknęło wrzeczono, zakręciła się nić, wrzeczono na ziemię upadło, Tomek schylił się po nie, gdy je podawał, ręce się może ścisnęły a pani matka nic a nic nie widziała.

Nieraz tak Mszczuj, w rozpaczy dzień cały na czatach spędziwszy w

podwórzu, szedł do wielkiej izby, kędy siedziała starszyzna, i w kąt się zaszywszy, w rękach twarz skrywał nic nie słysząc, o swoim tylko utrapieniu przemysliwał.

Do tej izby czasem zaszedł i stary Belina, na ławie przysiadł i do rozmowy się wmieszał krótkim słowem. Siedział całe dni, nie wychodząc prawie, Lasota, któremu się wolno przygajały rany, leżał, mało co się ruszając, młody Toporczyk; było i innych wielu. Tęsknili tak razem za łowami, domami, za swobodą, a choćby za wojną, byle ich z tych oków i więzów wydobyła, bo tu się wszyscy niewolnikami czuli... Nikt nie wiedział, jak długo ma się pociągnąć ta niewola i na czym skończyć się może, to wszyscy czuli, że przyjdzie ostatnia godzina, posiekać się dadzą i wszyscy padną raczej, niż czerni lub Masławowi w niewolę oddadzą!

Masław był ich najczęstszym rozhoworów przedmiotem, Mało kto z nich nie znał, nie widział, starsi pamiętali, gdy targali za uszy, młodszy, że go z przedsieni wypychali i nieraz potłukli. Nikt naówczas w chłopaku, co się każdemu podlizać umiał i nazajutrz po guzie rękę, co go nabiła, całował, nie domyślał się zuchwalca, który kraj miał zawichrzyć i pana wygonić. Rosło to złe ziele jak pokrzywa pod płotem, która gdy się z ziemi wytyka, ani jej widać, nie wiadomo kiedy do góry się bierze, aż i płot sam zakrywa.

Wzdychali starsi, że naówczas przeczucia nie mieli, aby go kto w kącie przydusił i precz cisnął zawczasu. Słowa by mu wówczas nie rzekł nikt, bo Masław za sobą nikogo nie miał. Potem dopiero, gdy Mieszko zesłabł, zmysły się mu pomieszały i szaleć począł, a rozumu zabrakło, chytry dworak wziął górę nad panem.

I stało się, co się stać miało: jeden syn pastuszy dwu wielkich królów dzieło obalił, dając je czerni tratować nogami.

Do tej izby czasu wolnego schodził i ojciec Gedeon na rozmowę. Naówczas około świątobliwego starca kręgiem się skupiali wszyscy, bo z sobą pociechę i słowo przynosił, które serca ostygłe zagrzewało. Powiadał im staruszek, jak niejedno królestwo niejednym razem zawichrzonym było i zdało się upadłym a zginionym, aż ci skinał Bóg, natchnął męża lub pacholę słabe i wybawił je cudem, tak jak cudem runęło. Naówczas rozjaśniały się powoli lica i wracała otucha; mówiono sobie: "Nie może być, ażeby nas Bóg miał opuścić. Ukarze tych, co wywrócili kościoły i obalili krzyże, pocieszy niewinnych." Z ojcem Gedeonem zawsze wchodziła nadzieja, nawet gdy najsmutniejsze przeczucia, sny i wieści groziły.

Po odjeździe Wszebora nie wiedziano na Horodyszczu nic, co się na świecie działo. Głuche milczenie je otaczało. Tylko z pomostów patrząc, coraz częściej się trafiało widzieć ludzi Jakichś wychodzących z lasu, którzy się grodkowi przypatrywali. Zjawiali się oni to z jednej strony, to z drugiej w różnych dnia porach, a raz na koniach kilku podjechało tak blisko, że zza ostrokołów do nich strzały puszczono, a jedna w czapce utkwiała temu, co najbliżej stał. Ruszyli, krzycząc i klnąc, i znikli w lesie. Byli to widocznie na zwiady wysyłani od czerni ludzie, aby się wywieść, czy z

gródka nie uszli zamknięci w nim. Pilnowano go więc pewnie dokoła, czekano, aby osłabli z głodu, znużyli się siedzeniem, wyjedli zapasy, by ich potem łatwiej zagarnąć było.

Chociaż czuli się tak otoczeni, młodzież wstrzymać było trudno od tego, aby się czasem nie wyrwała do lasu. Belina się zrazu temu przeciwiał, potem zważając, że mięsa dla przeżywania się potrzeba, a w lesie go łatwo dostać, zwłaszcza gdy z pierwszych łowów dwa łosie przyciągnięto i sarn kilka, puszczał ochotników na niebezpieczną wyprawę. Każdego dnia, gdy przyszło do wycieczki, cisnęli się i prosili wszyscy niemal, oprócz starców i chorych; silniejszych tylko i tych, co dobre konie mieli, puszczał Belina. A kto sam nie mógł iść, bo liczbie wielkiej oddalać się nie dozwalał, ten stawał przynajmniej na pomostach, aby się przypatrzeć i oczyma za szczęśliwymi pogonić. W te dni było o czym mówić i czym się podwójnie niepokoić:

— Wróć, nie wróć! Co ich tam spotka? Nuż czerń na padnie?

Do późnego wieczora wyglądano, upatrywano, a gdy się orszak z lasu

wytknął, dopieroż wołanie:

— Jada! Zwierza wloką! Jada!

Otwierały się jako na przyjęcie zwycięzców powracających wrota, radość na chwilę i ciekawość ożywiała wszystkich, kupili się ku wnijsciu na powitanie. A potem u ogniska w wielkiej izbie było co do późnej opowiadać nocy, kto lepiej oszczepem cisnął, kto prędzej zabiegł drogę, kto dobił upadłe zwierzę, kto ranione dogonił. Gdy się takich wycieczek kilka powiodło, a w żadnej z nich nie spotkali nikogo, stary Belina też nie był przeciwny łowom, które zasilały obłączonych. Mięso łosie solono i w beczki zamykano, aby się na późniejszy czas zaopatrzyć. Poszło we zwyczaj niemal co dzień z kolei kilku lub kilkunastu młodszych wypuszczać ze psy, aby szczęścia próbowali. Rzadko się trafiło, by wrócili z niewielką zdobyczą. Lasy były zwierza pełne, a że w dalszych ostępach płoszyły je przechodzące zbrojne kupy, chroniło się to bliżej Horodyszczu, gdzie ciszej było i spokojniej.

Jednego dnia Mszczuj też zmęczony próżnymi czaty na Kasię, która się nie pokazywała, zapragnął pójść z innymi. Sprzykrzyło mu się czekać na brata, którego powrotu co dzień się spodziewał, chcąc z nim razem spiknąć się na młodego Belinę, aby go od Spytkównej odsadzić. Wszebor powinien był już przyjść nazad, jeżeli nie zginął. Mówiono o tym co dnia, a Spytkowa za jedno ręczyła tylko, że jej wierny sługa Sobek nie zaginie i z największego potrafi się wyśliznąć niebezpieczeństwa.

Ranek tego dnia, gdy Mszczuj się wybierał, mglisty był i chłodny; dla psów, co po wilgoci łatwiej zwierza tropiły, dobry, dla myśliwych niepowabny. Wszelako naparli się ruszyć, bo im miejscowi ludzie dobrą knieję ukazać obiecywali, zawczasu dziesięciu młodzieży, dobrze zbrojnych, tak aby się i z ludźmi zmierzyć nie lękali, za wrota się wydobyli. Mszczuj, który po raz pierwszy od zamknięcia na Horodyszczu dostał się na swobodę, poweselał, gdy z tej ciasnoty dobywszy się, szerokie ujrzał

pole i lasy. Dusza mu się rozradowała, a że i inni z tąż ochotą jechali, żwawo się w puszcze za przewodnikiem posunęli.

Kto nie siedział zamknięty, ten tylko nie wie, z jakim uczuciem odzyskuje człowiek tę ruchy swobodę,

która mu do życia jest potrzebna. W pierwszej chwili wszelka pamięć się zaciera tego, co nastąpić może; choćby jutro wróciły zapory, ale dziś tchnąć jest czym i głową o ścianę człek się nie rozbija.

Mszczuj zanucił piosenkę, sam nie wiedząc jak, a gdy własny głos posłyszał, uląkł się go, zamilkł.

Zaledwie wjechawszy w puszcze, szczęśliwie trafili na sarn stado; dwie padły, radość była wielka. Z tą lepszą otuchą szli dalej, gdzie im łosie przyobiecivano. W

istocie udało się im je ostąpić na łące, lecz czujne stado ruszyło wnet; na drodze stojący Janek Kaniowa, który im zaprzec chciał drogę, obalony z koniem został i stratowany. Mimo to dwa łosie były ranne, za nimi puścili się w pogoń myśliwi, bo zwalniały kroku i krwią broczyły. Ciskano i strzelano, usiłując je dostać. Zwierz silny mimo ran uchodził, zapędzili się za nim głębiej w puszcze, niż chcieli, i było dobrze z południa, gdy jednego z łosiów dostawszy, nareszcie do powrotu się brać zaczęli. Nim go za chrapy uwiązano do koni, co za sobą wlec miały, nim się obwołali wszyscy łowcę, a Kaniowę zbitego na nosze między konie włożono, zmierzchać po trosze zaczęło. Pospieszyć było nie sposób, tak że przewodnik dopiero ku nocy powrót na Horodyszcze obiecywał. Już byli na wpół drogi ku niemu, gdy Mszczuj na parę stajania przed sobą ujrzał dwu konnych, a po jednym z koni zdało mu się, iż poznał brata. Serce w nim było poczciwe, choć krew gorąca; żal, jaki oba do siebie mieli, wnet ustąpił, puścił się za koniem, nawołując Wszebora.

On to w istocie był, wracający z wyprawy swej. Z równą radością oba rzucili się na szyję i ścisnąć poczęli; drudzy też nadjeżdżający jęli witać przybywającego, zarzucając pytaniami. Wszebor dowiadywał się gorąco, co się na Horodyszczu działo, a cieszył tym, że ich na łowach spotkał, bo, to samo dowodziło, iż grodek nie był osaczony. Radując się tak wszyscy, wcale już zapomnieli, iż na ostrożności mieć się było potrzeba. Noc nadchodziła ciemna, gdy na skraju lasu stanęli. Sobek, który przodem i teraz jechał, nagle syknął, nakazując się strzymać.

Teraz się dopiero opamiętali i oczy zwrócili na dolinę. Zostawili ją z rana wyjeżdżając pustą, teraz w mroku nocy ujrzeli nad rzeczką porozpalane ogniska.

Było ich kilka tylko, ale około nich dostrzec było można ruszające się ludu gromady.

Nie mogła to być załoga wypuszczona z Horodyszcza, bo nigdy Belina jej nie dawał

ruszać, zwłaszcza pod noc; nawet gdyby umarłego grzebać przyszło, do rana od kładano. Nie ulegało wątpliwości, iż czerń, co na Horodyszcze czatowała, przyszła je osaczać.

Ci, co przed chwilą wesoło jechali jeszcze, spodziewając się dostać na nocleg do swoich, skamieniali na ten widok, który im zgubę wróżył. Słowa nikt wyrzec nie śmiał. Oglądano się, co czynić z sobą. Niecierpliwi chcieli, zwierza rzuciwszy, sami wnet uchodzić w lasy. Sobek stary jeden głowy nie stracił. Zbliżył się do Wszebora i Mszczuja, zalecając ażeby cicho stanąwszy pod drzewami, powrotu jego czekali.

Nadzieja nie była stracona, jak mówił, kupa ludzi nie zdawała się zbyt liczną. Sama liczba ognisk dowodziła, iż przybyła gromada na zwiady i na czaty tylko była ostawiona.



Oddawszy konia, Sobek znikł w ciemnościach. Czekano. Nikt od tych

złowrogich ognisk oczów nie mógł odwrócić. Roilo się około nich ludem, którego cienie na jasnym tle ogni i dymów się poruszały. Z dala gwar tylko czasem wiatr ku nim donosił. Na Horodyszczu też widać było ruch; koło okopów i poza ostrokołami kilka razy się zapalone żagwie przesunęły. Czuwano.

— Dziesięciu dobrze zbrojnych i śmiałych ludzi, gdy się w nocy niespodzianie rzuci choćby na stu takich, zaledwie w pałki opatrzonych, rozbić ich mogą — mówił

Wszebor po cichu.

Mszczuj mu potakiwał, inni głowami potrząsali, nie na to, ale na kilka setek licząc gromadę. Pobity Kaniowa, z noszów głowę podnosił, aby dojrzeć, co się tam w dali ukazywało.

Sobka długo z powrotem nie było. Przywłókł się w końcu zadyszany stary zwiastując, że ludzi było kilkuset może, a między nimi niektórzy lepiej uzbrojeni dowódcy. Leżało to nad rzeczka, tak iż lasem okrążając dolinę dokoła, z przeciwnej strony cichaczem do wrót się było można dostać, nie ocierając się o nich. Trzeba było tylko jechać w milczeniu, bodaj koniom obwiązawszy nogi, żeby tętent ich nie zdradził.

Za radą Sobka poszli wszyscy. Nierychło wszakże tą drogą na Horodyszcz dostać się było można i dwa razy przychodziło krętą Olszankę przebywać w bród, a grzęskie trzęsawisko po kępach. W milczeniu ruszył pochód ów, ciągle mając na oczach ogniska, którym z różnych stron się mogli przypatrzeć i siłę oblegających mniej więcej obliczyć. Widać było od kraju lasu jednych piekących nad ogniem mięso, drugich warzących strawę, dokładających do ognia. Czuwali wszyscy, obawiając się może, aby ich z gródka nocą wycieczka nie napadła. Na Horodyszczu trzecie już kury piejące słyhać było, gdy mała gromadka stanęła w tym miejscu, z którego doliną już bez osłony ku Horodyszczu puścić się miała.

Wzięto w pośrodek rannego Kaniowę, który opończą się osłoniwszy, na

śmierć się w milczeniu gotował, ścisnęli się jeźdźcy, oszczepy i topory nagotowano i wystąpili z lasu.

Sobek i tu przodował pieszo, konia za uzdę wiodąc za sobą, gotów w razie niebezpieczeństwa skoczyć na niego. Gromady stały dosyć daleko, nie zważając bardzo na to, co się w pustej działo dolinie. Niebezpieczeństwo dopiero mogło przyjść, gdy się ku okopom zbliżą, na które ku wnijsciu zamkowemu blask od ognisk padał. Wyszędłszy z cienia na oświecone pole, musieli się puścić szybko ku wrotom, aby je miano czas im otworzyć, nimby owa gromada zerwała się i rzuciła za nimi.

Wszystko to było umówionym i dotąd wiodło się szczęśliwie. Doliwom, co z dala na gromady patrzeli, serce się ścisnęło, że dla rannego Kaniowy nie mogli wpaść na te kupy, bo się im zdało, iżby im łatwo, na karki spadłszy, potłukli.

Sobek też to odradzał.

Jechali w milczeniu ściśnięci, patrząc ku okopom, azali ich tam zobaczą, aby wrota dla nich trzymali w gotowości do otwarcia. Gdy na światło wyjechali, puścili konie klusem ku górze. Sobek, który miał oko na wszystko, ujrzał w tej chwili, jak około ognisk zaczęli powstawać ludzie, podnosić się i nagle gwar głuchy zmienił się w krzyk straszliwy. Poruszyło się, co żyło. Zdażali tymczasem kupką ku wrotom, a Sobek chustką ku ostrokołom znaki dawał. Lecz tuż i gromady się sunęły za nimi, biegły tłumem, w nieładzie z podniesionymi pałkami. Doganiały bliżej coraz, naciskając z wrzaskiem. Doliwowie, jadący ostatni, do toporów się wzięli, bo tuż tuż czuli następujących. Kilka strzał świsnęło w powietrzu, pierwsze konie dobiły się do wrót, ale ich nie otwierano jeszcze. Odwrócił się Mszczuj i Wszebor ku obronie, ale zaledwie czas mieli łbami końskimi zastawić się, gdyż siec było potrzeba, bo ich ręce napastników ściągały z koni.

Chwila to była straszna, nim nareszcie opadły drągi i wrota się otwarły tak, aby pierwsi za nie skryć się mogli. Doliwowie toporami cięli bezprzytomni, cofając się ku bramie. Mszczuj miał oszczepem rękę zranioną. Wszebor strzałę w twarzy, gdy z wrzawy i tłoku znaleźli się bezpieczni za wrotami, gdzie oba z koni spadli.

Wnet zatrzaśnięto je za nimi, na kupę napastników posypały się pociski z za ostrokołu, z pomostu puszczono kłodę, która stoczyła się na karki, zabiła najbliższych, zgmiotła kilku, a resztę do ustąpienia zmusiła.

Gdy oba ranni podnieśli się z ziemi okrwawieni, ujrzeli nad sobą starego Belinę, który stał blady i milczący. Poza nim cisnęła się niemal cała ludność Horodyszcza, okrzykując cudownie ocalonych. Zdziwili się wszyscy, ujrawszy tu Wszebora, który z policzka dobywał uwięzioną strzałę, a krwawą dłoń podawał do uścisku.

Tymczasem na pomostach i okopach, gdzie młody Belina ludźmi zebranych dowodził, trwała wrzawa, rzucano kamienie, i kupa, co się była nacisnęła ku wrotom, wnet ustępować zaczęła. Szli myśliwi do izby na dole, gdzie im rany trzeba było obmyć i obwiązać. Popłoszone niewiasty z drugiego podwórza pozbiegały patrzeć choć z dala, co się dzieje; wyszła też i Spytkowa, która Wszebora witała właśnie, gdy Sobek jej do nóg przypadł.

— Miłościwa pani! — zawołał, składając ręce. — Radujcie się, miłościwa pani, niosę wam nowinę dobrą i pozdrowienie. Nasz pan miłościwy żyje!

Słyszając to, krzyknęła Marta, rzuciła się i padła zemdlona, ale niewiasty ją wnet ocuciły. Byłali to radość wielka czy inne uczucie, trudno odgadnąć; to pewna, że się jej łzy puściły obfite i że całą noc, rozpytawszy wprzód Sobka, jęczała i płakała.

Nikt też tej nocy, oprócz dzieci, nie zasnął na Horodyszczu i czuwano na wałach, w izbie, na podwórcach palono ognie i czekano dnia, ażeby gromadzie, która na dolinie obozowała, lepiej się przypatrzeć a obliczyć ją.

Wszebor, choć ranny i obwiązany, był tej myśli, aby jeśli się napastnicy niezbyt licznymi okażą, wypaść na nich z okopów nagle i szczęścia w otwartym polu próbować. Belina nie mówił na to nic, lecz się namarszczył tylko, a głową trząsał

znacząco.

Przede wszystkim musiał opowiadać Doliwa, co w drodze sprawił, widział i z czym powracał. Było tu dla wszystkich nowin podostatkiem, jakie komu mogły przypaść do smaku. Potęga Masława dla jednych, nadzieje starego Trepki dla drugich. Umysły się rozgrzały, duch nowy wstąpił. Masław, którego siłę obliczał

groźną Wszebor, nie wydawał się straszny. Ochotniej wierzyli w powrót Kaźmirza i pomoc niemiecką niż w pogan przewagę.

Z Beliny jednego poznać było trudno, co o obojgu trzymał, twarz starca ani większej radości, ani trwogi nie zdradzała! Słuchał pilnie, ważył i... milczał.

Wszebor, jakeśmy widzieli, mniej miał ufności w posiłkach Kaźmirzowych obiecanych, a więcej się lękał ściągniętych przez Masława tłumów, to i z jego mowy czuć było Na jednych ona podziała, strach budząc, drugich oburzył tylko. Nadzieja powrotu Kaźmirza i powrotu lepszych czasów brała górę mimo Wszebora. Oblężeni chcieli się trzymać do ostatka, choćby o wodzie i polewce, odejmując od Ust sobie, by dłużej wytrwać mogli. Wśród gwaru zdań sprzecznych zwracali się ku stojącemu zawsze w milczeniu starcowi, jakby zdania jego pytali. Gdy ucichło nieco, Belina głowę podniósł.

— Opatrzeć wrota! Stróże na miejsca! Czujność na wałach!

I więcej nie rzekłszy, powoli się oddalił.

## Rozdział 8.

Nazajutrz na grodzisku od świtu ruch był ogromny, wszystko się wysypało ku ostrokołom, aby się gromadom, które nadciągnęły, przypatrywać. Bojaźliwe nawet niewiasty z dachów i wietrzników wyglądały. Gdy dobrze rozedniało, postrzeżono w dolinie obozowisko wczorajsze rozpiezchłe, nie zdające się przygotowywać jeszcze do napaści. Jedni przy ogniach gotowali strawę, drudzy około koni chodzili, inni zdali się odpoczywać; kilku tylko na koniach objeżdżali dokoła Horodyszczce, przyglądali mu się ze wszech stron, próbowali brodu na rzece i trzęsawicy na moczarach. Z tej strony bowiem, z której Horodyszczce wodą i nimi było okolone, okopy były niższe, zaniedbane, ostrokoły gorsze, a w niektórych miejscach, gdzie poopadały, pozatykano dziury płotami starymi i darniem.

Belina, który się rozglądał ciągle, dostrzegł łatwo, że na tę stronę rachować musiano, zwłaszcza gdyby mrozy, których lada dzień się można było spodziewać, nadeszły. Sam on teraz dopiero widział, iż grodek od rzeczki łatwiejszym był do zdobycia, i nie tracąc czasu, wnet ludzi spędzić kazał, aby okopy poprawić, a ostrokoły umocnić. Drzewa na nie inaczej dostać nie było można, jak rozbierając szopy, pod którymi się ludzie w słotny czas tulili, a nie było co rozmyślać i część schronienia tego musiano poświęcić.

Wzięto się wnet do roboty.

Popłoch, jaki przybycie gromad sprawiło na zamku, odbijał się w całym życia jego trybie. Na mszę

świętą ojca Gedeona zeszli się wszyscy, a niewiasty, słuchając jej, płakały i zawodziły. Ranni i bezsilni, co pod dachem musieli pozostać, rozprawiali bez miary. Tym, co nie robili nic, to, co robiono, wydawało się niedostatecznym i niedobrym. Wszebor, co w lepszego nic nie wierzył, pomimo to miał ochotę do wycieczki.

— Nie mamy nic do stracenia — mówił — tak czy inac, ginąć nam potrzeba; przynajmniej się człek krwi paskudnej napije i gniew spędzi na karkach tej dziczy.

Wszedł na to ciągle się krzątający i obchodzący wszystkie kąty Belina; sprawa się wytoczyła do niego, wąsa pokręcił.

— Ani się ważcie! — rzekł. — Tu nikt beze mnie kroku nie stąpi, a ja mówię wam: Nie pozwalam!

— Dlaczego? — spytał Wszebor.

Belina głowę podniósł.

— Dlaczego? — powtórzył. — Ano, się o to pytać mnie nikt tu prawa nie ma.

Jam tu pan i wódz. Powiem wam jednak dlaczego. Dlatego, że ja w wybawienie wierzę i będę się trzymał do ostatka, a bezpotrzebnie kropli krwi wylać nie dam.

To rzekłszy, Belina się obejrzał tylko i poszedł wolnym krokiem, nie czekając odpowiedzi.

Wszebor się namarszczył, a słuchać musiał. I on, i brat od dnia wczorajszego chodzili chmurni na Belinów wszystkich. Przyczyną tego było, że im Tomko dziewczę bałamucił. Choć śmierć, głód, nędza była za pasem, na kochanie jeszcze czasu stało. Gorzej, bo im ta miłość nie w porę do tego, co na tę porę czynić było trzeba, ochotę odbierała. Dziewczę im więcej było w sercu i głowie niż przyszłe Horodyszczka losy. Poswarzyli się byli o nie między sobą, a teraz, oba jej dostać nie mogąc, pojednali się, byle jej trzeciemu nie dać. Bałamuctwo to było młodzieńcze; ano w tym wieku dzieje się tak, że gdy się zawróci w głowie, na nic się nie pamięta.

Do Tomka Beliny żaden z nich gadać nie chciał; zobaczywszy go z dala, odwracali się, choćby do ściany, aby go nie widzieć i w oczy mu nie patrzeć.

Wszebor szczególnie, którego i Spytkowa przyjęła nie po dawnemu, chodził zły, a wszystko mu się na Horodyszczu wydawało nie do rzeczy i złe a nieopatrzne. Miał

on tego ducha w sobie, że i przeciwieć się drugim lubił, i sam by był rad rej wodził.

Z Beliną starym ni jedno, ni drugie nie szło. Krótkim słowem odprawiał, nie dopuszczając sprzeczek, a nad sobą przewodzić nikomu nie dał. I Mszczuj, który podobną miał naturę do brata, już to był wypróbował.

Teraz oba pokwaszeni zbliżyli się ku sobie, aby razem narzekać. Po wyjściu starego z izby został w niej tylko u komina Lasota, w kącie Toporczyk, na ziemi potłuczony Kaniowa i kilku innych niedobitków. Czas jakiś panowało milczenie; Wszebor, chodząc, mrucał tylko coś, sam do siebie

gadając. Drudzy go oczyma mierzyli. Wreszcie tyle się w nim uzbierało przekory i niesmaku, że coraz głośniejsze, wpół do siebie, wpół do drugich, u ogniska stanawszy, mówić zaczął.

— To się wszystko na nic nie zdało! — mówił. — Na Masława tu czekać, jedno co na śmierć. Przyjdzie on z taką gromadą, że nam wały jak mrowie okryje i bronić się nie starczy czym. Jeść co dzień jest mniej, w końcu nas głód zmoże. Człek po polewce siły nie ma.

Słyszając to, niektórzy ku niemu pozwracali głowy.

— A cóż czynić — spytał Lasota, kiedyś taki mądry? — Co lepszego?

— Niewiasty i chorych w środek zabrać, zbrojnym się ludem otoczyć i

przebojem uchodzić w lasy! — zawołał Wszebor. — Trafiemy na Trepkę albo na innych, złączym się z nimi, a choćby ginąć przyszło, toć razem!

— A ludziska te, co się schronili tak jak bez broni, cóż z nimi? — spytał

Toporczyk.

— Im czerń nie zrobi nic, ich i Horodyszczce można porzucić, żałować nie ma czego — mrucał Wszebor. — Co my dla nich ginąć mamy? Tym się nic nie stanie!

Nie odpowiedziano Wszeborowi.

— Kto wie, co lepsze? — mruknął Kaniowa.

— Belina stary uparty, mówić z nim o tym nawet nie można — dodał Lasota.

— W łasce bożej ufa — rzekł Toporczyk. — Słyszeliście, co ojciec Gedeon co dzień powtarza.

— Dobra łaska boża, ano człek się i sam ratować powinien — dodał Wszebor.

— Belinie swojego dostatku i ojcowizny żal, dlatego nas tu gotów wszystkich zamorzyć, by przy swych śmieciach pozostał.

Syknął stary Lasota:

— Nie mów tego!

— Co nie mam mówić, gdy myślę — odrzekł Wszebor.

Zamilkli inni, gdy z kąta jakiś drab wychudły do Doliwy przystąpił.

— Hm, rzekł, albo to my jego niewolnicy czy co, byśmy koniecznie słuchali?

Mamyć rozum swój i wolę swą, zbierzmy się do kupy i idźmy w las. Kto nam zabroni? Ci, co chcą tutaj gnić, wola ich.

Wszebor, tak pochwycony za słowo, zmieszał się nieco. Widział po twarzach innych, że z nim trzymać nie chcieli, dał temu, co tak wystąpił jawnie, znak, by zamilkł.

Stary ów, chudy, obwinięty opończą na gołe ciało ziemianin, zamruczawszy, znów w kąć poszedł. Mszczuj brata za rękę pociągnął.

— Chodźmy stąd.

I poszli na wały we dwu się naradzać.

Tym, co pozostali, oprócz siedzącego w kącie, wystąpienie Wszebora się nie podobało, milczeli długo. Lasota się marszczył i wzdychał.

— Jak się weźmie waśń o to, co czynić, przebaknął w końcu, a na dwoje się tu rozdzielimy, pewna zguba — rzekł Toporczyk z kąta. — Ja Doliwów obu znam; na przekorę zawsze gotowi, ale u nich w gębie wszystko, wygadają się, wyswarzą, przyjdzie do roboty, pójdą z drugimi.

— Dajże Boże — zakończył Lasota. — Ja ich też z dzieci znam, warchołowate plemię, choć serca poczciwe.

Doliwowie, wyszedłszy we dwu, poczęli wnet narzekać, a jeden drugiemu oleju do ognia dolewać. Wszebor na Beliny starość i niedołęstwo walił wszystko, Mszczuj mu po magał.

— Oni nas tu wszech zgubią! — wołał.

— Doczekawszy Masława na Horodyszczu, tylko się spowiadać na śmierć,

więcej nic, mówił Wszebor. Nie obroniemy się im. Zabraknie wszystkiego.

— Kiedy tak — dodał Mszczuj — zbierajmy tych, co z nami równo myślą i choćby bramę łamać przyszło, idźmy stąd precz.

— Zbierzemyż my ich dużo? — spytał Wszebor.

Mszczuj o tym nie wątpił. Naradzać się poczęli w cichości, pochyliwszy jeden drugiemu do uszu. Wszebor tylko żałował, że się wygadał zawczasu a nieostrożnie, aby Lasota z drugimi nie donieśli Belinom i nie miano ich na oku. Mszczuj, który gorętszy jeszcze był od brata, lekce to sobie ważył.

— Trzeba swoje robić po cichu, musi się udać. Ale — dodał, głos zniżając, —

cóż my Spytkową tu im z córką mamy zostawić? Hę?

— Niedoczekanie! — zawołał Wszebor.

— A jak z nami nie zechce?

Spojrzeli sobie w oczy i poszeptali po cichu.

— Czemu nie można? — głośniejsz rzekł Mszczuj. — Usta choćby związać

przyszło i na ręku je wynosić, toć to dla ich ocalenia.

— Porwiemy! No dobrze, byleśmy moc mieli — odparł Wszebor — a potem

co?

Z tej wielkiej zgody przed chwilą nagle w oczach ogień zapłonął. Wahał się jeden i drugi powiedzieć, co myśli, ani ten, ni ów ustąpić nie chciał. Zrozumiawszy to, bo się znali dobrze, umilkli. Wszystko się o dziewczynę rozbiło, dalej nie szło.

Jeden się za ostrokół zapatrzył, drugi w podwórze i stali tak, nie mówiąc już do siebie. Wszystkie ich gorące myśli ochłodziły. Nierychło dopiero Wszebor rzekł:

— Swoje robić trzeba, a co potem, to nasza sprawa, rozsądzim się między sobą.

Mszczuj nic nie rzekł, ramieniem tylko ruszywszy.

— Każdy w swą stronę — zakończył Wszebor — trzeba z ludźmi gadać i do rozumu ich przyprowadzić.

Poszli tedy jeden w lewo, drugi w prawo, poza ostrokołami, gdzie ziemian ciągle stało mnóstwo gromadkami, przypatrując się obozowisku. Wszebor do jednych się przyłączył, Mszczuj do drugich.

Belinowie tymczasem we dwu, przybrawszy sobie do pomocy kilku

zaufanych, nad ludem stali, co przy okopach od rzeczki pracował. Tu ziemię noszono, koły wbijano, a nie opodal szopę walono, aby z niej drzewo obrobić na pale. Nie szło to rażno, ludzie byli i leżeniem, i złą strawą, i długim rozleniwieniem osłabli. Dano tego dnia po kawałku mięsa, po kubku kwaśnego piwa i to nie pomogło wiele.

W dolinie do południa jak stali ci, co przyciągnęli, tak się nie ruszyli. Miano ich na oku. Najadłszy się i napiwszy dopiero, kilku się ich na koniach ku wrotom poczęło przysuwać. Dano znać Belinie, który co najlepszych z łukami postawił u wrót i kazał, gdy na strzał przyjdą, puścić na nich strzały. Lecz że widzieli gotowość po okopach, stanęli w takiej odległości, iż ich dosięć nie było można. A że cisza była wielka, bo i wiatru najmniejszego, słowa z daleka do latywały.

Pijana gromada krzyczała ku grodzisku, potrząsając po wrozami, które u pasów miała:

— Gotujcie ręce na pęta! Niedługo was wykurzymy z tej jamy!

A tu z wałów nawzajem jak huknęli:

— Psie syny! Pogany! Zbójce! Niedoczekanie wasze! Wszyscy tu padniecie!

Z jednej i z drugiej strony pięści powystawiano i co kto miał na sercu i w gębie, wyplunął.

Na kilka pacierzy trwało to nawoływanie z jednej i drugiej strony, aż w sobie żółć poruszyli tak, że owa dzicz poczęła się rwać ku wrotom, zapomniawszy niebezpieczeństwa, a ci, co za ostrokołami stali, na w pół się przez nie powychylali.

Z tyłu kilku łuki napięło i strzały świsnęły od Horodyszczu. Jedna z nich oko napastnikowi wybiła. Chwycił się za nie i z konia stoczył. Drudzy dopiero, opamiętawszy się, porwali go, i przeklinając a łajac do swego obozu wrócili.

Tak zszedł prawie cały dzień w nieustannym ruchu i zajęciu, a na Doliwów chodzących tu i owdzie nie zważano wcale. Wszeborowi się chciało dostać koniecznie do Spytkowej albo ją ku sobie wyprosić, ale Sobek powiadał, że cały niemal dzień przeleżała, płacząc i nie mogąc się utulić, tak ją wiadomość o mężu poruszyła.

Ku wieczorowi przecie się to jakoś uśmierzyło, bo choć z oczyma

zapłakanymi, ujrano wychodzącą na wyżki panią Martę, a Wszebor, jak tylko to dojrzał, zaraz ku niej pospieszył. Chociaż zakaz był dla mężczyzn, iż się do niewiast na pomost dobywać nie było im wolno, nie zważał na to Doliwa.

Pani mu była dosyć rada, że tak żwawo się do niej garnał, choć to już teraz na nic przydać się nie mogło. Wszeborowi szło o to, aby ją tu pobuntować i do dobrowolnego ujścia z Horodyszczu namówić, bo już się tej myśli zbyć nie mógł.

Przystąpił więc, dowiadując się naprzód o nią i o córkę, a wnet nad nieszczęśliwym stanem Horodyszczu poczynając rozwodzić żale.

— My tu nic dobrego nie wysiedzim — odezwał się półgłosem. — Jam ci

przecie nie darmo jeździł i zdrowie narażał, na swem oczy widział, jaką ma potęgę Masław. Jak on tu przyjdzie, do nogi nas wybije.

Spytkowa aż krzyknęła:

— Nie maż na to ratunku?

— Byłby, gdyby ludzie rozum mieć chcieli tylko — odezwał się Wszebor — a toć nam się wybić stąd łatwo i ze swymi gdzieś połączyć. Nie wszyscy wyginęli.

Lepiej w polu się bronić kupce niż tu tysiącom w tej dziurze. Ano Belina stary uparty.

Na Belinów nic Spytkowa złego słuchać nie była rada. Spojrzała ostro; obawiała się ich, choć nie lubiła.

— Nie mówcie na niego nic, on musi wiedzieć, co czyni!

— A mnie się zda, że już nie wie — odparł Wszebor. — Jemu o swoje mienie chodzi, którego dosyć jest, a te by nierad rzucił.



Głową potrząsała Marta, nie mówiąc nic.

— Mnie Waszej Miłości i córki wielce żal — dodał Doliwa — abyście się przez ten upór na ręce chłopskie nie do stały!

Aż krzyknęła, zasłaniając sobie oczy, Spytkowa.

— Bóg tego nie dopuści! — zawołała płacząc.

A po chwili rzekła cicho:

— Cóż począć? Co począć? Żadnejże nie ma rady?

— Jest ino ta jedna, aby stąd przebojem uchodzić, póki czas.

— Dokąd?

— Swoich znajdziemy gdzieś, tak jakeśmy teraz ich znaleźli — mówił Doliwa.

— Albo to obozowisko, gdzie Waszej Miłości mąż się znajduje lub inne. Nie wszystko wyginęło rycerstwo.

— Toć i na nie Masław następuje, a nie da mu spoczynku.

— Ale uchodzić od niego szerokie mamy pole, choćby na Ruś, choć do

Niemiec, wszędzie bezpieczniej niż tutaj.

Wszebor, pochyliwszy się, począł wystraszonej niewieście w ucho kłaść, iż on z drugimi, kto wie, może się ważyć będzie, choćby, porzuciwszy upartych, ujść z tego zamknięcia.

— Jedźcie, Wasza Miłość z nami!

Ułękła się tych wyrazów Spytkowa tak, że się schronić chciała, aby więcej nie słyszeć. Wszebor ją zatrzymał gwałtem, zaklinając, aby jeśli sama nie zechce z nimi, przynajmniej ich nie wydawała Belinom.

Musiała mu tedy na krzyżyku poprzysiąc, iż milczeć będzie, a namyśli się sama, co ma czynić. Tak zaś była poruszona, że już więcej mówić i słuchać nie mogąc, wnet się do izby zabrała rozmyślać nad tym, co jej Wszebor powierzył.

Po twarzy Spytkowej, gdy wchodziła, poznać mogły niewiasty, które tam siedziały jak zwykle u ognia i kądzieli, że coś ciężkiego na sercu niosła, tak miała zafrasowane oblicze i zadumane oczy. Nie słyszała pytań, nie widziała dawanych jej znaków, poszła na swe miejsce i padła na nie, córki nawet, która przeciw niej wybiegła, nie poznawszy. Nierychło warczenia wrzecion, śmieszki i mrużenia wywiodły ją z tej zadumy. Kasia jej wody przyniosła, łzy otarła, i nieco się uspokoiła.

W niewieściej izbie dnia tego także niepokój panował. Jedna, to druga z kobiet wyrывała się na poddasze, chcąc coś zobaczyć i przynosiła potem jakieś wieści.

Straszyły się wzajem i pocieszały.

Stara Hanna chodziła powoli jak zwykle, na mnogie pytania odpowiadając tylko:

— Tyle już oni razy tu przychodzili, a z niczym odchodzić musieli. Będzie i tym razem toż samo.

Z drugiej strony te, co od mężów i braci zasłyszały, jak Wszebor opowiadał o Masławie, trwożyły się i popłakiwały; inne o Kaźmirzu i prędkim wybawieniu marzyły. Niepokój ani pruć dobrze, ani odpocząć nie dawał.

Ile razy Tomko wszedł, padały nań wszystkich wejrzenia, badając go, a na jego jak na ojca twarzy nic poznać nie było można; obie spokojne i poważne równie były, czy przychodziło niebezpieczeństwo, czy otucha. Tylko, ilekroć się mógł

Tomko ze Zdaną zbliżyć do Kasi, wyjaśniały mu się oczy, śmiały usta i zdawał mieć najlepszą nadzieję.

Kasia po powrocie matki przełękłej, na próżno starała się ją wybadać; nie powiedziała córce nic, popłakiwała cicho, wzdychała. Gdy Tomko się potem zjawił, tak córce na sercu leżała ta boleść macierzy, że się po cichu Beliny przez Zdanę spytała, czy co nowego nie zaszło, o czym by się jej matka mogła dowiedzieć.

Belina się namyślił i odpowiedział Zdanie tak, że Kasia słyszeć to mogła, boć się jej przy tym wciąż w oczy patrzył, że Spytkowa długo na pomoście z Wszeborem mówiła, pewnie ten jej jakiego napędził strachu. Przy czym Tomko dodał:

— Obydwa Doliwowie duchy niespokojne; im by się chciało, aby ich jeno słuchano, a dwóch wodzów w jednym grodzie nie może być. Na nich się też oko i ucho będzie miało jak należy.

Tomko, niedługo tu zabawiwszy, bo od dołu już na niego hukano i wołano, aby do ojca przybywał, w oczy jeszcze spojrzawszy Kasi, która mu rumieńcem odpowiedziała, odszedł.

Bartnik Sobek, choć wczorajszą drogą zbity, choć na spytkach przed swą panią długo stać musiał, ledwie jaką godzinę wyleżawszy koło koni na słomie, bo innego miejsca nie miał i nie chciał, wstał zaraz, nie mogąc w bezczynności wstrzymać.

Człek był już tak z natury swej ruchawy i ciekaw i któremu, gdy nic nie czynił, ręce świerzbiały. Innego czasu albo chodaki plótt, albo koszyki, lub wici kręcił i sznury, a gdy i tego nie było, łuczywo drobne szczepiał. A gdy ręce pracowały, okiem też i uszami na wszystkie strony czuwał. Nie uszedł mu szmer żaden, nie prześliznęło się, czego by nie zobaczył. I nie darmo tak czuwał, bo zawsze i ze szmery i z cienia coś umiał wyciągnąć.

Tego dnia też powlókł się Sobek naprzód z drugimi pod ostrokół na wały, a choć drudzy tu od rana do nocy przebywali, zapatrzwszy się na gromadę, on długo nie wytrzymał. Obrócił się do robotników

na drugą stronę i tu znowu przystanąć dłużej nie było wygodnie, bo się ludzie ruszali i mijali, a w ciasnocie potracali i jeden drugiemu zawadzał. Obszedłszy grodzisko, Sobek powrócił do szopy i koni. Ściana tylko z chrustu przegradzała go od tej kleci, pod którą się tuliło zbiegowisko prostego ludu w pierwszym podwórku. Choć stąd dużo wypędzono na robotę przy wałach, zostali starsi, żony i dzieci.

Szmer i płacz, i stękania słycać było. Sobek, sparłszy się o ścianę, pół

drzemał, pół myślał, jaką by ręką dać robotę. Nie było się do czego wziąć. Gdy tak dumał, głosy zza chruścianej ściany poczęły go dochodzić, których, choć słycać by był nie chciał, to musiał. Narzekania to były:

— Oni o sobie myślą — mówił głos stary — co im tam, gdy z nas który zdechnie, aby sami byli cali.

— Z głodu mrzemy — rzekł drugi. — Jeszcze do roboty pędzą, choć jeść nie dają, wtrącił głos kobiecy.

— Dobrze tym, co pomarli — mówił inny. — Ot, poszli do swoich i biedy nie zaznają.

— To się dopiero teraz zacnie, jak nas zewsząd osaczają — rzekł stary głos.

Oni będą z łuków strzelali, a my musim ciężkie belki dźwigać i kamienie; a kogo strzała popadnie, jeśli nie nas. Oni mają broje i kaftany, i tarcze. A my co? Sukmanę strzała przebije.

— Pewnie, pewnie — żywiej począł inny — ano niech nadejdzie więcej,

trzeba sobie rady dawać. Nie myślą o nas, pomyślemy o sobie. Co nam zrobią gorszego, ot, tamci? Taż to nasi! Jak się z nimi zwąchamy, niech ziemianie idą w pęta, my choć na pogorzelska wróciemy.

— A jakże z nimi się dogadać? — odparł stary. — Albo to łatwo? Myślisz, oni na nas oka nie mają albo nam wierzą? Wiedzą oni, co u nas pod skórą.

— Dogadać się — pochwycił pierwszy — albo to sposobu nie ma?

— A jakiż? Jaki?

— Nocką się spuścić z wałów łatwo — rzekł śmiejąc się zapytany.

Była chwila milczenia długa i szepty.

— Tak i zrobić — rzekł stary — a nie, to wyzdychamy wszyscy.

— Pogadajcie z Rzepcem, pogadajcie z Wiechanem!

— Czemu nie?

— Trzeba myśleć o sobie.

Szeptano tak, że Sobek szmer tylko słyszał, potem złe śmiechy tłumione, prędkie i żywe mruczenie. Ale tego, co pochwycił, dosyć mu było.

Ostrożnie wstał ze słomy, aby nie posłyszano go, chwilę postął, zawrócił z szopy na pierwsze podwórze, chcąc na oczy widzieć tych, co się tak naradzali. Gdy okrążywszy budowlę przez wrota przybył, gdzie się ci ludzie na rozmowę zebraли, nie znalazł już nikogo, tylko dwie kobiety, z których młoda dziecię karmiła, a stara, pokryta płachtą ogromną, drzemała przy niej. Reszta czy spłoszona czym, czy z innej jakiej przyczyny się rozeszła. Imiona tylko Rzepca i Wiechana zdołał Sobek zapamiętać.

Przypadek mu dozwolił wpaść na trop niebezpieczeństwa, którego się nikt nie domyślał może. Starego dreszcze przebiegły. Co miał czynić, nie wiedział sam.

Śledzić dalej, czy dać znać komu było potrzeba? A nuż gadanie próżnym by się okazało, a popłoch daremny? Sobek, co życie spędził przy dworze ze swoimi panami i przywiązany był do nich i sprawny, strwożył się i zasępił.

Wysunął się już o mroku z szopy, i z podwórca i poszedł ku drugiemu obejściu czatować na starego Belinę. Zobaczył go z dala wydającego spokojnie rozkazy, popatrzył nań, żal mu się zrobiło straszyć go lada paplaniną. Cofnął się więc rachując, że mu jego siermięga i stan dozwolą podsłuchać więcej i lepiej, nimby miał

rzucić trwozę. Żal mu też może ludzi, na których by spadła groza i kara, gdy głód przez nich mógł mówić tylko i znękanie.

Stał jeszcze Sobek, rozglądając się po podwórcach obu, na których wśród mroku świeciły porozpalane łuczywa, gdy z domostwa krzyk i wrzawa ogromna słyszeć się dały.

Ludzie biegli w tamtą stronę.

— Strzelaj! Bij! — wołano.

Belina stary rzucił się także, pospieszył Sobek, wrzawa rosła coraz i krzyki.

Nikt nie wiedział, co się stało. Dopiero, zbliżywszy się wałom, dopytał stary, że o mroku ktoś z załogi spuścił się z ostrokołów i ku gromadzie oblegających uszedł, choć strzał kilka za nim puszczono.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Mieszko II Lambert (1025 – 1031) wg Jana Matejki